tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 23 (1222)
5-11.06.2023
Cena 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI
OD DZIENNIKARZA DO PREZYDENTA

PROCES BRZESKI –
HANIEBNA KARTA SANACJI

UKRAIŃSKA KORUPCJA –
BIORĄ WSZYSCY

OPOWIADANIA
TOMASZA JASTRUNA

STRAŻNIK KONSTYTUCJI

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
23 >
9 771509 311300

eprasa.pl/3691148947

POLITYCZNY THRILLER

O JEDNOSTCE PRÓBUJĄCEJ ZACHWIAĆ OBOWIĄZUJĄCYM STATUS QUO

MFF W SALONIKACH NAGRODA PUBLICZNOŚCI

MFF W ANKARZE NAJLEPSZY FILM, SCENARIUSZ, AKTOR, AKTORKA DRUGOPLANOWA, AKTOR DRUGOPLANOWY, NAJLEPSZY MONTAŻ

ANTALYA GOLDEN ORANGE FILM FESTIVAL NAJLEPSZY REŻYSER, SCENARIUSZ, AKTOR, MUZYKA, AKTOR DRUGOPLANOWY, MONTAŻ

FESTIVAL DE CANNES UN CERTAIN REGARD

MFF W MONACHIUM

MFF W SYDNEY

MFF W BERGEN

MFF W CHICAGO

MFF W JEROZOLIMIE

EUROPEAN FILM AWARDS NAJLEPSZY MONTAŻ

GORĄCE DNI

REŻYSERIA EMIN ALPER

PEŁNA NAPIĘCIA KRYTYKA MACZYZMU I POPULIZMU

SCREENDAILY

WYŚMIENITY THRILLER MORALNY W STYLU „CHINATOWN"

VARIETY

ŚWIETNY OBRAZ KORUPCJI I KONIECZNYCH KOMPROMISÓW

DEADLINE

W KINACH OD 9 CZERWCA

AURORA

eprasa.pl 569ad48947

Jerzy Domański

Ekspresowa wolta

Gdy PiS szukało kontrkandydata prezydenta Komorowskiego, padło na Andrzeja Dudę. Bez większej wiary w sukces. I z pamiętnymi słowami prezesa Kaczyńskiego: żeby tylko wstydu nie było. Duda wygrał, bo zadufanie i lenistwo sztabu Komorowskiego były legendarne. A i kierownictwo PO, z Tuskiem na czele, niewiele zrobiło, by realnie wesprzeć swojego prezydenta. Mamy więc ósmy rok prezydenta Dudę. I coraz więcej powodów, żeby za niego się wstydzić. Ale czy nie za wiele wymagamy od człowieka bez charakteru, bardzo przeciętnego, choć coraz bardziej przekonanego o swoich niezwykłych zaletach? Posada prezydenta tak rozbudowała jego ego, że Duda coraz częściej krąży poza światem realnym.

Jego publiczne wystąpienia najczęściej są do bólu banalne. Choć bywa, że budzi się w nim coś dziwnego i Duda wdaje się w dywagacje historyczne. Plecie wtedy bez zwracania uwagi na fakty. Jak na człowieka demonstrującego swoją pobożność prezydent zbyt często grzeszy kłamstwami i paszkwilanckimi ocenami ludzi, którzy mają odmienne poglądy. Mam wrażenie, że poczucie wstydu i odpowiedzialność za własne słowa są u niego coraz skromniejsze. Niewiele dobrego spodziewałem się po prezydencie Dudzie. Ale nawet ktoś tak sceptycznie jak ja oceniający wybrańca narodu musiał w ubiegłym tygodniu przeżyć szok. W poniedziałek Duda podpisał lex Tusk i kategorycznie podkreślał liczne zalety ustawy. W piątek te zalety okazały się tak wielkimi wadami, że zaproponował nowelizację tejże, świeżo podpisanej przez siebie ustawy.

Mamy więc precedens, którego skutki bardzo trudno ocenić. Nie było do tej pory przypadku, by prezydenci robili taką woltę, i to w tak ekspresowym tempie. Oto mamy w Pałacu Prezydenckim polityka, który jest jednocześnie za i przeciw.

Komentowanie decyzji kogoś takiego jak prezydent Duda jest takie jak on sam. Zarazem trudne i łatwe. W poniedziałek zachwycona prawica widziała w nim męża stanu. A opozycja kogoś, kto dokonał zamachu na konstytucję, podpisując bubel prawny. Piszę o tym, wiedząc, że w gruncie rzeczy te wolty z ustawą mają odciągnąć uwagę Polaków od spraw, które są kompletnie położone. Od złodziejstwa rządzących, inflacji, drożyzny, kłopotów ze służbą zdrowia, oszukiwania nauczycieli i rolników. Cyrk odjedzie, a te problemy z nami zostaną.

POMOŻECIE?

Mam wreszcie dobre wieści. Dzięki wsparciu Czytelników planujemy już numery wakacyjne. Jeszcze trochę nam brakuje, by zabezpieczyć kolejne wydania aż do planowanych na październik wyborów. Prawie codziennie rozmawiam z Czytelnikami, którzy wraz z darowiznami podają numery telefonów do kontaktu.

Teraz najważniejsze jest, by nawet symboliczne wpłaty miały stały cykl.

Bardzo dziękuję za wszystkie dobre słowa i za wsparcie finansowe.

Proszę o dalsze wpłaty na konto:
Fundacja Oratio Recta
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
z dopiskiem: „Darowizna na rzecz PRZEGLĄDU"

BĄKOWSKI

eprasa.pl 569ad48947

W NUMERZE

KRAJ

8 **Żadne zasady nie obowiązują**
Strażnika konstytucji już nie ma

18 **Sądy matek nie słuchają**
Zamiast tego lubią je karać

20 **Było pole, jest daczowisko**
Gmina Chojnice walczy z dziką zabudową

32 **Szalone lata 80.**
– rozmowa z Aleksandrem Kwaśniewskim

38 **Studia – poznać siebie**
– rozmowa z Aleksandrem Hebdą

HISTORIA

14 **Rozprawa z „bydłem"**
Proces brzeski – haniebna karta sanacyjnej Polski

ZAGRANICA

24 **Osobliwości ukraińskiej korupcji**
Biorą wszyscy

28 **Turcja – duma wygrywa z inflacją**
– rozmowa z dr Karoliną Wandą Olszowską

KULTURA

40 **Każdy czasami wzdycha**
Opowiadania Tomasza Jastruna

43 **Qulturalia**

66 **Artyści z Krakowa**

MEDIA

44 **Trudna miłość**
Sztuczna inteligencja a dziennikarstwo

EKOLOGIA

48 **Rzeki pod prądem**
– rozmowa z Robertem Wawrętym

OBSERWACJE

51 **Opolska Toskania**
Wino z Opolszczyzny smakuje okolicą

54 **Hortensja na fali**
Te kwiaty robią furorę

56 **Mieć fach w ręku**

ZWIERZĘTA

58 **Korkociągi, łyżeczki, syfony**
Ewolucja u zwierząt

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Ekspresowa wolta

13 **Jan Widacki**
Lex Tusk i inne lexy

17 **Roman Kurkiewicz**
Komisja Śmierci Publicznej

27 **Andrzej Romanowski**
Kłamstwo krakowskie

31 **Stanisław Filipowicz**
Martyrologia tłustych kotów

37 **Tomasz Jastrun**
Szyte drutem

47 **Wojciech Kuczok**
Przekaz ostateczny

28
ZAGRANICA

TURCJA – DUMA WYGRYWA Z INFLACJĄ
– rozmowa z dr Karoliną Wandą Olszowską

54
OBSERWACJE

HORTENSJA NA FALI
Te kwiaty robią furorę

58
ZWIERZĘTA

KORKOCIĄGI, ŁYŻECZKI, SYFONY
Ewolucja u zwierząt

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 569ad48947

Getto ławkowe? A co to?

Getto ławkowe? A co to?

Roman Kurkiewicz pisze, że profesorowie Uniwersytetu Warszawskiego Tadeusz Kotarbiński i Stefan Czarnowski nie pozwalali na segregację na swoich zajęciach. Warto przypomnieć, że prof. Tadeusz Kotarbiński postanowił prowadzić wykłady z ostatnich rzędów sali. Prawdziwi Polacy musieli obrócić się w ławkach.

Kamil Łukaszek

Mamy do czynienia z władzą złodziei

Mamy do czynienia z władzą złodziei

Czy lepiej zgubić z PO, czy znaleźć z PiS – to pytanie, na które od ponad dekady nie ma odpowiedzi. Bieganie dziennikarzy za gburem sejmowym Terleckim świadczy o tym, że siebie nie szanują. Ciekawi mnie, jak zareagują politrucy z Woronicza na spoty opozycji prezentowane w ramach kampanii, bo pisowskie kłamstwa są łatwe do pokazania. Tak cynicznych hipokrytów, jakich zgromadził Kaczyński, trudno jednak pokonać merytorycznie. Więc jak?

Tadeusz Kalinowski

Zostawić Europę

Zostawić Europę?

Nastąpiło to wszystko szybciej, niż się spodziewałem. Europa zostanie sama. A naiwnej Polsce wmanewrowanej w wojnę z Rosją pozostaną masy uchodźców i tlący się konflikt zbrojny w pobliżu polskich granic. Oraz rachunek, który trzeba zapłacić za wsparcie Ukrainy.

Paweł Stawicki

Urna i zagranica

Ktoś na stałe mieszkający za granicą nie bierze czynnego udziału w życiu społecznym i politycznym kraju, toteż nie powinien mieć na nie wpływu.

Urna i zagranica

Stelios Lotsios

•

A co z tymi, którzy nie mieszkają na stałe za granicą, tylko przebywają czasowo, a nie mogą do Polski przyjechać na wybory? Miejmy nadzieję, że uda się coś zdziałać, bo to jest ewidentne fałszowanie wyborów.

Aśka Olszówka

Na czym polega magia grilla?

Wspólne ucztowanie jest jednym z najstarszych sposobów integracji małych, a nawet dużych grup społecznych.

Tomasz Marek Sosnowski

•

Pamiętam z dzieciństwa, jak szło się na łąkę/działkę i najpierw przygotowywało się ognisko i kije do pieczenia kiełbasek. No i te ziemniaki z ogniska! Wtedy człowiek integrował się z innymi. Z kolegami robiliśmy sobie bramki z palików i graliśmy w piłkę, śmialiśmy się i było beztrosko. Grill nie ma takiego charakteru. Przy ognisku chodziło nie o jedzenie, ale o klimat.

Kamil Wójcik

•

Magia to zjeść pyszny, ciepły posiłek w towarzystwie rodziny i/lub przyjaciół, na wolnym powietrzu i – przy odrobinie szczęścia – dobrej pogodzie. Co najważniejsze, przygotowanie i przyrządzenie takiego posiłku to z reguły domena płci męskiej. A my, kobiety, siedzimy, pijemy, konsumujemy i chwalimy. Grillowanie wtedy jest supermagiczne!

Janina Frykacz

ZDJĘCIA TYGODNIA

Krzysztof Żuczkowski

Nasi redaktorzy na Międzynarodowych Targach Książki w Warszawie. Czytelnikom serdecznie dziękujemy za spotkania i wiele wyrazów sympatii.

eprasa.pl 569ad48947

Za prezydentem Dudą nie nadąży nawet boeing. Rano popiera, wieczorem jest przeciw – w poniedziałek podpisał niekonstytucyjną ustawę i gorliwie jej bronił, w piątek zgłosił jej nowelizację, z mnóstwem zmian, którymi **udowodnił, że ta już podpisana od początku była bublem.** Zobaczymy, co będzie po marszu 4 czerwca.

•

Czy nadchodzi „**koniec Polski**"? Taką myślą prezes Kaczyński podzielił się z uczestnikami Zjazdu Klubów „Gazety Polskiej" Europy Zachodniej. W jego liście jest też zapowiedź, że **„Rzeczpospolita nie może sobie pozwolić na to, aby obóz patriotyczny te wybory przegrał"**. Czy takie pogróżki zastraszą przeciwników dojnej zmiany?

•

Klienci PZU powinni wiedzieć, ile kasy zarobiła w pięć lat **Małgorzata Sadurska**. Wynagrodzenie byłej szefowej kancelarii prezydenta Dudy w zarządzie PZU wyniosło **OSIEM MILIONÓW ZŁOTYCH**. Niepotrzebne były kwalifikacje lub kompetencje. Wystarczyło poparcie PiS.

•

Pamiętamy słowa Władysława Bartoszewskiego, że jak nie wiesz, jak się zachować, to zachowaj się przyzwoicie. Wspominamy o tym, bo jego syn **Władysław Teofil Bartoszewski,** poseł Koalicji Polskiej (lista PSL), za przyzwoite uważa wynajmowanie mu mieszkania przez Sejm. Mimo że poseł ma dworek w Chajętach, 43 km od Warszawy.

•

Anna Goc została **laureatką 14. edycji Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego** za reportaż „Głusza" (Wydawnictwo Dowody).

•

Robert Karaś, z zawodu strażak, w ciągu 164 godzin i 14 minut przebiegł w Brazylii 422 km, przepłynął 38 km i przejechał na rowerze 1,8 tys. km. Pobił w ten sposób o ponad 18 godzin rekord świata w 10-krotnym Ironmanie.

•

Tylko **338 alumnów** rozpoczęło studia w seminariach duchownych w bieżącym roku akademickim.

•

Będziemy płacić jeszcze więcej za cukier i inne artykuły spożywcze, bo Krajowa Grupa Spożywcza SA z marką Polski Cukier została sponsorem PKOl. W programie sponsorskim jest wyjazd na II Igrzyska Sportów Plażowych na Bali. Cukier i sportowcy to wynalazek pisowskiego prezesa PKOl Radosława Piesiewicza. Wsparty przez wicepremiera Sasina, kolegę z Wołomina.

•

Gigantyczną kwotę, bo aż **568 mln zł, wydał Orlen** w 2022 r. na marketing, doradców i sponsoring sportowy.

•

Polskie Radio straciło tylu słuchaczy, że **wynik finansowy za rok 2022 jest już katastrofą.** W 2021 r. strata była na poziomie 19,9 mln zł, a w ubiegłym roku aż 55,1 mln zł.

•

Prawie 29% Polaków pali papierosy. W ubiegłym roku kupiono prawie 49,4 mld sztuk.

•

O **9 mld zł** wzrosło w 2021 r. zadłużenie Polaków w firmach pożyczkowych.

•

Ponad **65% samochodów** sprowadzonych do Polski z zagranicy **ma więcej niż 10 lat.** Najgorszą opinię mają samochody sprowadzone z USA. A było ich w ciągu czterech miesięcy tego roku prawie 12 tys.

PRZEBŁYSKI

Nowe brednie o „Ogniu"

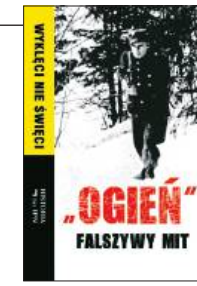

„Czarna legenda Józefa Kurasia »Ognia« została stworzona przez kłamliwą propagandę PRL. (…) Żydzi zginęli na Podhalu z rąk polskiego podziemia nie jako przedstawiciele swojego narodu, ale z racji służby w organach represji, PPR, współpracujący z UB". Takie brednie głoszą Marek Pyza i Marcin Wikło („Sieci") w tekście „Warto rozmawiać twardo". Pisząc o kolejnych „sukcesach" pisowskiej dyplomacji w kontaktach z Izraelem, przy okazji próbują wybielić „Ognia". Mordercę, który ma na sumieniu 450 cywilów, w tym kobiety i dzieci.

Dzieci oczywiście nie były w UB ani w partii. Ale przecież mogły kiedyś wstąpić. Pyza i Wikło udają, że nie słyszeli o zbrodniach bandy „Ognia", o zamordowanych Słowakach. „Ognia" oskarżają słowacki IPN oraz żołnierze Armii Krajowej z Podhala. Zamiast kłamać, trzeba czytać. Proponujemy książkę „»Ogień«. Fałszywy mit" z cyklu „Historia bez IPN".

sklep.tygodnikprzeglad.pl

Który Tusk jest prawdziwy?

Dwa biegunowo różne tygodniki pokazały na okładkach Donalda Tuska. I szok. Takiego Tuska po prostu nie ma. Widać za to, że w „Newsweeku" kochają go aż za bardzo. A w „Sieci" nienawidzą tak chorobliwie, że wyłączają rozum.

Garmond ciągle nie płaci

Co spojrzymy na kiosk Garmond Press SA, to widzimy 300 tys. zł. Tyle spółka rodziny Szmid z Krakowa zapomniała nam zapłacić za sprzedane egzemplarze PRZEGLĄDU. Po ugodzie z wieloma wydawcami, którzy również nie dostali kasy, mieli nam oddać połowę. Wpędzili nas w kłopoty. Dwa lata temu zerwaliśmy z nimi umowę. Nie ma nas więc na stacjach Orlenu, w placówkach Poczty Polskiej ani tam, gdzie Garmond ma monopol.

Teraz umowę z Garmondem zawiesiła „Polityka". Powód ten sam. Biorą gazety, sprzedają i… zapominają zapłacić wydawcom. Za rządów PiS oczywiście nic im nie grozi. Ale, jak wiadomo, dłużej klasztora niż przeora. Omijajcie kioski Garmondu.

Adamczyk z Uberem pod rękę

Tego ministra najlepiej znają widzowie TVP Info. Uroczyście otwiera każdy nowy metr drogi. Wstydu nie ma, bo te wszystkie drogi oddawane są po terminie. Ostatnio Andrzej Adamczyk, minister infrastruktury, potwierdził trafność opinii, że inteligencji jest nienachalnej. Pochwalił się spotkaniem z szefem Ubera. I tym, że przez godzinę Amerykanin nie skrytykował „lex Tusk". Pogadali sobie zatem miło. Adamczyka nie bolą gwałty w taksówkach Ubera ani kierowcy bez prawa jazdy, często naćpani lub pijani. Ambasador Mosbacher kazała rządowi Morawieckiego odwalić się od Ubera. Kaczyści trzymają się więc tego polecenia. Bo przecież są suwerenni.

FOT. ARCHIWUM, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 569ad48947

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Z czym dziś kojarzy się Solidarność?

WŁADYSŁAW FRASYNIUK,
działacz opozycji demokratycznej

Solidarność to najpiękniejsze słowo we współczesnej historii Polski. To coś, co mobilizuje, daje nadzieję, siłę i wiarę w siebie, ale też powoduje, że jesteśmy rozpoznawalni na całym świecie wyłącznie dzięki temu fenomenowi. Dla mnie Solidarność to sierpień, najbardziej radosny miesiąc w historii współczesnej Polski. To 18 miesięcy, kiedy ludzie nie pytali, skąd przychodzisz, ważne, że możemy coś wspólnie zrobić. To czas, w którym wykluwały się wartości społeczeństwa obywatelskiego. Solidarność to także 13 grudnia i ta nieprawdopodobna determinacja ludzi, którzy stanęli w obronie wolności. I wreszcie Solidarność to 4 czerwca i wybory, które zdecydowały o tym, że Polacy nie tylko wybili się na niepodległość, ale i spowodowali, że Europa Wschodnia stała się Europą Środkową. Dziś Solidarność oznacza, że wygnaliśmy komunizm z tej części Europy Wschodniej, a pałeczkę przejęli Ukraińcy, którzy nadal walczą z totalitaryzmem.

ANDRZEJ KRAJEWSKI,
dziennikarz, autor książki „Kraj w stanie"

Dziś Solidarność kojarzy mi się źle, bo z obecnym związkiem zawodowym. Mam też dobre skojarzenie z 10-milionowym związkiem, w którym byłem i który istniał w latach 80. Również dobrze kojarzy mi się słowo solidarność pisane przez małe s, jako solidarność międzyludzka, społeczna. Tej ostatniej bardzo brakuje, bo obecna władza, która zresztą mieni się dziedziczką Solidarności, społeczną solidarność rozbiła. I to jest paradoks, dlatego że ktoś, kto odwołuje się do tradycji Solidarności, jednocześnie spolaryzował społeczeństwo. Koncepcja solidarności narodowej uprawianej przez PiS nie podoba mi się wcale, bo jest wykluczająca. Pojęcie to zakłada bowiem, że są Polacy bardziej polscy od innych. Odmawia się tym samym poczucia więzi tym, którzy np. nie urodzili się nad Wisłą.

MATEUSZ ZAREMBA,
politolog, Uniwersytet SWPS

Solidarność ma wielopłaszczyznowe znaczenie. Mamy termin o konotacjach stricte historycznych, odnoszący się do pewnego kontekstu. Badania pokazują, że Polacy traktują to wydarzenie jako historyczne. W pewnej części nawet o znaczeniu istotnym dla światowego dziedzictwa historycznego. Z drugiej strony młodzi Polacy traktują to jako doświadczenie poprzednich pokoleń. Nie mają poczucia, że dotyczy ich to osobiście. Solidarność to też pewne dziedzictwo, które dzisiaj bywa wykorzystywane do rywalizacji politycznej. Trzeba pamiętać, że obecne wiodące partie polityczne mają solidarnościowy rodowód. Mam na myśli polityków, którzy zaczynali działalność w okresie transformacji. Pewnym dziedzictwem Solidarności jest również osadzenie Kościoła w życiu społecznym, dlatego że odegrał on istotną rolę w mediowaniu między państwem a ruchem Solidarności.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

eprasa.pl 569ad48947

ŻADNE ZASADY NIE OBOWIĄZUJĄ

Andrzej Duda lubił się prezentować jako strażnik konstytucji. Tego już nie ma

Robert Walenciak

Lex Tusk! Politycy PiS klaskali z radości, gdy odrzucali weto Senatu do tej ustawy, a potem, gdy Andrzej Duda w błyskawicznym tempie ustawę podpisał, cieszyli się jak dzieci. Teraz lamentują, bo widzą, że dali opozycji paliwo, że mobilizują anty-PiS.

A Duda? W poniedziałek ustawę podpisał, zachwalając ją i lekceważąc wszelkie zastrzeżenia. W piątek, podczas pośpiesznie zwołanej konferencji prasowej, ogłosił, że składa wniosek o jej nowelizację. I to nie byle jaką, bo nowelizacja zmienia praktycznie trzy czwarte przyjętych wcześniej zapisów. Mamy więc paniczną szamotaninę prezydenta. Próbę ucieczki.

Oto opowieść o polityce jako grze błędów, o graczu Kaczyńskim i o tym, jakie szkody może wyrządzić Polsce mierny polityk wepchnięty na fotel prezydenta. Bo nic nie jest „pozamiatane".

Gra błędów

Tu rzecz jest prosta, wystarczy przypomnieć sobie pewne fakty. Jeszcze ubiegłej jesieni ludzie PiS chodzili ze spuszczonymi głowami, opozycja wołała, że w Polsce zabraknie węgla, a inflacja i szybujące w górę ceny ropy i gazu zniszczą gospodarkę. Nic takiego się nie stało, węgiel został do kraju dowieziony (za jaką cenę, to już inna sprawa), PiS odzyskało równowagę. A potem trafiły mu się prezenty – najpierw pojawił się w stacji TVN film o papieżu, a potem „Gazeta Wyborcza" opublikowała sondaż o jednej liście opozycji.

Te dwa wydarzenia zmieniły rozkład sił. Kaczyński wykorzystał film, aby bić w dzwony, że oto Platforma, Tusk i „lewacka Europa" atakują „naszego papieża". To bardzo pomogło w mobilizacji prawicowego elektoratu, znów wstąpił w niego bojowy duch. Z kolei sondaż o jednej liście opozycji i cała dyskusja na ten temat skłóciły Tuska z Hołownią, Kosiniakiem-Kamyszem i lewicowym triem, poróżniły sympatyków tych partii, przy okazji wszystkich demobilizując.

Sytuacja się odwróciła – mieliśmy prące do wygranej PiS i pogubioną opozycję. A potem Kaczyński zadał kolejny cios – podczas zwołanej pośpiesznie partyjnej konwencji ogłosił program 800+. To miał być nokaut.

Czy był? Tusk jako jedyny z polityków opozycji błysnął refleksem, natychmiast odpowiadając, że jest to rewaloryzacja obecnego 500+, czyli wyrównanie wartości świadczenia z powodu inflacji. I że proponuje uchwalić 800+ od 1 czerwca, na Dzień Dziecka. Tym samym osłabił uderzenie Kaczyńskiego.

Dlatego prezes PiS odpalił inną bombę – dał zielone światło do powołania komisji mającej badać wpływy rosyjskie. Stosowną ustawę przegłosował Sejm, podpisał Andrzej Duda i tak narodziło się lex Tusk. Czyli superkomisja, w której zasiądą ludzie Kaczyńskiego. Będą mogli każdego, pod pretekstem, że uległ rosyjskim wpływom (jak to ocenić?), wyeliminować na 10 lat, czyli na zawsze, z polskiej polityki. A wiadomo, że głównym oskarżonym ma być Donald Tusk.

Ten pomysł i jego wdrożenie zaszokowały opinię publiczną. Bo jest to de facto rozbrat z demokracją i wprowadzenie dyktatury. Jak bowiem nazwać system, w którym władza może wyeliminować kogo chce? Najpierw oskarżyć go, że „ulega rosyjskim wpływom", a potem wydać wyrok.

To oczywiste, że tak bezczelny i niemądry atak na demokrację zmobilizował wielkie grupy Polaków. I tym razem paliwo polityczne zostało dostarczone Donaldowi Tuskowi.

Polska dla zachodniego świata stała się państwem podejrzanym. Ze wszystkimi tego konsekwencjami.

Bo ta ustawa – jest to może cyniczne, ale prawdziwe – to prezent dla niego. Stawia go w centrum zainteresowania jako głównego rywala Kaczyńskiego. Inni liderzy opozycji nie mają ruchu – muszą stanąć za Tuskiem, muszą go bronić.

Tak oto Jarosław Kaczyński zbudował ring, na którym toczyć się ma polityczna walka. Na ringu stanie on, człowiek, któremu nie ufa 51% Polaków, i Donald Tusk, któremu nie ufa 54% ankietowanych. Inni – Duda, Morawiecki, Ziobro, Trzaskowski, Hołownia, Zandberg – zostali

eprasa.pl 569ad48947

Co w sprawie lex Tusk mieli do powiedzenia ludzie z Kancelarii Prezydenta RP? Nz. wokół Andrzeja Dudy od lewej: Wojciech Kolarski, Marcin Przydacz, Andrzej Dera, Grażyna Ignaczak-Bandych, Piotr Ćwik.

zepchnięci w cień, gdzieś do dalekich rzędów.

Komisja PiS, komisja Dudy

O komisji media bębniły cały ubiegły tydzień, więc tu jak najkrócej – w myśl pierwszej, już obowiązującej ustawy ma ona się składać z dziewięciu osób, powoływanych przez Sejm, przy czym nie muszą to być posłowie (zgodnie z nowelizacją, którą zgłosił Duda – nie będą). Komisja ma badać przypadki „funkcjonariuszy publicznych lub członków kadry kierowniczej wyższego szczebla, którzy w latach 2007-2022 pod wpływem rosyjskim działali na szkodę interesów RP".

Zgodnie z obowiązującą już ustawą komisja będzie miała uprawnienia zarówno śledcze, jak i oskarżycielskie oraz sądownicze. Na mocy jej decyzji osoby oskarżane będą mogły zostać pozbawione prawa do pełnienia funkcji związanych z zarządzaniem środkami publicznymi, na okres do 10 lat. Ale ten zapis prezydent chce zmienić – w jego nowelizacji komisja takiego prawa nie będzie miała. Choć będzie mogła ogłosić, że dana osoba nie daje rękojmi należytego wykonywania czynności w interesie publicznym. Nie będzie więc banicji, tylko napiętnowanie. Propozycja Andrzeja Dudy mówi też, że od „wyroków" komisji będzie można odwoływać się do sądu apelacyjnego, a nie – jak stanowiono wcześniej – do sądu administracyjnego.

Duda chce również zmienić zapisy stanowiące, że prace komisji są niejawne, choć jej posiedzenia oraz ogłaszanie „wyroków" miały już być publiczne, przed kamerami. Prezydent zapowiedział, że wszystkie działania komisji będą jawne, poza wyjątkowymi sytuacjami, kiedy będą dotyczyły bardzo wysokiej klauzuli tajemnicy państwowej. Nie odniósł się natomiast do innego bulwersującego zapisu – że członkowie komisji za swoje decyzje nie będą ponosić żadnej odpowiedzialności. Taka konstrukcja ustawy łamie w wielu punktach konstytucję, łamie prawo unijne i międzynarodowe.

Świat zachodni zresztą zareagował na podpisanie ustawy o komisji niemal natychmiast. W Parlamencie Europejskim odbyła się w tej sprawie debata. Swoje negatywne stanowisko wyraził także Departament Stanu USA: „Amerykański rząd jest zaniepokojony przyjęciem przez polski rząd nowego prawa, które może być wykorzystane do ingerencji w wolne i sprawiedliwe wybory". Polska dla zachodniego świata stała się państwem podejrzanym. Z wszystkimi tego konsekwencjami.

Te tłumaczenia polityków PiS, że komisja jest w porządku, że świat został przez opozycję wprowadzony w błąd, są de facto bez znaczenia, bo nikt nie bierze ich na serio. Świat przecież wie, na czym polega trójpodział władzy i po co taką komisję powołuje się parę miesięcy przed wyborami. Że trzeba badać rosyjskie wpływy? Owszem, ale czy na pewno jest to robota dla polityków, a nie dla tajnych służb? Że „jeśli ktoś działał uczciwie, to nie ma się czego obawiać"? Ta zasada obowiązuje, ale

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl 569ad48947

tylko wtedy, kiedy sądy są uczciwe i niezawisłe. A tu jedna partia będzie przesłuchiwać swoich przeciwników, a potem wydawać na nich wyrok.

Wielki odwrót prezydenta

Dla Andrzeja Dudy miniony tydzień musiał być szczególnie ciężki. Po fali krytyki, która spłynęła na niego po podpisaniu w poniedziałek ustawy, musiał się zorientować, że to on jest pierwszym przegranym. Że komisja jeszcze nie ruszyła, ale jej pierwsza ofiara już dynda. Bo w zasadzie cała jego dotychczasowa praca została przekreślona: i przymiarki do wybicia się na niepodległość na scenie krajowej, i próby zbudowania sobie pozycji wśród Amerykanów. Znów stał się długopisem, marionetką Kaczyńskiego.

A jeszcze nie tak dawno był traktowany poważnie. Chwalono go za postawę wobec wojny na Ukrainie i dobre kontakty z Wołodymyrem Zełenskim. Pamiętano weta: wobec ustawy o Sądzie Najwyższym, wobec lex TVN czy lex Czarnek. Prezydent wydawał się stabilizatorem, osobą, która ma odwagę powściągać najbardziej skrajne pomysły PiS. On sam lubił się prezentować jako strażnik konstytucji i gwarant proamerykańskiej polityki.

Tego już nie ma. Jeżeli ktoś się łudził, że Andrzej Duda jest politykiem przywiązanym do demokratycznych reguł, dłużej nie może już się mamić. Przecież prezydent wiedział, że ustawa, którą podpisał, jest sprzeczna z konstytucją, z regułami praworządnego sprawowania władzy. I że to krok na drodze Polski ku autokracji, wypychający nas z zachodnich struktur. Dlaczego więc złożył podpis? Dlaczego świadomie zrezygnował z pozycji politycznej, którą udało mu się przez minione lata wypracować? Może uważał, że sprawa jakoś się uklepie i to wszystko ujdzie mu na sucho? Jeżeli tak, to był skrajnie naiwny.

Cała rzecz jest, ogólnie biorąc, farsą. Podpis Dudy przekreślił jego szanse na karierę w organizacjach międzynarodowych. Ale i nie zwiększył szans na karierę w Polsce. Gdy zakończy się jego kadencja, Duda będzie byłym prezydentem. I tyle. Może takim, który będzie musiał stawać przed trybunałami. A władza w Zjednoczonej Prawicy? Pozycja następcy Kaczyńskiego? Tu będzie miał dalekie miejsce w kolejce. Oto, ile kosztuje jeden podpis.

A nowelizacja, którą ogłosił w piątek? Realnie patrząc, przesuwa ona start komisji o miesiąc z hakiem, na koniec lipca, o ile PiS potraktuje swojego prezydenta poważnie. Politycznie inicjatywy Dudy nie można ocenić inaczej niż jako desperacką próbę wyplątania się z sytuacji, w którą sam się wplątał. Kto albo co go do tego ruchu przekonało? Protesty opinii publicznej? Dymisje w jego otoczeniu? Ambasador USA Mark Brzezinski? Na pewno nikt stojący niżej od niego.

Ale równie ważne jest pytanie, czy zmiany, które zgłosił Duda, czynią ustawę strawną. Owszem, w wersji prezydenckiej jest ona mniej barbarzyńska, bardziej cywilizowana niż ta pisowska. Choćby dlatego, że pozbawia komisję możliwości wykluczania polityków opozycji z życia publicznego. To jednak niewielka poprawka. Nie będzie można się mścić. Lecz wciąż będzie można szczuć.

Mówił o tym zresztą rzecznik PiS Rafał Bochenek: „Prezes Jarosław Kaczyński wielokrotnie podkreślał, że głównym celem tej ustawy jest pokazanie prawdy na temat wpływów agentury rosyjskiej w Polsce i zasadniczy cel tejże ustawy jest zachowany, nawet po zapowiadanych propozycjach nowelizacji złożonej przez prezydenta Dudę".

Tłumacząc to z pisowskiego na polski – Kaczyński ma świadomość, że komisja niczego nie wykryje i niczego nie ustali. Wszak nie do tego została powołana. Ona ma rzucać oskarżenia, insynuować, tworzyć atmosferę, że już za chwilę prawda zostanie ujawniona. Robić to, co robili Kaczyński z Macierewiczem przez całe lata w każdą miesięcznicę katastrofy smoleńskiej – wołać, że

CZŁOWIEK Z MIĘKKIM KRĘGOSŁUPEM

Jak traktować Andrzeja Dudę? Jeżeli prześledzimy wypowiedzi dziennikarzy i osób publicznych z ostatnich lat, łatwo zauważymy, że prezydent zebrał w tym czasie wiele pochwał, także ze strony przeciwników politycznych. Przez niektórych był wręcz rozpieszczany. To było przez PiS wykorzystywane. Że oto jest zły policjant (czyli Kaczyński) i ten dobry (czyli Duda). W ten sposób rozgrywano media i kreowano nastroje w społeczeństwie. Opinie często się zmieniały. Wcześniej bywały pozytywne:

Bartłomiej Sienkiewicz (PO), były szef MSWiA, w kontekście reformy sądownictwa, 2017 r.

Biorąc pod uwagę posiadane narzędzia, Andrzej Duda jest jedynym człowiekiem, który może uratować polską demokrację („Kultura Liberalna").

Tomasz Lis, ówczesny redaktor naczelny „Newsweeka", w kontekście lex TVN, 27 grudnia 2021 r.

Andrzej Duda zachował się dziś jak prawdziwy prezydent RP. Wielokrotnie go krytykowałem, dziś więc muszę pochwalić (Twitter).

Bartosz Węglarczyk, redaktor naczelny Onetu, również po lex TVN, 27 grudnia 2021 r.

No i prezydent uratował demokrację w Polsce (Twitter).

Po podpisaniu lex Tusk komentarze stały się zdecydowanie negatywne:

Bartłomiej Sienkiewicz, 29 maja 2023 r.

Były takie spekulacje, czy z Andrzejem Dudą, kończącym swoją kadencję, można się dogadać po wyborach. Dziś raczej

eprasa.pl 569ad48947

jesteśmy blisko ujawnienia wielkiej zdrady. Z tego punktu widzenia poprawki Dudy niewiele zmieniają. Nie chodzi przecież o to, żeby coś ustalić, tylko o to, żeby śledztwo trwało.

Chwilo, trwaj!

To jest „urok" systemów autorytarnych, że ci, co rządzą, uważają, że nie mogą oddać władzy. Bo mogliby zostać rozliczeni, bo musieliby zapłacić za łamanie prawa, za niegodziwości. Dlatego wybory są w takim systemie czymś innym niż w „zwykłej demokracji". Są walką o życie.

I Kaczyński o to życie walczy. W sytuacji, gdy sondaże wciąż wskazują, że Zjednoczona Prawica nie osiągnie większości, sięga po kolejne środki. Obietnica 800+ i zapowiedź innych „prezentów" to pomysł na zdobywanie wyborców poprzez transfery socjalne. Hasła, by bronić papieża i kościołów – to przekaz do wyborców przywiązanych do tradycyjnych wartości. PiS próbuje też dotrzeć do nich, snując wizje ideologii gender i ideologii LGBT.

Teraz z kolei sięga po broń „patriotyczną". Tusk jest Niemcem, a za sprawą komisji może być poplecznikiem Putina. I, ostatecznie, komisja może go wyeliminować z życia publicznego.

Widzimy zatem, że Kaczyński działa zgodnie z hasłem „wszystkie ręce na pokład" i chce maksymalnie zmobilizować swoich wyborców. Nie obchodzą go zastrzeżenia sojuszników czy oburzenie wielkiej części Polaków. Liczy się cel – władza. I żadne zasady tu nie obowiązują.

Kaczyński miał również nadzieję, że uchwalenie ustawy przebiegnie w miarę płynnie, że protesty przeciwko niej wielkie nie będą. Zwróćmy uwagę – ustawa jest w Sejmie od grudnia i do tej pory media mówiły o niej bez większego zainteresowania. Może więc to utwierdzało Kaczyńskiego w przekonaniu, że uda się ją przepchnąć bez większych awantur?

Oburzamy się, że lex Tusk pozwoli eliminować po uważaniu każdego polityka. A jak było w lipcu 2021 r. na lewicy? Przecież Włodzimierz Czarzasty tak właśnie postępował – zawieszając członków zarządu partii, kiedy w tym zarządzie stracił większość. Zawieszał ich już podczas posiedzenia, tuż przed głosowaniem! Mało kogo to oburzało, media uznały, że to wewnętrzna sprawa jednej z partii. Można rzec, Kaczyński ma wzór. Wie, że tak można. Gdy więc słyszymy, jak Włodzimierz Czarzasty woła, że będzie chciał postawić prezydenta Andrzeja Dudę za podpisanie lex Tusk przed Trybunałem Stanu, możemy tylko się uśmiechać. Bo, po pierwsze, sił i możliwości do tego Czarzasty nie ma. A po drugie, nie jest w roli oskarżyciela w tej sprawie specjalnie wiarygodny.

Zgłoszona przez Andrzeja Dudę nowelizacja jest desperacką próbą wyplątania się z sytuacji, w którą sam się wplątał.

Miejmy też świadomość, że choroba pogardy dla prawa, zgody na łamanie demokratycznych reguł toczy Polskę nie od dziś. PiS taktyką salami – plasterek po plasterku – ogranicza naszą wolność. Parę skandalicznych ustaw, ewidentnie naruszających prawa obywatelskie i porządek demokratyczny, zdążyło już uchwalić i jakoś uchodziło mu to płazem. Bo zawsze można było się zasłonić a to pandemią, a to koniecznością walki z przestępcami, a to wojną na Ukrainie. Albo tym, że ci z opozycji robią to samo.

Gdy przed komisją stanie Tusk

Ale i tak nasuwa się pytanie, czy Kaczyński ma świadomość, że działanie komisji może być kontrskuteczne. Owszem, jakaś część wyborców Zjednoczonej Prawicy z radością

---

trzeba rozważać, jak skutecznie Andrzej Duda ma być rozliczony za udział w zamachu stanu (Twitter).

Bartosz Węglarczyk, 29 maja 2023 r.
Jednoczesne odesłanie przez pana prezydenta ustawy do Trybunału Konstytucyjnego jest dziecinną próbą podzielenia się odpowiedzialnością za niszczenie demokracji. Pan prezydent wie bowiem, że całkowicie sparaliżowany (również w wyniku jego wcześniejszych decyzji) TK nie kiwnie w tej sprawie palcem. Odesłanie dziś czegokolwiek do TK jest tylko przerzuceniem gorącego kartofla dalej – od głowy państwa trzeba oczekiwać innego zachowania (Onet).

Prof. Marcin Matczak w rozmowie z Jackiem Nizinkiewiczem, 31 maja 2023 r.
Andrzej Duda w pewnym sensie sam na siebie szykuje oskarżenie do postawienia przed Trybunałem Stanu. Działa w schizofrenii prawnej – podpisuje ustawę, a jednocześnie wie, że jest niekonstytucyjna, więc wysyła ją do TK. To tak, jakby lekarz najpierw podał lek, a później dopiero go sprawdził. Skrajna nieodpowiedzialność („Rzecz o polityce", kanał „Rzeczpospolitej" na YouTubie).

Arkadiusz Myrcha, poseł KO, 31 maja 2023 r.
Duda. Stabilny politycznie jak Kukiz (Twitter).

Konsekwencji w ocenianiu Dudy nie można za to odmówić Jackowi Żakowskiemu:

Jacek Żakowski, 2017 r.
Od początku jestem przekonany, że pan prezydent jest częścią układu pisowskiego i cały ten manewr lipcowy był próbą wyciszenia fali protestów, która niebezpiecznie narastała. I to się fantastycznie udało („Moja strona. Bitwa redaktorów", Wirtualna Polska).

Jacek Żakowski, początek 2022 r.
Andrzej Duda gra cały czas to samo, udaje przyzwoitego, a zachowuje się jak zawsze. Uleganie mirażom, że nagle prezydent odzyskał jakiś organ, np. kręgosłup, sumienie albo umysł, może prowadzić do fatalnych skutków (TOK FM).

Zebrał Kornel Wawrzyniak

eprasa.pl 569ad48947

i niecierpliwością czeka na przesłuchanie Tuska, chce zobaczyć go na ławie oskarżonych. Dla tej grupy komisja to wielki prezent. Ale oni i tak zagłosują na PiS. Ich nie trzeba kupować! W kampanii wyborczej bardziej chodzi o to, by pozyskać wyborców niezdecydowanych. A trudno przypuszczać, by komisja, jej działania, tych normalsów przyciągnęła. Przeciwnie! W sytuacji gdy niesprawiedliwość jest oczywista, sympatia niezdecydowanych będzie po stronie atakowanych, niesłusznie oskarżanych.

Wyobraźmy sobie posiedzenia komisji. Organ ten jeszcze nie zacznie na dobre działać, gdy padnie najbardziej oczywiste pytanie – skoro w Polsce są rosyjskie wpływy, to jak można wierzyć, że ujawni je dziewięciu członków komisji, skoro przez osiem lat rządów PiS nie potrafili ich ujawnić panowie z kontrwywiadu, podwładni ministra Mariusza Kamińskiego? To co oni robili?

A potem wyobraźmy sobie przesłuchanie Waldemara Pawlaka, którego PiS oskarża, że gdy był wicepremierem i ministrem gospodarki, podpisał niekorzystne umowy z Gazpromem. Przecież przyjdzie przygotowany, z górą materiałów, i będzie przekonująco tłumaczył, że to nie on ustępował Rosjanom, tylko ludzie PiS. Wskaże ich palcem, po nazwiskach, i będzie mówił o ich spotkaniach z Rosjanami oraz dokumentach, które podpisywali.

Kaczyński ma świadomość, że komisja niczego nie ustali. Bo nie do tego została powołana. Ona ma rzucać oskarżenia, ma insynuować, tworzyć atmosferę.

A Tusk? Też będzie przygotowany i szybko przejdzie od roli oskarżonego do roli oskarżyciela. Da radę. Zwłaszcza że sprzyjać mu będzie postrzeganie go jako ofiary, demokraty atakowanego przez reżim.

Trudno przypuszczać, by Kaczyński nie zdawał sobie z tego sprawy. Powinniśmy więc zakładać, że jego plan jest inny – on wie, że komisja niczego nie ustali, chodzi tylko o to, by podtrzymywać zainteresowanie jej „pracami" poprzez przecieki do mediów, ujawnianie wybranych materiałów, snucie domysłów, insynuacji i rzucanie oskarżeń. I ciągłe grożenie, że oto Tusk w przyszłym tygodniu zostanie wezwany… I dopiero się okaże, o czym rozmawiał z Putinem na molo w Sopocie…

W tym scenariuszu komisja ma grać dwojaką rolę. Przede wszystkim ma być kijem, którym można walić w pręty klatki z ryczącym tygrysem. Instytucją odwracającą uwagę. W kampanii wyborczej taki instrument jest bardzo pożyteczny. Bo umożliwia przykrywanie niewygodnych tematów, ucieczkę od nich. Po co rozmawiać o kolejnych aferach władzy, o gospodarce itd., skoro można snuć rozważania, kto zdrajca, a kto patriota. Druga funkcja komisji to miecz Damoklesa. Komisja ma wisieć nad głowami polityków opozycji i ich naznaczać – jako zdrajców, jako ludzi podejrzanych. Tak by musieli się tłumaczyć, by czuli się niepewnie, by utrudniać im aktywność polityczną. Takie nękanie może być pomysłem na kampanię.

A w dalszej perspektywie – jest to wygodne narzędzie, by rządzić długo i bezkarnie. Bo za sprawą komisji, gdyby PiS wygrało wybory i zapewniło sobie trzecią kadencję, można już bez kłopotów wyeliminować każdego.

Można również, rzucając oskarżenia, wytworzyć atmosferę podejrzeń, rozpętać w kraju histerię. To też służy władzy. A w tworzeniu takiej atmosfery Kaczyński jest mistrzem. Z tego punktu widzenia powołanie komisji nie jest szaleństwem podyktowanym strachem przed utratą władzy. Przeciwnie, jest ruchem dalekowzrocznym.

A że przy tym zmieciony został autorytet Andrzeja Dudy i jego nadzieje na dalszą karierę? Sam sobie winien, wagę polityka poznajemy przecież w najtrudniejszych momentach.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Z głębokim żalem żegnamy

ANDRZEJA DOBRZYŃSKIEGO

(11 kwietnia 1929 – 26 maja 2023)

**Wybitnego dziennikarza i społecznika.
Przyjaciela. Legendarną postać naszego środowiska.
Niezwykle uczciwego i dobrego Człowieka.**

Reporter „Robotnika", „Rzeczpospolitej", „Głosu Pracy" i „Kuriera Polskiego".
Przez 10 lat zastępca redaktora naczelnego „Sztandaru Młodych".
Redaktor naczelny „Radaru" i przez wiele lat „Prawa i Życia".
Laureat Nagrody im. Bolesława Prusa.
Niestrudzony działacz stowarzyszeń dziennikarskich, były przewodniczący Zespołu Starszych Dziennikarzy Oddziału Warszawskiego SDRP.

Żonie Marynie i najbliższym Zmarłego serdecznie współczujemy.

Pożegnamy Andrzeja 6 czerwca 2023 r. (wtorek) o godz. 10.00
w drewnianym kościele na cmentarzu Bródnowskim.

*Jerzy Domański, Barbara Janiszewska, Marek Kuliński,
Andrzej Maślankiewicz, Tomasz Miłkowski*

eprasa.pl 569ad48947

Z Galicji

Jan Widacki

Lex Tusk i inne lexy

Wszyscy dziś komentują podpisanie przez prezydenta ustawy zwanej potocznie lex Tusk. Szkoda słów, może poza jednym: hańba! Coś takiego w państwie prawa zdarzyć się nie mogło. Skoro się zdarzyło, państwo przestało być państwem prawa! Podpis prezydenta pod tą ustawą kończy rządy prawa w Polsce.

Jestem pewien, że historia to osądzi. Mam też nadzieję, że zanim zapadnie w tej sprawie wyrok historii, zapadnie jeszcze wyrok Trybunału Stanu. Może nie zaraz, ale zapadnie.

Wpływy rosyjskie trzeba oczywiście badać i śledzić na bieżąco. Od tego są służby specjalne, a później prokuratura i sądy, ewentualnie Trybunał Stanu i niezawisłe sądy. Nie trzeba „czerezwyczajnej komisji".

A jeśli już szukać ludzi, którzy świadomie, dla korzyści swojej partii albo ze zwykłej głupoty ulegają wpływom rosyjskim, są to przede wszystkim ci, którzy osłabiają Unię Europejską i pozycję Polski w Unii. Ci, którzy mają konszachty z sojusznikami Putina w Europie, z Orbánem, z liderami skrajnej europejskiej prawicy, którzy nadają ordery prorosyjskim działaczom polskim na Litwie. Którzy rozwalili polski wywiad i kontrwywiad wojskowy.

Dość o nich. Bo w cieniu tych wydarzeń przeszedł niemal niezauważony inny fakt. Oto Sąd Najwyższy (i to, jeśli się nie mylę, w starym składzie, bez neosędziów) rozpoznał kasację rzecznika praw obywatelskich i uniewinnił oskarżonych w procesie brzeskim. Przypomnijmy. Procesem brzeskim nazywany jest toczący się przed Sądem Okręgowym w Brześciu od 26 października 1931 r. do 13 stycznia 1932 r. proces 11 przywódców Centrolewu, m.in. Wincentego Witosa, Hermana Liebermana, Stanisława Dubois, Adama Ciołkosza i Władysława Kiernika, którym zarzucono, że „działając świadomie, wspólnie i w porozumieniu, przygotowywali zamach, którego celem było usunięcie przemocą członków sprawującego w Polsce władzę rządu i zastąpienie ich przez inne osoby, wszakże bez zmiany zasadniczego ustroju państwowego, jednak zamierzonego zamachu nie dokonali z powodu udaremnienia ich akcji przez władzę". Sąd Okręgowy w Brześciu skazał 10 oskarżonych na kary od półtora roku do trzech lat więzienia. Jeden z oskarżonych, Adolf Sawicki ze Stronnictwa Chłopskiego, został uniewinniony. W wyniku apelacji sprawę rozpoznawał Sąd Apelacyjny w Warszawie, później na skutek kasacji trafiła ona do Sądu Najwyższego, który skasował wyrok, przekazując sprawę sądowi apelacyjnemu do ponownego rozpoznania, ten utrzymał zasadniczo wyroki w mocy, sprawa znów trafiła do Sądu Najwyższego i wyrok został ostatecznie zatwierdzony po rozprawach w dniach 2-5 października 1933 r. Rzecz całą, jak się wydawało, zakończyła amnestia z dekretu prezydenta na uchodźstwie Władysława Raczkiewicza, przyjętego 31 października 1939 r.

Biorąc pod uwagę kolejne składy orzekające w sądzie okręgowym, apelacyjnym i ostatecznie w Sądzie Najwyższym, w wydaniu wyroku skazującego uczestniczyło co najmniej kilkunastu sędziów, w których wina oskarżonych nie budziła wątpliwości. Opozycja uważała proces za typowo polityczny, za zemstę sanacji, a wyrok za wydany pod dyktando władzy wykonawczej i osobiście Piłsudskiego. Do tego dochodziło brutalne traktowanie oskarżonych w areszcie. Historycy na ogół zgodnie uważają, że tak istotnie było, że zarówno sam proces, jak i wyrok motywowany był względami politycznymi, a nie prawnymi, że stanowi poważną rysę na pomnikowej postaci Józefa Piłsudskiego.

Jeśli proces brzeski odbył się pod dyktando Piłsudskiego, jak to pogodzić z kultem marszałka?

Teraz, 25 maja, znów sprawę rozpoznawał Sąd Najwyższy, który swoim wyrokiem zatwierdził, chcąc nie chcąc, wyrok historii. Ale trudno nie postawić pytania, jaki to wszystko miało sens. W oparciu o jaki materiał orzekał Sąd Najwyższy? Jaka jest granica sięgania orzecznictwem sądowym wstecz? Jeśli Sąd Najwyższy uniewinnia dziś oskarżonych skazanych 91 lat temu, to jaka jest przeszkoda, aby skasować np. wyrok Sądu Wojennego z 1824 r., skazujący twórcę Narodowego Towarzystwa Patriotycznego mjr. Waleriana Łukasińskiego? A może sięgnąć jeszcze dalej w historię? Jeszcze parę wyroków nadaje się do skasowania. Czy nie przekroczono tu granicy absurdu? A przy okazji mamy niebezpieczny precedens. Spory o oceny historyczne można rozstrzygać wyrokiem sądu. Myślę, że ta idea jest bliska ministrowi Czarnkowi. A poza tym, jeśli proces brzeski odbył się pod dyktando Piłsudskiego, jak to pogodzić z kultem marszałka? Zabawy prawem mogą być niebezpieczne.

31 maja 2023 r.

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 569ad48947

Rozprawa z „bydłem”

Proces brzeski – haniebna karta sanacyjnej Polski

25 maja br. Sąd Najwyższy ogłosił wyrok zamykający sprawę sprzed 91 lat. Uniewinnieni zostali wszyscy przywódcy Centrolewu skazani 13 stycznia 1932 r. przez Sąd Okręgowy w Warszawie w procesie brzeskim – Wincenty Witos, Norbert Barlicki, Stanisław Dubois, Mieczysław Mastek, Adam Pragier, Władysław Kiernik, Adam Ciołkosz, Kazimierz Bagiński i Józef Putek.

W III RP posłowie Polskiego Stronnictwa Ludowego i Sojuszu Lewicy Demokratycznej dwukrotnie podejmowali próby rehabilitacji więźniów twierdzy w Brześciu. Dopiero poprzedni rzecznik praw obywatelskich, prof. Adam Bodnar, na wniosek kierownictwa PSL poprosił o zgromadzone w Archiwum Akt Nowych zachowane akta z procesu. Po ich lekturze 20 lipca 2020 r. złożył do Sądu Najwyższego wniosek o kasację wyroku brzeskiego, zarzucając mu „rażące i mające istotny wpływ na jego treść naruszenie prawa materialnego (…), poprzez uznanie publicznej działalności każdego z oskarżonych, mającej charakter polityczny, prowadzonej w ramach porozumienia stronnictw politycznych tzw. Centrolewu, za niepodlegającą ochronie prawnej wypływającej z przepisów konstytucji, jako przejaw uczestniczenia w »spisku«”.

Po 91 latach ówcześni opozycjoniści doczekali się sprawiedliwości. W tym samym czasie rządząca prawica uchwala „lex Tusk”. „Przeszłość jest to dziś, tylko cokolwiek dalej”, jak pisał Cyprian Kamil Norwid? Słusznie nazywany wieszczem. *PD*

Krzysztof Wasilewski

„Ja nie myślę szanować nawet immunitetu poselskiego”, zapowiedział Józef Piłsudski podczas narady z najbliższymi współpracownikami, 29 sierpnia 1930 r. Tym samym dał sygnał do rozprawy z „bydłem”, jak zwykł nazywać polityków partii opozycyjnych.

Zapowiedź rozprawy z opozycją dowodziła bankructwa sanacyjnych rządów. Pomimo wielu zabiegów propagandowych stronnicy Piłsudskiego skupieni wokół Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem nie potrafili zyskać poparcia większości społeczeństwa. Wielu wyborców nadal sprzyjało ugrupowaniom centrowym i lewicowym. W wyborach rozpisanych już po zamachu majowym, 4 marca 1928 r., BBWR wraz z sojusznikami zdobył niespełna 30% głosów – zbyt mało, by mógł wcielić w życie swój sztandarowy pomysł zmiany konstytucji. Obóz rządzący zdawał sobie sprawę, że kolejnej próby sił może już nie przetrwać. Tym bardziej że liczne zmiany rządów oraz dekoniunktura gospodarcza przechylały sympatie społeczne na stronę opozycji.

Zwalczane na różne sposoby stronnictwa lewicy i centrum wykazywały zdumiewającą żywotność. Nadal miały sejmową większość, a wielokrotne próby rozbicia ich jedności przynosiły odwrotny efekt. Z inicjatywy Polskiej Partii Socjalistycznej 14 września 1929 r. odbyło się spotkanie ugrupowań opozycyjnych, którego rezultatem była wspólna uchwała o parlamentarnej współpracy. Oprócz przywódców PPS dokument podpisali reprezentanci PSL „Piast”, PSL „Wyzwolenie”, Stronnictwa Chłopskiego, Narodowej Partii Robotniczej (NPR) i chadecji. Tak powstał blok, który przeszedł do historii pod nazwą Centrolew.

Niedługo przyszło czekać na sukcesy Centrolewu. Pierwszym było niedopuszczenie do przyjęcia budżetu podczas sesji zwołanej przez prezydenta Ignacego Mościckiego na 31 października 1929 r.

Pomimo przybycia do Sejmu Piłsudskiego w towarzystwie uzbrojonych oficerów marszałek Ignacy Daszyński odmówił otwarcia obrad „pod karabinami i szablami”. Na kolejnej sesji, 6 grudnia, głosami Centrolewu uchwalono wotum nieufności dla gabinetu Kazimierza Świtalskiego. „Parlamentaryzm polityczny doby dzisiejszej przeżył się i nie jest już zdolny do spełniania zadań, jakie życie nowoczesnego państwa nań nakłada”, skomentował działania Centrolewu nowy premier, Kazimierz Bartel, który objął tę funkcję już po raz piąty w ciągu trzech lat.

Wiece i aresztowania

W Sejmie wytworzył się impas. W marcu 1930 r., po niespełna trzech miesiącach, Bartel podał się do dymisji. Pomimo braku większości sejmowej na jego następcę prezydent wyznaczył Walerego Sławka, kolejnego z pułkowników związanych z Piłsudskim. W odpowiedzi Centrolew zwołał na 23 kwietnia Kongres Obrony Prawa i Wolności Ludu. Przedstawiciele partii opozycyjnych przyjęli uchwałę o konieczności obalenia dyktatury Piłsudskiego oraz zapowiedzieli organizację kolejnych wieców i manifestacji. Tego było dla marszałka za wiele. Za jego przyzwoleniem rozpoczęto kampanię zastraszania przeciwników politycznych. 23 sierpnia 1930 r. Piłsudski sam stanął na czele nowego rządu. Sześć dni później wymusił na prezydencie rozwiązanie parlamentu i nakazał przygotowania do aresztowania przywódców Centrolewu.

Na 14 września 1930 r. Centrolew zapowiedział we wszystkich większych miastach manifestacje przeciwko rządom sanacyjnym. Uprzedzając działania opozycji, w nocy z 4 na 5 września minister spraw wewnętrznych Felicjan Sławoj Składkowski nakazał aresztowanie 19 przedstawicieli partii opozycyjnych, m.in. Adama Ciołkosza, Stanisława Dubois

eprasa.pl 569ad48947

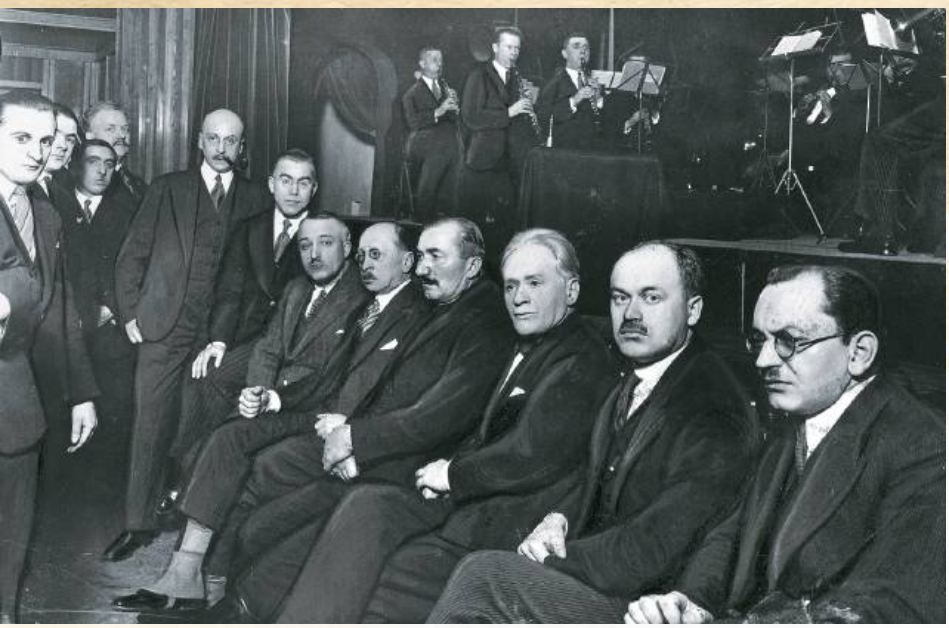

Przyjęcie na cześć oskarżonych w procesie brzeskim. Od lewej Adam Ciołkosz, Józef Putek, Herman Lieberman, Wincenty Witos, Władysław Kiernik, polityk Karol Popiel (nie był oskrżony), Kazimierz Bagiński i Adam Pragier. Warszawa, styczeń1932 r.

i Hermana Liebermana z PPS, Wincentego Witosa z PSL „Piast" oraz Karola Popiela z NPR, a także dwóch działaczy prawicowego Stronnictwa Narodowego i pięciu posłów ukraińskich. Kilka dni później do tej grupy dołączył Wojciech Korfanty, czołowy przedstawiciel chadecji.

Aresztowanych osadzono w twierdzy brzeskiej. Położony u ujścia rzeki Muchawiec kompleks fortyfikacji uniemożliwiał przeprowadzanie w jego pobliżu jakichkolwiek demonstracji. Komendantem twierdzy nie przez przypadek został płk Wacław Kostek-Biernacki, który jeszcze jako szef żandarmerii w Legionach Polskich zyskał miano Kostka-Wieszatiela. Za jego przyzwoleniem więźniów poniżano, bito i zastraszano. Szczególnie brutalnie obchodzono się z Liebermanem, Popielem i Korfantym.

Uwięzienie w Brześciu 19 przywódców opozycji było tylko wstępem do dalszych aresztowań. Niemal każdy przedwyborczy wiec opozycji kończył się rozpędzeniem przez policję i zatrzymaniem organizatorów. Podczas jednej tylko manifestacji sympatyków Centrolewu w Warszawie zginęły dwie osoby, a 80 zostało rannych. Jak szacuje prof. Andrzej Ajnenkiel, w więzieniach osadzono 30% składu klubów parlamentarnych poprzedniej kadencji. W trakcie całej, dwumiesięcznej zaledwie kampanii wyborczej za działalność polityczną zatrzymano ok. 1,6 tys. osób.

Wybory parlamentarne przeprowadzono 23 listopada 1930 r. Przyniosły one zdecydowane zwycięstwo obozowi rządzącemu. Blok Centrolewu zdobył niespełna 18% głosów. Niezwłocznie po głosowaniu aresztowanych polityków przewieziono z Brześcia do Warszawy, by następnie zwolnić ich za kaucją. Cel został osiągnięty. Sanacja zdobyła parlamentarną większość, a jej najzagorzalsi przeciwnicy znaleźli się poza Sejmem. Wydawało się, że sprawa brzeska zostanie po cichu zamieciona pod dywan. Władza jednak miała inne plany.

Spokój oskarżonych

Proces 11 przywódców Centrolewu rozpoczął się 26 października 1931 r. w warszawskim sądzie okręgowym. W akcie oskarżenia napisano, że przywódcy Centrolewu „wspólnie przygotowywali zamach, którego celem było usunięcie przemocą członków sprawującego w Polsce władzę rządu i zastąpienie ich przez inne osoby, wszakże bez zmiany zasadniczego ustroju państwowego". Innymi słowy, Liebermanowi, Korfantemu, Witosowi i innym zarzucano chęć powrotu do demokratycznych standardów sprzed zamachu majowego. Na salę rozpraw sprowadzano licznych świadków, których zeznania miały potwierdzić antypaństwowy charakter Centrolewu. Według relacji jednego z nich „Stronnictwo »Piast« zajęło bezwzględnie negatywne stanowisko do zamierzeń Piłsudskiego już od samego przewrotu majowego". Inny świadek – komisarz policji – oskarżał Kazimierza Bagińskiego z PSL „Wyzwolenie" o to, że jako poseł nazwał Piłsudskiego „wariatem na czele 30-milionowego narodu". Oskarżenia te wiele mówią o atmosferze tamtych lat, kiedy każde słowo przeciwko marszałkowi groziło pobiciem przez nieznanych sprawców lub więzieniem.

Obserwatorzy procesu konfrontowali nachalność oskarżeń ze spokojem oskarżonych. Głośnym echem odbiły się słowa Władysława Kiernika z PSL „Wyzwolenie", który na tyradę prokuratora odpowiedział: „Jeżeli chodzi o członków rządu, to mogliśmy ich aż do sierpnia 1930 r. obalić, ileśmy chcieli, bo mieliśmy większość w parlamencie. A jeżeli oskarża się nas o obalenie dyktatury, to z jakiego tytułu prokurator staje po stronie nielegalnej zupełnie formy rządzenia w konstytucyjnym państwie?".

Jeszcze dosadniej wypowiedział się adwokat Jan Nowodworski: „Twórcy specjalnej konstrukcji ideowej prawa państwowego – przypominał w mowie końcowej – którzy głoszą, że muszą utrzymać się przy władzy, bo silny rząd to silne państwo, zapominają, że najsilniejszy nawet rząd musi upaść, jeżeli nie ma podstawy istnienia w zaufaniu narodu. A że tego zaufania sanacja nie posiada, o tym chyba nikt nie wątpi".

Zamiast pogrążyć oskarżonych, proces stał się wielką manifestacją sprzeciwu wobec rządów sanacji. Witold Grabowski, główny oskarżyciel, przyznawał: „Chwilami zatracałem tutaj poczucie rzeczywistości, nie wiedziałem, która strona reprezentuje oskarżonych. Chwilami czułem się jak ktoś oskarżony, oskarżony o wszystko". Jakby w odpowiedzi na te słowa

FOT. NAC

eprasa.pl 569ad48947

Stanisław Dubois z PPS mówił przed sądem: „My, oskarżeni w tym historycznym procesie, nie mamy się z czego tłumaczyć, bo my właściwie jesteśmy tu oskarżycielami”.

Obóz rządzący zdawał sobie sprawę, że proces wymknął mu się spod kontroli. Nawet sprzyjający sanacji dziennikarze, jak Stanisław Cat-Mackiewicz, krytykowali propagandowy charakter rozpraw. Na nic się zdały próby oskarżenia przywódców Centrolewu o przygotowywanie zbrojnego przejęcia władzy, m.in. za pomocą gazów bojowych i granatów. Jedna z „wywiadowczyń” delegowanych na wiece PPS twierdziła wręcz, że słyszała, jak nawoływano do zgładzenia Piłsudskiego. Dopiero naciskana przez obrońców przyznała, że „nie zeznawała kategorycznie”, a jedynie wywnioskowała, że chodziło o zabójstwo marszałka. Wyrok ogłoszono 13 stycznia 1932 r. Wbrew nadziejom obrońców proces nie stał się „rehabilitacją Brześcia”, lecz przyniósł wyroki skazujące. Uniewinniony został jedynie Adolf Sawicki ze Stronnictwa Chłopskiego. W przypadku pozostałych oskarżonych sąd przychylił się do wniosku prokuratury, a więc uznał, że dążyli oni do siłowego obalenia rządu. Przestępstwo to podlegało karze ciężkich robót do lat ośmiu. Jednak przywódcom Centrolewu oszczędzono najwyższego wymiaru kary. Najniższy wyrok – półtora roku więzienia – usłyszał Wincenty Witos. Bagiński, Lieberman, Barlicki i Kiernik zostali skazani na dwa lata. Pozostali oskarżeni mieli spędzić w więzieniu rok więcej.

Emigracja albo więzienie

Ogłoszenie wyroku wywołało burzę w parlamencie. 15 stycznia opozycja złożyła wniosek o wotum nieufności dla rządu, uzasadniając to rewelacjami o nadużyciach władzy, jakie wyszły na jaw w trakcie procesu brzeskiego. Posłów Centrolewu szczególnie zbulwersował brak reakcji prokuratury na doniesienia o brutalnym traktowaniu więźniów w Brześciu, a także wiadomość o inwigilacji partii opozycyjnych przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. „Proces ujawnił takie morze gwałtów i deprawacji, że obowiązkiem naszego sumienia jest podnieść głos”, mówił z trybuny sejmowej poseł PPS Zygmunt Żuławski.

„Czy mamy rozwijać się tak jak Zachód, czy też mamy rozwijać się tak jak Wschód?”, pytał „Robotnik”, dziennik PPS. Odpowiedź dała rozprawa apelacyjna, która odbyła się od w dniach 7-11 lutego 1933 r. – ponad rok od zakończenia procesu. Władze liczyły, że w międzyczasie oskarżeni, którzy wcześniej odpowiadali z wolnej stopy, dobrowolnie udadzą się na emigrację. Jednak żaden z 10 skazanych nie zdecydował się wyjechać z kraju. W związku z tym sąd apelacyjny zatwierdził wyrok pierwszej instancji. Promień nadziei pojawił się w maju, kiedy Sąd Najwyższy nakazał ponowne rozpatrzenie sprawy. Zwołana na lipiec druga rozprawa przed sądem apelacyjnym zakończyła się ponownie wyrokiem skazującym, zatwierdzonym tym razem przez Sąd Najwyższy.

Najsilniejszy nawet rząd musi upaść, jeżeli nie ma podstawy istnienia w zaufaniu narodu.

Skazani znów stanęli przed wyborem – emigracja albo więzienie. Pierwszą możliwość wybrał m.in. Wincenty Witos. Pod koniec września 1933 r. udał się do Czechosłowacji, skąd nadal prowadził działalność polityczną. Z kraju wyjechali także Adam Pragier, Władysław Kiernik, Kazimierz Bagiński i Herman Lieberman. Ten ostatni osiadł we Francji, gdzie założył Ligę Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Pozostali, wśród nich Adam Ciołkosz i Stanisław Dubois, wybrali więzienie.

Szykany wobec skazanych działaczy Centrolewu kontynuowano aż do 1939 r. Ciołkoszowi, który wyszedł z więzienia w 1934 r., uniemożliwiono powrót do polityki. Najpierw otrzymał zakaz kandydowania do rady miasta Krakowa. Kiedy zaś zdobył mandat w Tarnowie, unieważniono i ten wybór. Podobny los spotkał innego polityka PPS, Norberta Barlickiego, któremu w 1937 r. uniemożliwiono objęcie funkcji prezydenta Łodzi. Represje spotykały także rodziny skazanych. Wkrótce po zakończeniu drugiej rozprawy ojcu Stanisława Dubois Mieczysławowi odebrano na pewien czas rejenturę w Brześciu Kujawskim, a jego żonie robiono trudności w znalezieniu pracy.

Zupełnie inaczej potoczyły się losy osób z drugiej strony barykady. Komendant twierdzy brzeskiej, Kostek-Biernacki, w nagrodę za służbę został mianowany wojewodą nowogródzkim, a następnie poleskim. Od lipca 1934 r. pod jego bezpośrednim nadzorem znajdował się obóz odosobnienia w Berezie Kartuskiej. Główny oskarżyciel z procesu brzeskiego, Witold Grabowski, w lipcu 1936 r. otrzymał nominację na ministra sprawiedliwości i funkcję tę pełnił aż do wybuchu II wojny światowej. (…)

Sprawa brzeska oznaczała koniec demokracji w II Rzeczypospolitej. Dowodziła, że obóz sanacyjny nie cofał się przed niczym, aby utrzymać i umocnić władzę. Aresztowanie posłów Centrolewu oraz ich proces były szeroko komentowane w prasie zagranicznej, która zaczęła opisywać Polskę Piłsudskiego w tych samych kategoriach co Włochy Mussoliniego czy Niemcy Hitlera. Największe jednak szkody Brześć wyrządził polityce krajowej. Pozbawił państwo polskie części jego elity, ludzi o niebotycznych talentach, będących wówczas w pełni sił politycznych i intelektualnych. Ich miejsce zajęły osoby, których największym atutem często był mundur wojskowy.

Brześć, podobnie jak zamach majowy czy Bereza Kartuska, to ciemna karta w historii Polski międzywojennej. Polski, do której spuścizny tak chętnie nawiązuje dzisiejsza prawica. Zapewne dlatego temat ten jest pomijany lub – w najlepszym wypadku – marginalizowany przez wielu współczesnych historyków, o politykach nie wspominając. I zapewne dlatego 80 lat od ogłoszenia haniebnego wyroku jego ofiary nadal nie mogą doczekać się rehabilitacji.

Krzysztof Wasilewski

Tekst ukazał się w „Przeglądzie” 15 stycznia 2012 r.

eprasa.pl 569ad48947

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Komisja Śmierci Publicznej

O „Państwowej Komisji do spraw badania wpływów rosyjskich na bezpieczeństwo wewnętrzne Rzeczypospolitej Polskiej w latach 2007-2022”, która właśnie została powołana głosami sejmowej większości i błyskawicznie podpisana przez Andrzeja Dudę („prezydent”), nie da się rozmawiać na poważnie. To znaczy, sprawa jest fundamentalnie poważna, ale rozmawiać nie ma z kim ani o czym. To nie jest bubel prawny, to nie jest jakieś naciągnięcie prawa czy jakakolwiek próba wyjaśnienia czegoś, to nie jest właściwie nawet akt prawny mimo całego formalnego anturażu. To jest de facto dokument wywracający na nice porządek, reguły, zasady, ducha i literę polskiej konstytucji. W rzeczy samej jest to zapisany w ustawie zamach stanu, ale – jak słyszeliśmy od lat – tak przecież nie wolno mówić, nie wolno straszyć na wyrost, nie ma co histeryzować.

Ta ustawa poczęła się z ubezwłasnowolnienia prokuratury podporządkowanej ministrowi sprawiedliwości, z zawłaszczenia tzw. mediów publicznych, przejęcia Trybunału Konstytucyjnego i już niemal faktycznego politycznego zdominowania Sądu Najwyższego przez namaszczonych przez obecną władzę niby-sędziów, zwanych też łagodnie neosędziami. Wszystkie te kroki prowadziły logicznie w tym kierunku, były warunkiem koniecznym, ale niewystarczającym do utrzymania władzy, do osłabienia strachu przed poniesieniem odpowiedzialności zarówno politycznej, jak i w wielu przypadkach karnej przez liczną grupę osób z dzisiejszej ekipy rządzącej.

Komisja tak skonstruowana nie tyle nawet nie ma jakichkolwiek odpowiedników czy nie wykazuje podobieństwa do istniejących w państwach Unii Europejskiej instytucji, ile po prostu jest całkowicie poza orbitą obowiązujących tu wolności i gwarancji obywatelskich.

Oczywiście życie przez osiem lat w przekonaniu, że PiS, jakiekolwiek by było (a i poprzednicy mają sporo za uszami), jest zwykłą, kolejną partią u władzy, którą zdobyło niekwestionowaną drogą demokratyczną, całkowicie nas znieczuliło jako społeczeństwo. Zmęczyło i wyczerpało. Opór był wybiórczy, bardzo klasowy, cichnący, tracący impet i żar. A pięść władzy się zaciskała, nawet bez konieczności wymierzania bolesnych ciosów. A co to takiego ta niby-konstytucja? A wcześniej to niby była przestrzegana? Kaczyński rozmontował system precyzyjnie i planowo, krok po kroku, bez przypadkowości i bez zahamowań. Rozważał czarny scenariusz utraty władzy. Wygląda na to, że im bardziej ta ewentualność do kaczystów docierała (choć czy to naprawdę realny scenariusz?), tym bardziej rosła akceptacja dla działań skrajnie autorytarnych. Aż urosła i wypluła z siebie komisję, która każdego polityka i dowolnego obywatela może wyrzucić poza nawias rzeczywistej obecności w polityce, w ewentualnym rządzie, w pełnieniu jakichkolwiek funkcji publicznych. Do zrealizowania tego celu został zaprzęgnięty cały aparat bezpieczeństwa, z dostępnymi technologiami inwigilacji, podsłuchów, podglądów, z nieograniczonym, za to tajnym dostępem do całej wiedzy o ewentualnym celu. Czyli człowieku.

Czy tylko Donald Tusk jest na celowniku? Raczej nie. W takim scenariuszu niezbędny będzie nawet jakiś pisowski osiołek ofiarny, którego się poświęci na ołtarzyku tak skonstruowanego – podkreślmy, raczej bezkrwawego i niewymagającego jeszcze stworzenia Berezy Kartuskiej – zamachu. Biurokratycznego przewrotu politycznego, którego świadomości nie będzie nawet miała większa część społeczeństwa.

Media publiczne już zacierają rączki, gotowe do pracy demaskatorskiej i frontalnego wsparcia obozu rządzącego w atakach na kolejne cele (ludzkie, polityczne). Robią to od lat bez skrupułów, teraz jeszcze trzeba będzie dokręcić śrubę. Media komercyjne też zacierają rączki – na nadchodzący show, byle się działo i kręciło, a pieniążki wyklikiwały, podlane sosem fałszywej motywacji. „Niezależnie od tego, na jaki poziom świństwa wejdzie polska polityka, nikt nas – czyli mediów – nie zwolnił z obowiązku jej relacjonowania – podkreśla Bogusław Chrabota, prezes Izby Wydawców Prasy i redaktor naczelny „Rzeczpospolitej”. – Dziennikarstwo zaczyna trochę przypominać zawód szambiarza; trzeba zatkać nos i robić swoje. Mizdrzenie się, że coś jest moralnie/etycznie/formalnie niefajne i dlatego tego nie zauważymy, jest nieprofesjonalne, bo ludzie, niezależnie od poglądu na rzeczywistość, mają prawo do informacji”.

> Komisja do badania wpływów rosyjskich to zamach stanu, ale – jak słyszeliśmy od lat – tak przecież nie wolno mówić.

Zapyta ktoś, co robić. Nie ma jednej i dobrej odpowiedzi. Uważam, że opierając się wprost na konstytucji, jak orzekali niegdyś sędziowie, należy odmawiać udziału w tym wcale nie niewinnym spektaklu. Jeśli już i tak zostanie się dowleczonym (Panie pośle, polityku, dziennikarzu, ja tylko wykonuję rozkazy, co ja mogę, nic nie mogę, ale niech pan o mnie pamięta, że byłem nawet trochę przeciw) przed oblicze inkwizycji, a posłowie PiS i prezydent zadbali o takie zapisy – to trzeba milczeć jak grób. Albo założyć na twarz maskę Jarosława Kaczyńskiego (albo i Lecha) lub Jana Pawła II czy innego kardynała. Nie jest mi do śmiechu.

Tak naprawdę 31 maja 2023 r. przywrócono w Polsce karę śmierci. Cywilnej czy publicznej. Nikomu nie życzę.

1 czerwca 2023 r.

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 569ad48947

Sądy matek nie słuchają

Zamiast tego lubią je karać, często drastycznie – odbierając im dzieci

Anna Stachowiak

Od kilku lat w polskim sądownictwie przybiera na sile niepokojący trend – umieszczanie dzieci w pieczy zastępczej w sytuacji, kiedy rodzice „nie mogą się dogadać". W sądzie nazywa się to konfliktem, w języku psychologów – przemocą. Bo konflikt jest wtedy, kiedy obie strony są równe. Przemoc – gdy jedna ma przewagę: ekonomiczną, fizyczną, seksualną. Albo jakąkolwiek inną. Sądy nie traktują przemocy poważnie, jeśli zgłaszają ją kobiety. Jako środek zaradczy stosują umieszczanie dzieci w pieczy zastępczej, często na wniosek tego z rodziców, wobec którego toczyło się lub toczy postępowanie karne o znęcanie się nad rodziną. Drugim rozwiązaniem, po które sięgają sędziowie wydziałów rodzinnych, jest odbieranie dziecka zgłaszającym przemoc matkom i umieszczanie go u ojca, co do którego istnieją zarzuty stosowania przemocy.

Anna: – Ida ma siedem lat. Za chwilę ją stracę, bo sposób, w jaki sędzia prowadzi postępowanie, wskazuje, że sprawa zmierza w jednym kierunku. Sędzia nie reaguje na moje wnioski dowodowe, na opinie terapeutów ani na pisma od posłów i posłanek oraz instytucji pozarządowych, które są zaniepokojone rozwojem sprawy i ewidentnymi nieprawidłowościami w prowadzonym postępowaniu. Ojciec mojej córki ma udokumentowane uzależnienie od alkoholu, a jednak sąd nie widzi problemu, by powierzać mu dziecko. Które w dodatku ma jechać w jedną stronę 700 km do taty. I z powrotem, co oznacza także ignorowanie szkoły. Ale sąd swoje. Pisze wprost o alienacji rodzicielskiej.

Matki niepokorne

Owa alienacja rodzicielska robi w Polsce zawrotną karierę. Właśnie na tej podstawie – izolowania dziecka od drugiego rodzica, zwykle ojca, wobec którego istnieją zgłoszone przez matkę podejrzenia lub nawet zarzuty prokuratorskie – matki starające się chronić dzieci przed przemocą są karane finansowo. Dotkliwie.

Stowarzyszenie Eurydyka w „Raporcie o przymusowym wykonywaniu kontaktów przez dzieci w latach 2016-2023", opierając się na danych z sądów, wyliczyło, że wysokość tych kar zbliża się już do 7 mln zł. „Ojcowie występują o zajęcia komornicze w maksymalnych zakresach z tytułu niechęci dzieci do realizacji kontaktów – piszą autorki raportu i podają przykłady: – Ojciec zajął komorniczo mieszkanie, które było własnością mamy i miejscem zamieszkania jej i dziecka. Następnie sprzedał mieszkanie, a mama z dzieckiem znalazła się na bruku za to, że dziecko odmawiało spotkań z ojcem".

Stowarzyszenie przytacza historię Katarzyny: „Ojciec szarpał dzieci, u jednego wywołał krwotok, na co patrzyło starsze dziecko. Dzieci boją się nieobliczalnych zachowań ojca. A ja zapłaciłam za nieprawidłowe wykonywanie kontaktów już ponad 40 tys. zł. Ojciec, widząc syna na ulicy poza jego dniem kontaktu, udaje, że go nie zna. Dzieci traktowane są jak towar, na którym można zarobić".

Beata: – Za każdy niezrealizowany kontakt mam 500 zł kary. Mimo że sąd doskonale wie, bo przecież chyba czytał opinie psychologów i psychiatrów opiekujących się córką, że ona po prostu odmawia tych kontaktów.

Dlaczego odmawia? – Pamięta, że kiedy mieszkaliśmy razem, jej ojciec był zwykle pijany – tłumaczy Beata. – A wtedy rzucał się i do mnie, i do niej. Czasem bił, czasem udawał miłego. Kiedy zaczął dziwnie się zachowywać w stosunku do córki, uciekłam.

„Dziwnie" oznacza, że molestował dziecko. Tak napisali w opiniach

eprasa.pl 569ad48947

psycholodzy. Ale ich opinii sąd nie bierze pod uwagę. Bo nie musi.

Ona uciekła, a on na jednym z licznych forów dla ojców znalazł wiadomości o alienacji. Inni mężczyźni doradzili mu, jak wykorzystać brak kontaktu z dzieckiem. I finansowo, i procesowo. W ekstremalnych przypadkach, takich jak u Anny, dziecko zostaje odebrane matce, która próbowała je ochronić. I trafia albo do rodziny zastępczej (żeby ukarać rodziców za „konflikt"), albo do przemocowego drugiego rodzica, zwykle ojca.

Alienacja – słowo wytrych

A wszystko to przez zarzuty stosowania przez matki alienacji rodzicielskiej. To pojęcie wywodzące się z praktyki amerykańskiego psychiatry Richarda Gardnera. Zostało ono na świecie zdyskredytowane jako fałszywe i wprost godzące w dobro dzieci. Ze stosowania tego terminu wycofała się Światowa Organizacja Zdrowia, o nieużywanie go apelują Parlament Europejski i grupa ekspertów GREVIO, podobne stanowisko zajęły europejskie i amerykańskie stowarzyszenia psychiatrów i psychoterapeutów. Rzecznik praw obywatelskich zwracał się do sądów, by nie powoływały się na pojęcia alienacji rodzicielskiej i syndromu alienacji rodzicielskiej, wskazując, że przyczynia się to do tragedii dzieci i matek.

Anna: – Szczerze? Dzisiaj, wiedząc, jak to wszystko wygląda, pewnie już nie zgłosiłabym przemocy. Po prostu zniknęłabym, wyjechała. Liczyłam na sąd, na sprawiedliwość – byłam głupia. Sprawa toczy się od prawie czterech lat, ja straciłam zdrowie, nerwy, pieniądze, a za chwilę stracę córkę. A sąd robi, co chce.

Agata Diduszko-Zyglewska, publicystka, aktywistka, radna Warszawy: – Jako radna bywam na rozprawach w charakterze osoby zaufania publicznego, więc widzę, co oznacza stosowanie pojęcia alienacji rodzicielskiej. Jest to realizacja marzenia prawicowego fundamentalisty. W świetle tej teorii dziecko jako osoba zdolna wyrażać własną wolę i pragnienia znika. Znika też jako wartość relacja między matką a dzieckiem. Kluczowy staje się dobrostan ojca, a głównym zadaniem mamy dziecka jest dbanie o zachowanie za wszelką cenę relacji z ojcem, nawet wtedy, kiedy jest przemocowcem, osobą uzależnioną lub molestuje dziecko. Za nierealizowanie tego zadania matkę i dziecko czekają kary pieniężne, a także, na życzenie ojca, rozdzielenie. To kolejna odsłona piekła kobiet i dzieci, które w Polsce stworzyło PiS.

Odpowiedzialność, nie władza

Anita Kucharska-Dziedzic, posłanka Lewicy i szefowa parlamentarnego zespołu ds. podmiotowości dziecka w prawie krajowym, podkreśla: – Dopóki dzieci traktujemy jako przedmioty, a nie podmioty polityki, są małe szanse na zmianę. Spójrzmy na terminologię: w prawie mamy kategorię „władzy rodzicielskiej", nie zaś „odpowiedzialności". Apelujemy o zmianę tego pojęcia, tak by uwzględniało podmiotowość dziecka. Podobnie kobiety traktowane są jak obywatelki drugiej kategorii. Sądy nie dają im wiary, kiedy zgłaszają przemoc wobec siebie i dzieci. Konsekwencje kuriozalnych i zwyczajnie niebezpiecznych decyzji sędziów ponoszą dzieci i matki. Często kończy się to siłowym oderwaniem dziecka od bezpiecznego rodzica, jakim jest matka, i przekazaniem go pod opiekę przemocowca. Dla dziecka takie doświadczenie to trauma na całe życie.

Posłanka takich spraw zna wiele, bo o pomoc zwracają się do niej setki zrozpaczonych matek. Ostatnio wysłała do kilku sądów pisma, pytając o rażące nieprawidłowości w sprawach o opiekę nad dziećmi, kiedy mowa była o alienacji rodzicielskiej. – Od kiedy w sądach pojawił się ten termin, zjawisko odbierania dzieci dobrym matkom przybrało na sile, a z karania ich finansowo za niezrealizowane kontakty zrobił się niezwykle lukratywny biznes. Co ciekawe, panowie często tracą zainteresowanie kontaktami z dziećmi, kiedy nie są one już obłożone potencjalnymi karami dla matek.

Wniosek? Często chodzi nie o kontakty z dziećmi, lecz o maksymalne utrudnienie życia matce – byłej żonie czy partnerce. Psycholodzy określają takie zachowania jako przemoc poseparacyjną. Bywa, że jest ona bardziej dotkliwa od tego, co działo się w związku, kiedy jeszcze trwał. Sądy nie reagują. ■

NAGRODA SAMORZĄDOWA
im. NORBERTA BARLICKIEGO

Zarząd Stowarzyszenia Rzeczpospolita Obywatelska informuje, że uruchomiona została 12. edycja Nagrody Samorządowej im. Norberta Barlickiego w roku 2023.

Nagroda jest przyznawana osobom fizycznym i prawnym związanym z samorządem terytorialnym za działania na rzecz wspólnot samorządowych w Polsce.

Osoby fizyczne mogą otrzymać nagrodę w kategoriach:
- Samorząd miejski,
- Samorząd powiatowy,
- Samorząd województwa,
- Całokształt działań na rzecz samorządu terytorialnego.

Osoby prawne mogą otrzymać nagrodę w kategoriach:
- Jednostka samorządu terytorialnego,
- Organizacja pozarządowa,
- Firma przyjazna samorządowi terytorialnemu.

Zgłoszenia kandydatur do pierwszego etapu selekcji laureatów nagrody można składać do 10 lipca 2023 r., pocztą na adres: Zarząd Stowarzyszenia Rzeczpospolita Obywatelska, ul. Czackiego 7/9, II piętro, 00-043 WARSZAWA lub elektronicznie na adres: zarzad@stowarzyszeniero.pl.

Nagroda zostanie przyznana przez kapitułę pod przewodnictwem prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Uroczystość wręczenia nagród odbędzie się we wrześniu 2023 r.

Więcej informacji na stronie: www.stowarzyszeniero.pl.

Stowarzyszenie Rzeczpospolita Obywatelska

Jan K. Czubak, sekretarz Zarządu Stowarzyszenia Rzeczpospolita Obywatelska

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 569ad48947

Helena Leman

Było pole, jest daczowisko

Gmina Chojnice walczy z dziką zabudową

Wraz z nadejściem cieplejszych dni, gdy ruszamy w plener, wraca temat samowoli budowlanych na terenach unikatowych przyrodniczo. To problem wszechobecny jak Polska długa i szeroka. Ostatnio zrobiło się głośno o samowolach budowlanych na półwyspie Miechurz, w gminie Chojnice, w otulinie Parku Narodowego Bory Tucholskie. 8 marca br., na wniosek właścicieli działek z półwyspu, wojewódzki sąd administracyjny unieważnił obowiązujący tu od 10 lat plan miejscowy, który zabraniał zabudowy kubaturowej na tym terenie. Mieszkanka napotkana w Małych Sworach, jak potocznie nazywa się Małe Swornegacie, gdy pytam ją o porządki na półwyspie, macha tylko ręką: – Bałagan i tyle. Obrabiamy tam pole, ale w ostatnich latach teren zmienia się powoli z rolniczego w daczowisko. Nowi właściciele zawlekają różne budy, przyczepy kempingowe, wychodki, stawiają płoty, nawet drzewa owocowe sadzą. Mnie to się nie podoba, dla natury trzeba zostawić miejsce. Odkąd pamiętam, na półwyspie zawsze była ostoja ptaków, co gniazdują w rozległych trzcinowiskach, i tak powinno zostać. Nie można wszystkiego zabudować. Zresztą rolnicy w takich wsiach jak nasza też są upchnięci. A to piła hałasuje za głośno, a to traktor przeszkadza, a to obornik śmierdzi. Kiedyś ludzie życzliwsi byli.

Półwysep Miechurz to jeden z najpiękniejszych zakątków regionu. Tutaj krzyżują się korytarze ekologiczne.

W połowie maja w gminie Chojnice została powołana specjalna komisja, która ma skupiać przedstawicieli samorządów, Parku Narodowego Bory Tucholskie, Zaborskiego Parku Krajobrazowego, Wód Polskich oraz inspekcji nadzoru budowlanego. Jej zadaniem będzie walka z samowolami budowlanymi na terenach chronionych. Pierwszym obszarem, który weźmie pod lupę, ma być półwysep Miechurz położony pomiędzy jeziorami Karsińskim i Długim.

– Wspólnymi siłami chcemy podjąć działania. Jeśli nie ukrócimy tego procederu, który rozwija się w imponującym tempie, nie jesteśmy godni piastowania naszych funkcji – mówił mediom wójt gminy Chojnice Zbigniew Szczepański. – Półwysep Miechurz to jeden z najpiękniejszych zakątków regionu. Tutaj krzyżują się korytarze ekologiczne. Żartobliwie mogę powiedzieć, że jeśli dopuścimy do zabudowy tego terenu, to nasze zwierzęta z lasów będą się ustawiać w kolejce na moście zwodzonym w Małych Swornegaciach, żeby przejść na drugą stronę.

Strefa działek

Przy drewnianym krzyżu we wsi skręcam w prawo, w piaszczystą drogę. Przy niej po lewej stronie duża działka ogrodzona siatką, za nią łąka, wśród zieleni żółcą się mlecze i tabliczki z napisami: „Teren prywatny. Wstęp wzbroniony”. Między drzewami nad wodą pomost, trzciny przetrzebione, brzeg zryty, powyżej kupa kamieni, altana i przyczepa holenderska, wszystko właśnie grodzone plastikową siatką. Na skraju lasu, między drzewami najrozmaitsze ogrodzenia. Ciemnozielone, szare zasłony wiszą smętnie, szpecąc krajobraz. Płoty z siatki leśnej giną w zieleni, ale są nie do przejścia dla większych zwierząt. Na jednej z działek przy brzegu jeziora ślady po wycince ok. 10 drzew, nad wysprzątanym terenem okrągła, żółta tablica z rysunkiem łódki i napisem: „Strefa działek Natura 110 procent. Rzuć kotwicę tutaj”, obok numer telefonu. Kilkadziesiąt metrów dalej podobna tablica z sierpnia ub.r., z napisem: „Berlin aus 1939 Meine Erholung”. Podpisano: „Josefs Gruppe”. Drewniany drogowskaz między drzewami prowadzi z kolei na „Łączną 43, teren prywatny” z drewnianą altaną, przyczepą i pomostem nad jeziorem. Widać po dorodnym bluszczu, że ktoś tu jest mocno zadomowiony, na drzewach wszędzie kartki, że teren monitorowany.

eprasa.pl 569ad48947

Nowi właściciele zawlekają różne budy, przyczepy kempingowe, wychodki, stawiają płoty, sadzą drzewa owocowe.

– Domki letniskowe, przyczepy holenderskie, przyczepy kempingowe. Prekursorem tego całego zamieszania jest niestety nasz wicestarosta Mariusz Paluch, który tam jako pierwszy właściwie postawił domek i pomost. I to on brał udział w tym całym pozwie. Według mnie członek zarządu powiatu, który występuje przeciwko gminie, która jest składnikiem tego powiatu… to tutaj ciężko w ogóle coś o tym powiedzieć – mówiła lokalnemu radiu mieszkanka gminy, która pierwsza zasygnalizowała problem.

Pan wicestarosta ryby nęci

Las sosnowy zajmuje środkową część półwyspu Miechurz, po wyjściu z niego roztacza się widok na dwa jeziora, po lewej na Jezioro Długie, po prawej na Karsińskie. Jednak to nie przepiękny krajobraz najpierw rzuca się w oczy, ale skupisko białych, plastikowych przyczep otoczone siatką, na której wisi kartka z informacją, że obiektu strzeże agencja ochrony z Chojnic. Gdy pytam kobiety wypoczywające na działce po drugiej stronie drogi, gdzie znajdę posesję wicestarosty, starsza reaguje nerwowo. Nie daje mi dojść do słowa. Podkreśla, że dom urzędnika, o którym tak głośno, to zwykła przyczepa kempingowa obita drewnem, a nie żaden pałac. Ona też prawa nie łamie, bo przyczepę ma zarejestrowaną, a na działce najwyżej kosi trawę. No, trochę jej brzegi od strony drogi obsadziła małymi iglakami i obłożyła kamykami, ale jaka to ingerencja w krajobraz. Na zakup tej ziemi ciułała latami, żeby sprawić radość niepełnosprawnej córce. Dziewczynie udziela się zdenerwowanie matki, powtarza tylko, że kocha to miejsce najbardziej na świecie i uwielbia grabić trawę. Zaraz po rozmowie kobiety pakują się i wyjeżdżają.

W połowie maja w gminie Chojnice została powołana specjalna komisja do walki z samowolami budowlanymi na terenach chronionych.

Na posesję wicestarosty, sąsiadującą z ich działką, prowadzi przez las kilkunastometrowy drewniany podest, obok niego urządzono wysypany białym kamieniem mały parking, na którym stoi samochód. Mariusz Paluch tłumaczy, że podest zbudował dla teścia, który nie chodzi. Gawędzimy przy kawie w jego pachnącej drewnem altanie, obok stoi drewniany domek z przerobionej przyczepy kempingowej. Przecież lepiej, że zdjął z niej plastik i położył drewno, płotów wielkich nie postawił, tylko takie niskie ogrodzenie ze sznurka. Zresztą on nie wierzy w tę teorię o korytarzu ekologicznym, już pięć lat minęło, jak tu jest, i nigdy nie widział, żeby przez jezioro płynęły sarny czy jelenie na drugą stronę. Kupił tę działkę z dwoma pomostami, jeden odbudował, kładąc nowy na starym, resztki starego jeszcze widać pod spodem. Zgodnie z sugestią Wód Polskich rozpoczął proces jego inwentaryzacji połączony z legalizacją.

Jest zapalonym wędkarzem, kocha przyrodę, pokazuje mi z dumą rozłożystą czarną olszę na skraju swojej działki. Wokół cisza absolutna, przez chwilę wsłuchujemy się w rechot ropucha i odpowiadającej mu żaby, jak tłumaczy mój rozmówca. Niedługo wysadzi do gruntu pomidory w ogródku, który urządził na nasłonecznionym stoku, a za chwilę pójdzie nęcić ryby, już przygotował zanętę, spodziewa się też gości pod wieczór.

A do sądu poszedł z innymi właścicielami działek z półwyspu, gdyż powinna być zachowana równowaga między człowiekiem a przyrodą, a nie tylko zakazy. Wicestarosta twierdzi, że odpowiada mu model szwajcarski zakładający symbiozę człowieka z naturą. A na cytowaną wyżej opinię jednej z mieszkanek, że od niego zaczęły się samowole na półwyspie, ma jedną odpowiedź: to wszystko zawiść, zazdrość i złośliwość. Zresztą jego działka to nieużytek rolny. Dodaje, że nie jest skłócony z władzami gminy.

Na moje wątpliwości, czy ciąg lamp solarnych wzdłuż trzcinowiska, tuż przy czarnej olszy, pasuje do okoliczności przyrody, odpowiada, że to prezent od znajomej, wstawił je, bo nie chciał jej sprawić przykrości, ale może je usunąć w każdej chwili. Miał wizytę inspekcji nadzoru budowlanego i do niektórych zaleceń się dostosował, ale podestu usunąć nie może. Spokoju też nie ma, bo ciągle ktoś go nachodzi i sprawdza.

Zakwestionowany kompromis

„Plan miejscowy zabrania jakiejkolwiek zabudowy na półwyspie Miechurz, dotyczy to również przyczep,

eprasa.pl 569ad48947

nawet tych zarejestrowanych", podkreśla w nadesłanej do mnie odpowiedzi z 15 maja Janusz Kochanowski, dyrektor Parku Narodowego Bory Tucholskie. Pomosty do 25 m wymagają zgłoszenia do Wód Polskich, które aktualnie weryfikują, czy zostały wybudowane zgodnie z prawem. Według danych WP zinwentaryzowano tam ponad 30 pomostów. Na półwyspie nie można dowolnie przekształcać krajobrazu, można prowadzić działalność rolniczą, a na gruntach leśnych wycinać drzewa zgodnie z planem urządzenia lasu. Wydawało się, że park dysponuje narzędziami do przeciwstawienia się nielegalnej zabudowie półwyspu i niewłaściwemu zachowaniu właścicieli gruntów. Takim narzędziem miał być plan zagospodarowania przestrzennego z 2013 r. Był on kompromisem pomiędzy oczekiwaniami właścicieli i samorządu lokalnego a ochroną przyrody PNBT. Wypracowanie tego kompromisu trwało dwa lata, a do uchwalonego planu nikt nie wniósł sprzeciwu. Po 2013 r. pojawili się nowi właściciele, którzy w ostatnim czasie kwestionują ten kompromis. Miesiąc temu dyrektor parku mówił jednej z gazet, że nie uzgadniano z żadnym właścicielem działki zgody na budowę pomostu na półwyspie.

W opinii PNBT z 13 kwietnia br., adresowanej do wójta gminy Chojnice, w związku z wyrokiem WSA szczególnie szeroko opisana jest istota funkcjonowania korytarza ekologicznego: „Półwysep Miechurz to miejsce, które zawsze wykorzystywane było przez zwierzęta. Z tego też powodu jego historyczna nazwa to »Zwierzyniec«. Mozaika terenów rolnych i leśnych, jaką jest półwysep, bez żadnych zakłóceń antropogenicznych, bez żadnej zabudowy, spełnia ważne funkcje dla wielu gatunków zwierząt, stwarza dogodne warunki do ich przemieszczania się i żerowania, dzięki temu terenowi organizmy występujące w Parku Narodowym Bory Tucholskie mają szansę na wymianę puli genowej i zachowanie zdrowych, rozwijających się populacji. (…) To miejsce corocznej wędrówki łosia. Trzcinowiska okalające półwysep stanowią barierę ochronną podczas wędrówek jeleni. Ze wskazanego korytarza korzystają też ptaki, związane ze środowiskiem wodnym: bąk, błotniak stawowy, żuraw, czapla siwa, perkoz dwuczuby, łyska, zimorodek czy łabędź niemy. Przykładowo żurawie przebywające w okresie wiosennym na półwyspie Miechurz niejednokrotnie znajdują swoje miejsca lęgowe w Parku. Poza ptakami wodnymi obserwowano również w pobliżu półwyspu polujące bieliki".

Zabudowanie półwyspu może skutkować izolacją terenów chronionych. Korytarze ekologiczne PNBT zostały wyznaczone i opisane w załączniku nr 7 Rozporządzenia Ministra Środowiska z 15 grudnia 2008 r. w sprawie ustanowienia planu ochrony PNBT.

Park w swojej opinii odnosi się także bezpośrednio do wyroku WSA. „W uzasadnieniu wyroku szczególne miejsce zajęły kwestie ograniczeń i zakazów. Podkreślono, że ograniczenia nie można utożsamiać z zakazem. Ale czy podział otuliny Parku na obszary, w których nie ma

eprasa.pl 569ad48947

ograniczeń w zabudowie, i na te, w których należy ją ograniczyć (korytarze ekologiczne), nie jest właśnie wypełnieniem tych zapisów?", pytają władze PNBT.

Żeby nie było precedensu

Wójt gminy Chojnice Zbigniew Szczepański wyjaśnia, że plan miejscowy nie został unieważniony. 25 kwietnia została wysłana skarga kasacyjna do NSA. Gmina może jedynie zgłaszać nielegalną zabudowę odpowiednim organom – inspekcji nadzoru budowlanego lub na policję – co nieustannie robi. „W mojej ocenie winę za taki stan rzeczy ponosi złe ustawodawstwo – podkreśla wójt. – Między innymi ustawa o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym oraz prawo budowlane, jak również organy sprawujące kontrolę prawną (sądy, SKO itp.). Nawet najbardziej precyzyjne zapisy planu miejscowego nie są w stanie zablokować dzikiej zabudowy. Trzeba zmienić mentalność ludzi, podejście do ochrony przyrody i krajobrazu, które są naszym dobrem wspólnym".

Aktualnie według oceny gminy działki na półwyspie Miechurz ma ok. 45 właścicieli. 10 lat temu, gdy konsultowano plan miejscowy, było ich tylko paru, problem zaczął narastać w ostatnich latach.

„Moim zdaniem – kontynuuje wójt – cenne pod względem przyrodniczym obszary powinny być objęte wyższą formą ochrony przyrody, jak rezerwaty. Instytucje powołane do ochrony przyrody, m.in. parki narodowe, powinny mieć instrumenty pozwalające na wykup terenów na podobnej zasadzie, jak to się odbywa przy realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych".

Wspomniana komisja do walki z samowolami jest na etapie formalizowania składu personalnego. Wójt chciałby, żeby działała nie tylko doraźnie, ale też wypracowała rozwiązania, jak przeciwdziałać dzikiej zabudowie.

Aktualnie działki na półwyspie Miechurz posiada 45 właścicieli. 10 lat temu, gdy konsultowano plan miejscowy, było ich kilku.

Największy problem gmina ma z napływem przyczep kempingowych z Europy Zachodniej, gdzie podlegałyby utylizacji. Jest poza tym problem z dzikimi pomostami i hausbotami (mieszkalnymi barkami – przyp.red.). Postępowania w sprawie nielegalnej zabudowy na półwyspie były prowadzone, ale Powiatowa Inspekcja Nadzoru Budowlanego w Chojnicach od ubiegłego roku szuka dodatkowego pracownika. Gmina konsultuje także możliwości opracowania miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego dla Jeziora Charzykowskiego.

WSA w uzasadnieniu wyroku zarzucił gminie „nadużycie władztwa planistycznego". Władze gminy tłumaczą, że plan miejscowy nie naruszał dotychczasowych praw właścicieli, bo są to tereny rolniczo-leśne i nikt nie zabrania uprawiać tam pola czy prowadzić gospodarki leśnej. Gdyby wyrok w sprawie unieważnienia planu miejscowego się uprawomocnił, zostałaby przetarta ścieżka, którą mogliby wykorzystać inni. – Idąc tym tokiem myślenia, każdy będzie mógł kupić kawał ziemi gdziekolwiek w Polsce i tam sobie budować – mówił mediom wójt gminy Chojnice.

Dostrzegli piękno tego miejsca

Dzwonię pod numer umieszczony na tablicy „Natura 110 procent" i pytam, czy mogę rzucić kotwicę. Odbiera mężczyzna, mówi, że jak przyjadę, to zobaczymy. Gdy dociekam, co znaczy Josefs Gruppe i namalowany na tablicy krzyż, tłumaczy, że to lokalna grupa etniczna, którą tworzą potomkowie dawnych mieszkańców, jej nazwa pochodzi od jego imienia, a krzyż jest zwyczajnym krzyżem niemieckim. Josef mieszka w Chojnicach, działkę na półwyspie odziedziczył po pradziadkach, którzy mieli gospodarstwo przy strużce w Małych Sworach. Gdy nie mogli z niego wyżyć, bo ziemie tu słabe, szóstej klasy, jeszcze przed I wojną wyjechali do Niemiec, do kopalni w Westfalii. Po wojnie wrócili i przenieśli się na gospodarstwo kilkadziesiąt kilometrów dalej, gdzie grunty lepsze, ale spłachetek pola na półwyspie sobie zostawili i teraz on go dziedziczy.

– Pewnie moi przodkowie dostrzegli surowe piękno tego miejsca – ciągnie. – Tu kiedyś było odludzie, szło się polną drogą po kostki w piasku 6-7 km od Bachorza. Jakby pani się czuła, stojąc na ziemi po pradziadach, gdzie nie mogłaby pani nawet domku na bloczkach postawić, maleńkiego, bez wygód, żeby tylko się przespać?

Josef powoli się zadomawia. Uczy się od prekursorów, żartuje. Posadził gruszki i śliwki nad jeziorem, wyciął wiatrołomy, płotu nie postawił, tylko żółtym, malutkim krążkiem z napisem „Ende" zaznaczył koniec swojej działki.

Helena Leman
h.leman@tygodnikprzeglad.pl

FOT. HELENA LEMAN (3)

eprasa.pl 569ad48947

Osobliwości ukraińskiej korupcji

Biorą wszyscy, od deputowanych do Rady Najwyższej Ukrainy po prezesa Sądu Najwyższego

Marek Czarkowski

Iryna Allahwerdijewa, deputowana do Rady Najwyższej Ukrainy z partii prezydenta Wołodymyra Zełenskiego Sługa Narodu, do grudnia ub.r. na scenie politycznej, słynęła z wyjątkowej urody i nienagannie dobranych luksusowych strojów. Wszystko zmieniło się, gdy prokurator generalny Andrij Kostin odmówił wszczęcia śledztwa w sprawie jej możliwego bezprawnego wzbogacenia się i wybuchł skandal.

W mediach internetowych pojawiły się informacje, że Allahwerdijewa otrzymała w prezencie 14,4 mln hrywien. A wcześniej 5,3 mln hrywien plus inkrustowany 11 białymi diamentami szwajcarski zegarek Zenith Defy Midnight wart 310 tys. hrywien. Oficjalnie ofiarodawcą miał być ojciec deputowanej, lecz jego dochody, jak szybko policzono, w żaden sposób nie pozwalały mu na tak wielką hojność. Sprawa trafiła do Najwyższego Sądu Antykorupcyjnego, który zmusił prokuratora Kostina do działania, ale prawdopodobnie wszystko będzie miało szczęśliwy dla obdarowanej finał.

Na początku maja br. wyszła ona za mąż za biznesmena i deputowanego do Rady Obwodu Mikołajowskiego, lokalnego oligarchę Jurija Koromyszkina, trudniącego się uprawą roli na wielką skalę. Para od dłuższego czasu mieszkała razem w apartamencie jednego z luksusowych hoteli w Odessie. I nikt nad Dnieprem nie ma wątpliwości, że Koromyszkin mógł mieć szeroki gest wobec przyszłej małżonki. To jeden z drobnych przykładów tego, co mimo rosyjskiej agresji dzieje się w elitach Ukrainy.

Kto smaruje, ten jedzie

Do 24 lutego ub.r. w tamtejszych mediach spierano się, czy to Moskwa, czy raczej Kijów jest stolicą bardziej skorumpowanego kraju. We wszelkich rankingach Transparency International Rosja i Ukraina lokowały się w okolicach 120-130 miejsca spośród 180 państw. Z tym że zazwyczaj Moskwa była niżej.

Po wybuchu wojny temat ukraińskiej korupcji zniknął z porządku dnia, co nie znaczy, że walczący naród uwolnił się od tej przypadłości. Cenne informacje na ten temat przynosi raport Andrew Lohsena i Nicka Fentona przygotowany jesienią ub.r. dla waszyngtońskiego think tanku Center for Strategic and International Studies. Autorzy przypomnieli, że jednym z głównych punktów programu prezydenta Zełenskiego była walka z oligarchami i korupcją. Dziś w Ukrainie działa pięć instytucji powołanych wyłącznie do walki z tym zjawiskiem. Obok Najwyższego Sądu Antykorupcyjnego są też Narodowe Biuro Antykorupcyjne, Narodowa Agencja ds. Zapobiegania Korupcji, Specjalna Prokuratura Antykorupcyjna oraz Agencja Odzyskiwania i Zarządzania Aktywami.

Lohsen i Fenton krytycznie ocenili skuteczność działań tych organów. Przypomnieli los ustawy o oligarchach forsowanej przez prezydenta Zełenskiego, która do dziś nie weszła w życie. Zwrócili również uwagę na fakt, że wszystkie te instytucje są pogrążone w wewnętrznych sporach, uwikłane w rywalizację z innymi organami i służbami specjalnymi, a ich rola jest mocno kwestionowana. Doszło do tego, że – jak piszą autorzy raportu – zachodni zwolennicy reform zmuszeni zostali do interwencji, by zapobiec przejęciu tych instytucji przez siły wsteczne. Mówiąc po ludzku, w 2021 r. na kancelarię prezydenta Zełenskiego mocny nacisk wywarła administracja amerykańska, głęboko zaniepokojona panoszeniem się oligarchów i procedurami, zgodnie z którymi kto smaruje, ten jedzie.

Kolejne skandale dotyczyły m.in. takich postaci jak Ihor Kołomojski, którego podejrzewano o to, że zlecił podpalenie wybudowanej w stylu japońskim drewnianej willi należącej do byłej prezes Narodowego Banku Ukrainy – przy czym sama Wałerija Hontarewa od 2018 r. przezornie mieszka w Londynie.

Jeden z następców pani prezes, Kyryło Szewczenko, 4 października 2022 r. niespodziewanie podał się do dymisji, jako powód podając zły stan zdrowia. A już 22 października Narodowe Biuro Antykorupcyjne Ukrainy poinformowało, że jest on poszukiwany w związku z podejrzeniem popełnienia kradzieży ponad 200 mln hrywien, czyli prawie 27 mln zł, w czasie gdy w latach 2014-2019 piastował kierownicze stanowiska w państwowym Ukrhazbanku. Wraz z nim poszukiwane były jeszcze dwie osoby.

Dzień później Szewczenko poinformował NABU, że znajduje się w jednym z państw należących do Unii Europejskiej. Zwrócił się też z prośbą o zorganizowanie telekonferencji, w trakcie której odpowiedziałby na zadane mu pytania, i zaapelował o zakończenie śledztwa, gdyż jest niewinny. Jak łatwo się domyślić, Szewczenko, podobnie jak Hontarewa, wracać do Kijowa nie ma zamiaru.

Zapewne nie chce on podzielić losu Jurija Hrymczaka, wiceministra

Forsowana przez prezydenta Zełenskiego ustawa o oligarchach do dziś nie weszła w życie.

eprasa.pl 569ad48947

Były prezes Narodowego Banku Ukrainy Kyrył Szewczenko jest podejrzewany o kradzież ponad 200 mln hrywien.

ds. terytoriów czasowo okupowanych i przesiedleńców wewnętrznych w administracji prezydenta Petra Poroszenki. Hrymczak miał wyłudzić łapówkę w wysokości 1,1 mln dol., za co w zeszłym roku został skazany na 10 lat więzienia i konfiskatę mienia.

To jednak są drobne aferki, te poważniejsze nie znajdują finału sądowego. Przykładem może być sprawa Gładkowskich – ojca i syna – która kosztowała Poroszenkę prezydenturę.

Matka głównego komisarza wojskowego Odessy płk. Jewhena Borysowa kupiła w hiszpańskiej Marbelli dom za 3,96 mln euro, a żona biuro.

Oleg Gładkowski (dawniej noszący nazwisko Swynarczuk) z ramienia prezydenta Poroszenki zasiadał w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego. Zajmował się w niej m.in. rozmowami z przedstawicielami NATO na temat integracji kraju z Sojuszem Północnoatlantyckim. Pod koniec lutego 2019 r. Poroszenko zawiesił go w funkcji pierwszego zastępcy sekretarza RBN, a następnie zdymisjonował. Powodem były stawiane publicznie zarzuty korupcyjne. 17 października 2019 r., gdy Gładkowski chciał odlecieć do Brukseli z kijowskiego lotniska Żuliany, dowiedział się, że ma zakaz opuszczania kraju. Kilkanaście minut później został zatrzymany przez funkcjonariuszy Narodowego Biura Antykorupcyjnego i aresztowany na dwa miesiące. Wszczęto wobec niego także postępowanie w związku z podejrzeniem uchylania się od płacenia podatków na kwotę 4,5 mln hrywien.

Zarzuty dotyczyły zakupów samochodów MAZ dla Sił Zbrojnych Ukrainy. Bo MAZ to białoruskie Mińskie Zakłady Samochodowe! A produkowane w nich pojazdy zawierają potężny rosyjski komponent. Interes polegał na tym, że pojazdy z Białorusi trafiały do ukraińskich zakładów Bohdana, gdzie przechodziły tzw. montaż śrubokrętem, by następnie, już jako produkt rodzimego przemysłu, trafić do ukraińskiej armii. Partnerem biznesowym Gładkowskiego był Siergiej Paszyński, szef prezydenckiej administracji, który nadzorował przemysł zbrojeniowy.

W tej kombinacji nie było niczego nadzwyczajnego. Po zajęciu przez Rosjan Krymu w 2014 r. oraz powstaniu separatystycznych republik Donieckiej i Ługańskiej rosyjscy generałowie wściekali się, wiedząc, że dwie białoruskie rafinerie – w Mozyrzu i Nowopołocku – dostarczają produkowane z rosyjskiej ropy naftowej paliwa do Ukrainy. Jak łatwo się domyślić, prowizje od tych transakcji były gigantyczne. Wszystko zgodnie z powiedzeniem: dla jednych wojna, a dla drugich krowa dojna.

W 2021 r. kijowski magazyn „Nowoje Wremia" opisał inną dochodową kombinację duetu Gładkowski-Paszyński. Kontrolowane przez nich spółki kupowały w Czechach, w cenie złomu, stare radzieckie wozy bojowe piechoty BMP-1. Pojazdy trafiały do Polski, gdzie w jednym z prywatnych przedsiębiorstw oddzielano wieżę od podwozia. Następnie jako pełnowartościowe części zamienne jechały one do Żytomierskich Zakładów Pancernych pod Kijowem, gdzie poddawano je „remontowi", a później po 200 tys. dol. sprzedawano Siłom Zbrojnym Ukrainy. Przebicie na tym interesie było sześciokrotne.

W identyczny schemat zaangażowanych było kilkadziesiąt firm związanych z Gładkowskimi, które sprowadzały, głównie z Rosji, części zamienne do sprzętu wojskowego będącego na wyposażeniu ukraińskiej armii. Tym razem przebicie było nawet dziewięciokrotne.

FOT.VOLODYMYR TARASOV/UKRINFORM/DDP IMAGES/FORUM

eprasa.pl 569ad48947

Należy podkreślić, że Gładkowscy nie ponieśli żadnych konsekwencji. Ostatnia informacja na temat Olega Gładkowskiego, czyli ojca, jest z 2022 r. Polska Agencja Prasowa doniosła, że 11 lipca widziano, jak opuszczał pięciogwiazdkowy hotel Radisson w Warszawie. Trudno o bardziej przekonujący dowód na twierdzenie, że w Ukrainie, kto smaruje, ten jedzie.

Dowódca jednostki z Izmaiła domagał się od wdowy po żołnierzu łapówki w wysokości 10% od 1 mln hrywien wypłaty, którą ukraińskie państwo przekazuje bliskim.

Nowi królowie ukraińskiej korupcji

Rosyjska agresja sprawiła, że starzy oligarchowie – Rinat Achmetow, Wiktor Pinczuk, Wadim Nowynski, Ihor Abramowycz, Ihor Kołomojski, Dmytro Firtasz i inni – stracili na znaczeniu. Niektórzy opuścili kraj, czego walczący na froncie żołnierze im nie zapomną i nie wybaczą.

Wojna nie zmieniła ludzi i nie zmniejszyła ich apetytów. Część osób, które na skutek nowych okoliczności znalazły się przy władzy, szybko pojęła zasadę: grabimy zawsze do siebie, nigdy odwrotnie.

Zaczęło się na najniższym szczeblu. Jak wiadomo, armia rosyjska poniosła ciężkie straty w sprzęcie. Niektóre uszkodzone czołgi i transportery opancerzone naprawiane są przez Ukraińców. Inne można przeznaczyć jedynie na złom. W okolicach Kijowa działała firma założona przez byłego deputowanego do rady miejskiej Kijowa, który ze swoim partnerem, również byłym deputowanym, zajął się wywozem i sprzedażą niesprawnego rosyjskiego sprzętu za granicę. Przedsięwzięcie nie jest proste, gdyż aby wywieźć tego rodzaju sprzęt, niezbędne są stosowne zgody i zwolnienia. Ale dla polityków lokalnego szczebla nie było to wielkim problemem. Zyski obu panów liczono w milionach euro.

Na początku maja br. został zawieszony główny komisarz wojskowy Odessy płk Jewhen Borysow. Pierwszy zarzut dotyczył sprowadzenia przez niego, jako ładunku humanitarnego, mercedesa G63 AMG rocznik 2022, którym dygnitarz poruszał się po mieście. Potem doszły poważniejsze zarzuty – matka pułkownika kupiła w Marbelli w Hiszpanii, już po rozpoczęciu rosyjskiej agresji, elitarną nieruchomość – wybudowany w 2017 r. dom o powierzchni 857 m kw. na działce o powierzchni 1530 m kw., którego cena po licytacji została obniżona z 4,40 mln euro do 3,96 mln euro. Także małżonka Borysowa miała nabyć biuro w Marbelli. Pułkownik od 22 grudnia 2022 r. do 18 stycznia 2023 r. miał odpoczywać w Hiszpanii w posiadłości swojej mamy.

Jednym ze sposobów na szybkie wzbogacenie się była „sprzedaż" przez dygnitarza osobom, które legitymowały się odpowiednią ilością gotówki, odroczeń powołania w szeregi ukraińskiej armii. Natychmiast pojawiły się głosy, że oficera za takie czyny należy postawić pod ścianą.

Lecz ten przypadek nie był najgorszy. W mieście Izmaił zatrzymany został dowódca jednostki, który domagał się od wdowy po poległym żołnierzu łapówki w wysokości 10% od 1 mln hrywien wypłaty, którą ukraińskie państwo przekazuje bliskim. Wysokość tego świadczenia uzależniona jest od okoliczności, w których żołnierz zginął. Jeśli poniósł śmierć w trakcie działań bojowych, na pierwszej linii, wypłata jest maksymalna, jeżeli zaś na tyłach, to świadczenie jest mniejsze. Okoliczności śmierci powinien poświadczyć dowódca. Ten z Izmaiła uznał, że wdowa powinna podzielić się z nim w zamian za oświadczenie, że jej mąż poległ w walce. Podobnych zdarzeń w ukraińskiej armii było więcej.

Największym dotychczas sukcesem służb antykorupcyjnych było zatrzymanie prezesa Sądu Najwyższego Ukrainy Wsiewołoda Kniaziewa, który jest oskarżony o przyjęcie 3 mln dol. łapówki. W mediach pojawiły się fragmenty nagrań rozmów telefonicznych oraz zdjęcia znalezionej podczas rewizji gotówki. Kniaziew miał przyjąć pieniądze w zamian za korzystną dla jednego z biznesmenów decyzję. Dziennikarze ustalili, że może chodzić o wyrok w sprawie Połtawskiego Kombinatu Górniczo-Wydobywczego, który ma największe w Europie złoża rudy żelaza. Stroną była spółka należąca do oligarchy Konstantina Żewagi, którego ukraińskie służby ścigają od 2019 r., a który obecnie mieszka we Francji. Dotychczasowe zabiegi władz o ekstradycję miliardera nie przyniosły skutku.

On sam zaprzecza, by miał cokolwiek wspólnego ze sprawą sędziego Kniaziewa, który błyskawicznie został usunięty z zajmowanej funkcji. Jest szansa, że tym razem sprawa nie rozejdzie się po kościach, tak jak miało to miejsce w przypadku byłego wiceministra obrony Ołeksandra Myroniuka. W sierpniu 2022 r., w trakcie przeszukania w mieszkaniu Myroniuka odkryto w tapczanie ok. 1 mln dol. w różnych walutach. Zdjęcia gotówki trafiły do mediów i wydawało się, że Myroniuk nieprędko wyjdzie zza krat. Stało się inaczej. Przed sądem dygnitarz przedstawił dokument, z którego wynikało, że pieniądze należą nie do niego, tylko do Eleonory Dumnish, 86-letniej mieszkanki Charkowa, która mu je pożyczyła. Dlatego wysoki sąd zgodził się z ekswiceministrem i zdecydował o zwróceniu mu pieniędzy. Ukraińcy chcieliby wierzyć, że po wojnie będą żyli w innym, bardziej cywilizowanym i sprawiedliwym kraju.

Były wiceminister obrony Ołeksandr Myroniuk, u którego w tapczanie odkryto ok. 1 mln dol., przed sądem dowodził, że pieniądze pożyczyła mu 86-letnia mieszkanka Charkowa.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 569ad48947

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Kłamstwo krakowskie

Nie wiem, czy warto czytać „Na Szewskiej. Sprawę Stanisława Pyjasa" – książkę Cezarego Łazarewicza. Jak wnoszę z wywiadu udzielonego przez autora Michałowi Nogasiowi („Gazeta Wyborcza" z 25 maja), pisze on to, co wielu mówiło od lat.

Książka jest gruba, a list do redakcji krótki. Jednak to właśnie list, którego autorem był dr med. Adam Gross („Gazeta Wyborcza" z 18 maja), trafił od razu w sedno. Dokonane w 2019 r. umorzenie śledztwa w sprawie śmierci Pyjasa „z powodu niemożności wykrycia sprawców przestępstwa" Gross komentował tak: „Wniosek ten brzmi kuriozalnie, albowiem nie znaleziono i nie przedstawiono przy tym żadnych dowodów, że śmiertelny upadek nastąpił w wyniku przestępczego działania osób trzecich". Według autora uzasadnienie to pozostawiło „oczekiwaną przez założycieli mitu o zbrodniczej przyczynie śmierci S. Pyjasa furtkę do jego przetrwania". Łazarewicz mówi odwrotnie: „Jedyne, czego nie wiadomo, i czego zapewne już nigdy nie da się ustalić, to kwestia przyczyny upadku – spadł sam, czy ktoś go zepchnął". Więc znów furtka. W ten sposób można się bawić w nieskończoność.

Staszek Pyjas był moim młodszym kolegą ze studiów polonistycznych na UJ. Pod koniec kwietnia 1977 r. wiedziałem już o otrzymywanych przez niego anonimach. Późniejsza o dwa tygodnie jego śmierć ułożyła mi się w logiczną całość: tak, tak, zamordowała SB! Czy jednak mam być głuchy na fakty, ujawniane stopniowo przez lata? Wszak już w kwietniu 2010 r. przeprowadzono zleconą przez IPN ekshumację Pyjasa, a w jej wyniku biegli medycy sądowi z Wrocławia, Bydgoszczy i Gdańska uznali za przyczynę zgonu upadek z wysokości. Nie było też tajemnicą, że zmarły miał 2,6 promila alkoholu w krwi. Zatem nie bardzo wiem, co jeszcze – przez długich dziewięć lat – chciała zbadać prokuratura. Ani co chciałby dziś pokazać Łazarewicz. Może rzeczywiście warto książkę przeczytać?

Fakt historyczny jest bezsporny: śmierć Pyjasa doprowadziła do powstania Studenckiego Komitetu Solidarności. Ale w świetle gromadzonych przez lata informacji bezsporne jest także to, że przed 46 laty padliśmy ofiarą oszustwa. Teraz na moim macierzystym Wydziale Polonistyki UJ widnieje tablica upamiętniająca Pyjasa – „zamordowanego przez komunistyczną Służbę Bezpieczeństwa". Nie pamiętam, kiedy tablicę tę odsłaniano, nie wiem, ile faktów było już wtedy znanych, jednak miałem wówczas na tyle przytomności, by na posiedzeniu Rady Wydziału apelować do kolegów profesorów o niewpuszczanie na Uniwersytet kłamstwa. Dziś o morderstwie Pyjasa przesądza już przestrzeń publiczna Krakowa. Sam Łazarewicz zauważa, że istnieją tu „tablice i pomnik, które o tym mówią wprost". Ale go to nie razi, lecz skłania do deklaracji: „Nie chciałem napisać książki, która by to kwestionowała". A szkoda.

Jest oczywiście godne szacunku, że przystępuje się do pracy bez apriorycznych założeń – taka postawa przydałaby się wielu dzisiejszym badaczom, zwłaszcza z IPN. Ale jest równocześnie godne ubolewania, że w obliczu faktów cofamy się przed napiętnowaniem kłamstwa – a to byłoby sto razy ważniejsze niż rekonstrukcja wydarzeń sprzed niemal już półwiecza. Łazarewicz wyznaje, że dawnych SKS-owców „bardzo szanuje". Cóż, ja nie szanuję. A raczej: szanowałem, i to przez długie lata, ale dziś widzę, że są oni głusi na argumenty. Nie znam żadnego oświadczenia, choćby jednej osoby z tego kręgu, która wyznałaby, że kiedyś się pomyliła, że przeprasza za szerzoną nieprawdę. Oni wciąż deklamują o „zabójstwie" lub „pobiciu ze skutkiem śmiertelnym", lub przynajmniej o niewyjaśnionej tajemnicy, choć od dawna żadnej tajemnicy tu nie ma. A tak mówią w tym kręgu wszyscy, czy z PiS, czy z PO – jakby łączyła ich omerta! Można zrozumieć (Łazarewicz rozumie aż nadto), że śmierć Pyjasa jest dla nich mitem założycielskim, że bez tego mitu kawał ich życia traci sens. Nie można jednak nie widzieć, że w zatruwającym Polskę kłamstwie uczestniczą oni już teraz z pełną świadomością. A mieli 13 lat, by z niego się wycofać.

U źródeł mitu smoleńskiego leży mit krakowski.

Łazarewicz uważa, że nie byłoby sprawy Pyjasa bez determinacji Bronisława Wildsteina. Zapewne. Ale trzeba zdać sobie sprawę, co to naprawdę znaczy. Oględziny denata przez niefachowca, formułowane na tej podstawie kategoryczne stwierdzenia, podatny grunt sensacji, nadanie oskarżeniom sankcji generalizującej, przekucie ich w politykę… A na koniec ekshumacja. I poniewieranie inaczej myślących. Czy coś nam to przypomina? U źródeł mitu smoleńskiego leży mit krakowski.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 569ad48947

Turcja – duma wygrywa z inflacją

Dominuje narracja, że Erdoğan jest jedynym politykiem, który „sobie poradzi”

Rozmawia Jakub Dymek

Chciałbym naszą rozmowę zacząć od obrazka, który dominował w zachodnich mediach i budził powszechne oburzenie komentatorów, mianowicie prezydenta Erdoğana rozdającego pod lokalami komisji wyborczych banknoty dzieciom i ściskającego dłonie zgromadzonych sympatyków. Ten wizerunek łaskawego „sułtana”, jak pisały zagraniczne media, zdominował nasze postrzeganie tureckich wyborów.

– To, co nas szokowało, wcale nie oburzało w Turcji. Musimy pamiętać, że rozdawanie banknotów czy złotych monet to pewien tradycyjny element świętowania. Na przykład, gdy przychodzimy na ślub, to przypinamy pieniądze do sukienki panny młodej, więc wszyscy widzą, ile daliśmy. Pytania o pieniądze i zarobki, twoje lub twojej rodziny, też nie są w Turcji tabu. U nas zachowanie Erdoğana interpretowano jako symbol publicznego „rozdawnictwa”, a w Turcji był to po prostu zwyczajny gest, wynikający z szeroko praktykowanego zwyczaju. Tyle więc, jeśli chodzi o różnice kulturowe.

A na jakich sprawach koncentrowała się kampania?

– Z jednej strony, na pytaniu, w którą stronę pójdzie Turcja. Z drugiej, na gospodarce. Turkom w tym momencie żyje się trudno, a skala ubożenia jest bardzo duża i bardzo widoczna. Nie zobaczymy tego może od razu, odwiedzając Stambuł czy Ankarę, ale wystarczy porozmawiać z Turkami. To, jak im się żyje, jakie konsekwencje rodzi słabość liry, jak bardzo odczuwalne są podwyżki cen i inflacja – to powracające tematy.

Oczywiście obok tematów gospodarczych kampania prezydenta Erdoğana mocno stawiała na kwestie dumy narodowej, godności i tożsamości tureckiej. Co ciekawe, nawet już nie w odniesieniu do Grecji albo USA, jak kiedyś zdarzało się regularnie, ale uogólnionego Zachodu i państw Europy Zachodniej. To jest żywa emocja. Weźmy pod uwagę choćby sondaż przeprowadzony na początku zeszłego roku – już po rosyjskiej agresji na Ukrainę – w którym pytano Turków, czego najbardziej się boją. I okazało się, że „rozbioru Turcji przez kraje Zachodu”. A więc nie Rosji ani USA, tylko widma zagrożenia z czasów osmańskiej przeszłości.

DR KAROLINA WANDA OLSZOWSKA
– historyczka, turkolożka, prezes Instytutu Badań nad Turcją

To zapytam o jeszcze jedną sprawę, nad którą głowią się zachodni komentatorzy. Jak to jest, że siła nabywcza tureckiej płacy spada, kurs liry pikuje, inflacja jest najwyższa w Europie, a jednak Turcy decydują się powierzyć władzę tej samej ekipie, pod rządami której doszło do tego załamania. Jak to możliwe?

– Erdoğan rządzi od ponad 20 lat. To on ma zatem struktury, które są razem ze społeczeństwem. A tego właśnie nie potrafi zrobić opozycja – trafić do tych szerokich mas społecznych, do których trafiła niegdyś i przemówiła rządząca AKP. Opozycja nadal jest mocniejsza w wielkich miastach i wśród intelektualistów. A partia rządząca oprócz tego, że ma struktury w całym kraju, ma również dostęp do narzędzi, w tym do prasy. Mówimy o kraju, w którym ponad 90% mediów kontrolowanych jest przez osoby związane z prezydentem Erdoğanem. Z kolei te media, które nie są podporządkowane, i tak się autocenzurują, ponieważ po puczu z 2016 r. boją się tego, że poniosą konsekwencje. Czy to finansowe, czy wręcz aresztowania. Mamy więc media, które powielają jeden przekaz…

Że trzeba popierać rząd?

– Nawet nie trzeba aż tak wprost. Ale dominuje narracja, że Erdoğan jest jedynym politykiem, który „sobie poradzi”. Poważne kłopoty ekonomiczne? To wynika nie z polityki rządu, tylko z sytuacji międzynarodowej. Trzęsienie ziemi? Prezydent już się rozprawił z deweloperami, a tak naprawdę nikt przecież nie był w stanie podobnej katastrofy przewidzieć. Badania opinii publicznej zresztą potwierdzają, że podobne nastroje są szeroko rozpowszechnione. W jednym z sondaży ponad 50% badanych powiedziało, że Erdoğan to jedyny polityk, który będzie w stanie

> Ponad 90% mediów kontrolowanych jest przez osoby związane z prezydentem Erdoğanem.

eprasa.pl 569ad48947

Zwolennicy Recepa Erdoğana triumfowali 28 maja.

poradzić sobie ze skutkami trzęsienia ziemi. A skoro Erdoğan zgarnia tak wielką pulę zaufania, pozostali politycy muszą się zadowolić tym, co zostaje.

Opozycja jest aż tak słaba?

– Opozycja, szczególnie w drugiej turze wyborów prezydenckich, nie miała pomysłu na to, jak przekonać ludzi. Po pierwsze, miała bardzo ograniczone narzędzia, biorąc pod uwagę choćby dostęp do mediów. Ile można zrobić przez same platformy społecznościowe? Po drugie, brakowało sposobu, by pokazać realne rozwiązania. Gdy samemu się nie rządzi, to o wiele trudniejsze. Opozycja mówiła, że zatrudni ekspertów, ale sama obietnica nie jest jeszcze realną receptą na wyjście z kryzysu, prawda? Tym bardziej że ludzie mieli prawo nie wiedzieć czy nie rozumieć, co ci eksperci właściwie planują zrobić. A prezydent Erdoğan powtarzał, że on nie podwyższy stóp procentowych, czyli że kredyty nie pójdą w górę. Nie brakowało rodzin, dla których to jest konkretny argument, a nie jakaś bliżej nieokreślona ścieżka do zbicia inflacji w przyszłości.

Czy da się ocenić, na ile przewagę wypracował sobie sam Erdoğan, a na ile jest to kwestia odebrania konkurencji dostępu do mediów?

– Nie można zaprzeczyć, że Erdoğan jest wybitnym politykiem, świetnie potrafi wykorzystać wszystkie asy w rękawie i jest zawsze trzy kroki przed swoimi oponentami. Nie bez przyczyny jest nazywany teflonowym Tayyipem – bo żaden problem do niego się nie przykleja. Oczywiście miał ich wiele, ale potrafił z nich wyjść, wykorzystując wszystkie możliwe środki, którymi dysponuje. Zarówno w kraju, jak i w polityce międzynarodowej potrafi się dogadać z kimś, kogo zaciekle zwalczał jeszcze przed chwilą, gdy było to konieczne. Gdyby tak nie było, nie rządziłby przez ponad 20 lat z takim poparciem społecznym. A musimy pamiętać, że AKP doszła do władzy dzięki zwróceniu się ku grupom społecznym, które wszyscy ignorowali.

Czyli?

– Erdoğan trafił do ludzi na wsiach, w małych miejscowościach, biedniejszych. I zmienił ich życie. Rządy Partii Sprawiedliwości i Rozwoju to przecież nie tylko te ostatnie lata: rozprawa z opozycją, aresztowania dziennikarzy, wzmocnienie nastrojów nacjonalistycznych. Musimy pamiętać też o pierwszej dekadzie rządów Erdoğana, gdy eliminowano korupcję i przemoc domową, zwiększano dostęp do ochrony zdrowia i ubezpieczeń społecznych, a także odsetek dziewcząt korzystających z edukacji. Wcześniej, w czasach zakazu noszenia chusty, konserwatywne rodziny po prostu od pewnego wieku nie puszczały córek do szkół i dziewczęta przedwcześnie kończyły edukację. Za Erdoğana do szkół, a później na uniwersytety i do pracy, trafiło kilkaset tysięcy kobiet, a to pomogło zmniejszyć nierówności.

Za Erdoğana do szkół, a później na uniwersytety i do pracy, poszło kilkaset tysięcy kobiet, a to pomogło zmniejszyć nierówności.

Skoro Erdoğan zwracał się do, nazwijmy to najogólniej, „zwykłych Turków", do kogo zwracała się opozycja?

– Jej oferta była jednak skierowana głównie do mieszkańców dużych miast i, powiedzmy, intelektualistów. Oczywiście opozycja starała się tę

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, AP/EAST NEWS

eprasa.pl 569ad48947

ofertę rozszerzyć i trafić również do ludzi bardziej konserwatywnych, bardziej wierzących, do tych wszystkich grup, do których przez lata trafiał Erdoğan. Niektórzy liderzy postanowili w końcu chodzić od drzwi do drzwi, spotykać się z ludźmi, organizować wiece poza największymi miastami. Ale wydaje się, że zwrot przyszedł za późno albo swoje zrobił nierówny dostęp do przekazu informacyjnego.

Wrócę jeszcze na chwilę do poparcia dla Erdoğana. Spójrzmy na moją ulubioną grupę, gospodynie domowe. Mówimy tutaj o aż 11 mln kobiet, z których 60% zagłosowało na Erdoğana. Bo choć wywodzący się z opozycji burmistrz Stambułu wprowadził udogodnienia dla kobiet pracujących w domu, np. bezpłatną komunikację miejską, to Erdoğan zabiegał o tę grupę już całe lata temu, przyznając jej choćby prawo do renty. Powstaje więc wrażenie, że nawet jeśli opozycja ma jakieś dobre pomysły, to tak naprawdę podchwyciła je od rządzących.

W drugiej turze uchodzący za bardziej liberalnego czy lewicowego kandydat opozycji Kemal Kiliçdaroglu i tak zwrócił się przeciwko uchodźcom z Syrii, obiecując ich deportację. Niektórzy twierdzą zresztą, że ta wolta, zamiast pomóc, zaszkodziła, bo odebrała łagodnemu kandydatowi wiarygodność. Ta kwestia była aż tak ważna?

– Jeśli chodzi o ten zwrot w drugiej turze, to mówimy zarówno o postulacie deportacji syryjskich uchodźców, jak i o obietnicy walki z terroryzmem. Żaden z tych tematów nie jest tak naprawdę w debacie publicznej nowy. Przeciwnie, także postulat odesłania Syryjczyków pojawia się od co najmniej kilku lat na tureckiej opozycji. W Kemala Kiliçdaroglu uderzyło jednak to, że rzeczywiście przeszedł od – jak to się mówiło kiedyś w Polsce – polityki miłości do polityki walenia pięścią w stół. Widać choćby po badaniach frekwencji, że ona w drugiej turze zmalała na wschodzie kraju, w regionach zamieszkanych przez Kurdów. Co to może znaczyć? Że choć liderzy kurdyjscy i sprzymierzona z Kiliçdaroglu partia HDP nawoływali do głosowania na niego, zmiana języka i zaostrzenie przekazu, wołanie o terroryzmie, zniechęciły do oddania głosu na kandydata opozycji, zamiast zachęcić.

Teraz polityka rządu skupi się na gospodarce, a sam Erdoğan na tym, żeby szukać swojego następcy.

My w oczywisty sposób mamy tendencję do postrzegania Turcji i polityki Ankary przez pryzmat tego balancing act, odgrywanego dzisiaj przez prezydenta Erdoğana między Zachodem i Rosją. A jaka była rola polityki zagranicznej w kampanii?

– Turecka polityka zagraniczna od lat jest prowadzona na potrzeby polityki wewnętrznej. Dlatego teraz myślę, że możemy się spodziewać pewnej zmiany, choćby szukania porozumienia z krajami zachodnimi, ze Stanami Zjednoczonymi. Skoro mamy etap kampanii za sobą, pokazaliśmy wyborcom to, co oni chcą zobaczyć, możemy wrócić do prowadzenia normalnej polityki. A w tej mimo wszystko dominuje w Turcji pragmatyzm. Poza tym kierunki prowadzenia polityki zagranicznej podyktuje teraz konieczność wyjścia z kryzysu gospodarczego. Ile można uzupełniać rezerwy dzięki Rosji, Arabii Saudyjskiej, Katarowi, państwom arabskim? To musi kiedyś się skończyć, a trzeba będzie szukać nowych rozwiązań, żeby za 10 miesięcy, przy okazji wyborów lokalnych, nie okazało się, że Erdoğan nie tylko nie zyskał od czasów wyborów krajowych, ale wręcz stracił.

Wiele zachodnich redakcji pisało o tych wyborach jako o referendum na temat samej demokracji i populizmu. Czy myśli pani, że było w tym trochę przesady, czy rzeczywiście w jakimś sensie los demokracji i systemu liberalnego na całym świecie rozstrzyga się właśnie w Turcji?

– Na pewno jest w podobnych twierdzeniach pewna doza przesady. Nie spekuluję, czy te wybory zmienią los demokracji na całym świecie. Z perspektywy Turcji ważniejsze jest to, że one już zmieniają kształt tamtejszej polityki. Tak naprawdę Erdoğan nie wygrał przytłaczającą większością. Mówimy o nieco ponad 2 mln głosów różnicy, co przy 64 mln uprawnionych do głosowania i przeszło 80-procentowej frekwencji nie jest liczbą imponującą.

Opozycja, szczególnie w drugiej turze wyborów, nie miała pomysłu na to, jak przekonać ludzi.

Teraz prezydent, rządząc, będzie jednak musiał brać pod uwagę to, że wcale nie ma takiego poparcia społecznego, jakie miał wcześniej. Będzie więc musiał jakoś do tej rzeczywistości się dostosować. I być może już na naszych oczach sprawdza się to, o czym mówili tureccy analitycy przed wyborami: że dla jakości rządów i demokracji najbardziej szkodliwe, druzgocące byłoby jednoznaczne i bezkonkurencyjne zwycięstwo prezydenta.

Czyli ani demokratyzacja, ani dalsze kroki w stronę autorytaryzmu, tylko stabilizacja i kontynuacja. Czy tak można to podsumować?

– Myślę, że tak. Teraz polityka rządu skupi się na gospodarce, a sam Erdoğan na tym, żeby szukać swojego następcy – bo to też jest wyzwanie dla niego na kolejną kadencję.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 569ad48947

Nawiasem mówiąc

Stanisław Filipowicz

Martyrologia tłustych kotów

Czy polska prawica jest nadal zjednoczona? Pytanie to stało się naszym utrapieniem. Wydaje się jednak, że odpowiedź jest dość prosta – polska prawica nie może być zjednoczona, gdyż polskiej prawicy po prostu nie ma. Wybitny konserwatywny publicysta emigracyjny Wacław Zbyszewski kwestię prawicowości przedstawiał następująco: „Musi istnieć silna prawica, która brzydzi się demagogią i nacjonalizmem, która operuje wyłącznie rozumowaniem, a nie sentymentem, która chce przekonać, a nie oszukać, która dobiera przywódców, bo wierzy w ich rozum, a nie w ich popularność".

Jak już wiemy, wszystko wyszło nam akurat na odwrót. Na prawicy zwyciężył nacjonalizm – powróciło marzenie o katolickim państwie narodu polskiego. Przywództwo polityczne jest oparte na demagogii. W realiach demokracji „sondażowej" liczy się już tylko skuteczność – skuteczne kłamstwo ma większą wartość niż najświętsza prawda. A sam konserwatyzm? Absurdalne są wszelkie próby powiązania hasła „dobrej zmiany" z etosem zachowawczości. To hasło ma jakobińskie korzenie – wyrasta z pogardy wobec przeszłości, z marzeń o rewolucyjnej regeneracji. Kto uwierzy, że w tym kierunku mogą zmierzać konserwatyści? Na łuku triumfalnym „dobrej zmiany" należałoby raczej umieścić portrety Lenina.

Cóż więc nam się przydarzyło? Rewolucja moralna? Litości – sztandary szybko upadły w błoto. Butne moralizatorstwo przybrało w praktyce postać porachunków i walki o pomnożenie łupów. Tak najczęściej bywa – rewolucyjne natchnienie szybko jest zastępowane polityką kadrową: tworzeniem własnego układu, lokowaniem „swoich". Tak właśnie powstawały warowne obozy „dobrej zmiany". Powiewają w nich proporczyki „tłustych kotów", kręcących mimo nadwagi zgrabne piruety. „Dobrozmianowcy" nie chcą się spóźnić, gdyż dobrze wiedzą, że każda rewolucja pożera własne dzieci.

Niestety, w polskiej polityce nie ma miejsca na konserwatyzm, zawsze przegrywał on z rozgorączkowaniem. Prym wiodą z reguły koncepcje radykalne, zapowiadające wyzwolenie z krzywd, które wyrządziła przeszłość. Dziś jest podobnie – jeśli pominiemy centrum, które najwyżej sobie ceni bladość własnego oblicza, bez trudu zauważymy dwa nurty lewicowe. Mamy do czynienia z lewicą emancypacyjną, proeuropejską, otwartą, nastawioną na poszukiwanie, spoglądającą w przyszłość, oraz lewicą klerykalną, antyeuropejską, uciekającą przed nowoczesnością w sferę kiczowatych fantasmagorii. W kostiumie „dobrej zmiany" pojawiła się sklerykalizowana wersja socjalizmu z ludzką twarzą. Triumfy święci polityka przesycona obsesjami, przepojona niechęcią do własnego społeczeństwa, które źle się czuje w dybach tromtadrackiego pseudopatriotyzmu i w skansenach światopoglądowych przypominających czasy późnego Gomułki. Jest to polityka pełna niezdarnej emfazy, mieszająca brudną pianę z dymem kadzidlanym, pławiąca się w miazmatach stagnacji. „Tafla zastoju", jak mówił kiedyś Stanisław Brzozowski.

Młoda prawica? Cóż to miałoby znaczyć? Swoje aspiracje realizują „młodzi" w oparach fantazmatów, w splotach anachronicznych mód światopoglądowych i odziedziczonych uprzedzeń – gdzieś w aurze starej baśni, pomiędzy utopią wolnego rynku i odgłosami kościelnych dzwonów. Dźwignią jest nacjonalizm – Zbyszewski złapałby się za głowę! Za jedno wszakże „młodym" winni jesteśmy wdzięczność. Nie uprawiają topornej tromtadracji, która w środowisku „starych" zastępuje obowiązek myślenia. Po upadku powstania styczniowego krakowscy stańczycy – chwała im za to – obłożyli tromtadrację polityczną anatemą. Co z tego zostało? Dzisiejsi „konserwatyści" tworzą repliki insurekcyjnej gorączki, ich myśli snują się na polach przegranych bitew. W uniesieniu wspinają się – mówiąc słowami Brzozowskiego – na „zabity szczelnie deskami »Olimp« Sienkiewiczowski".

Polska prawica nie może być zjednoczona, gdyż polskiej prawicy po prostu nie ma.

Problem z polską „prawicą" polega na tym, że nie była ona w stanie przekroczyć intelektualnego i moralnego horyzontu, który wyznaczył antykomunizm. Dalej wzrok nie sięgał. Zauważył to Zbyszewski – na emigracji jego zdaniem antykomunizm stał się siedliskiem myślowej mizerii. Prowadził do „dyzenterii słownej", do sekciarskiego zacietrzewienia przypominającego towianizm. Czy to właśnie były wyżyny, na których miały się ważyć nasze losy? Co się dzieje na tych „wyżynach" dzisiaj? Przykładając oko, widzimy, że rzeczywistość przesłoniły majaki weteranów, których za gardło trzyma nostalgia obalania. Utknęliśmy w martwym punkcie, na glebie politycznej fikcji, w chaosie dziwacznych pojęć i znaczeń. Zamiast konstrukcji obejmującej przeszłość i przyszłość powstał upiorny zaścianek. Zabrakło twórczej weny, w szeregi szermierzy wdarła się skleroza. Duch prawicy dogorywa na szczątkach własnych ambicji. Jest boomerem, który przez sen krzyczy: „Precz z komuną!". A tymczasem świat jest już w całkiem innym miejscu. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 569ad48947

Szalone lata 80.

Żartuję, że tak naprawdę zabiegałem w życiu tylko o dwa stanowiska. Chciałem być szefem „itd”, a później, w latach 90., szefem komisji konstytucyjnej

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI

Rozmawia Aleksander Kaczorowski

Jak pan w ogóle trafił do stolicy?

– Pod koniec 1979 r. przeszedłem z funkcji wiceszefa zarządu wojewódzkiego Socjalistycznego Związku Studentów Polskich w Gdańsku na stanowisko przewodniczącego komisji kultury Rady Naczelnej na Ordynackiej.

To była pasjonująca praca. Naszym szefem był Tadek Sawic, prawdziwe zwierzę SZSP-owskie, wytwór ruchu studenckiego. Sawic lubił życie towarzyskie i dyskusje, teatry – to wszystko odbywało się razem. Jego zastępcą był Irek Nawrocki, wcześniej szef studentów w Warszawie. Moim bardzo bliskim kolegą był Jurek Koźmiński, przewodniczący komisji zagranicznej, którego później ściągnąłem do pracy w rządzie Rakowskiego. Jurek po 1989 r. pomagał Leszkowi Balcerowiczowi, a następnie przez siedem lat był wspaniałym ambasadorem w Waszyngtonie. W komitecie wykonawczym Rady Naczelnej był też Krzysio Pietraszkiewicz, który odpowiadał za sprawy ekonomiczne, dzisiaj jest prezesem Związku Banków Polskich. Był Wiesio Dębski, późniejszy naczelny „Trybuny”. Marian Sewerski, obecnie prezes wydawnictwa Czytelnik. Nie można było się nudzić w tym gronie.

Sami mężczyźni. Przy Okrągłym Stole też było więcej księży niż kobiet. Kobiety dwie, księży trzech. Z czego to wynikało?

– Solidarność była bardzo mocno związana z Kościołem, tam system patriarchalny pozostawał mocno utrwalony.

U was nie?

– Brak kobiet w życiu publicznym to jest spuścizna setek lat. W Parlamentarnym Klubie Lewicy Demokratycznej było już sporo znakomitych kobiet. Kiedy zostałem prezydentem, dopilnowałem tego, żeby szefem Kancelarii Prezydenta zawsze była kobieta: najpierw Danuta Waniek, później Danuta Hübner, po niej Jolanta Szymanek-Deresz. A trzeba wiedzieć, że szef Kancelarii to jest bardzo ważna osoba, to jakby szef sztabu generalnego, który ma wiązać wszystkie nici ze sobą i rządzić grupą niezwykle ambitnych mężczyzn. Kobiety powinny nauczyć się, narzucić sobie umiejętność pracy z bardzo ambitnymi mężczyznami. To jest trudne, bo tacy mężczyźni potrafią czasem stosować niegodne metody – od dezawuowania po sabotowanie poleceń.

Parytety są potrzebne?

– Tak. Większy dostęp kobiet do polityki i do aktywności jest potrzebny, a parytety powinny to przyspieszyć. To na szczęście bardzo szybko się zmienia. Choć oczywiście trzeba zachować się racjonalnie – zwiększenie obecności kobiet w polityce nie jest receptą na samo dobro. Są polityczki, które wzbudzają we mnie wielkie zaufanie, zaciekawienie, gotowość wręcz oklaskiwania, ale są i takie, z którymi fundamentalnie się nie zgadzam. Nazwisk nie będę wymieniał.

Coraz częściej wymienia się nazwisko Beaty Szydło jako kandydatki PiS w wyborach prezydenckich.

– To jest bardzo prawdopodobne. Moim zdaniem PiS będzie usiłowało pójść w tę stronę, pozyskać część elektoratu kobiecego. Nie wiem, na ile to się uda, ale możliwe, że wystawią kobietę, Beatę Szydło albo Elżbietę Witek.

Z punktu widzenia prawicy ma to sens. To jest pokazanie, że wprawdzie odrzucamy feminizm, ale jesteśmy za kobietami.

– Tak, tak. Da się to tak sprzedać. Oskarżacie nas o stosunek patriarchalny do kobiet, a my oddajemy najważniejsze stanowisko – głowy państwa – kobiecie. Być może na część elektoratu tradycyjnych kobiet to zadziała. Choć nie musi. Za moich czasów studenckich na roku było nas mniej więcej pół na pół, może nawet trochę przeważały dziewczyny, ale kiedy trzeba było coś zorganizować, okazywało się, że wracamy do tradycyjnego podziału ról. Chłopaki są od kierowania, a dziewczyny pomagają.

Oczywiście zdarzały się wyjątki. Jak panu mówiłem, kiedy byłem szefem rady uczelnianej SZSP, dwoje kandydatów ubiegało się o funkcję przewodniczącego rady Wydziału Prawa: Jolanta Konty i Sławek Czarlewski. I Jola wygrała. Jak zobaczyłem ją w akcji, to pomyślałem, że nie dość, że piękna

Gazeta wydawała mi się czymś konkretnym: zaczynam, kończę, podoba się albo nie. To mnie niezwykle pociągało.

eprasa.pl 569ad48947

kobieta, to jeszcze taka energiczna i zdolna… Zakochałem się.

Dostrzegł pan w żonie talent polityczny?

– Komunikacyjny. Świetnie organizowała ludzi, chcieli z nią pracować. (…)

A czym pan się zajmował po przyjeździe do Warszawy?

– Pracowałem przede wszystkim z teatrami studenckimi, z Teatrem Ósmego Dnia z Poznania, z Provisorium z Lublina i innymi. Dlatego na własny ślub w Gdańsku pojechałem z Festiwalu Teatru Studenckiego w Toruniu.

To były najlepsze lata teatru alternatywnego, później nie odgrywał już takiej roli społecznej. Środowisko było mocno opozycyjne i twórcze, na bardzo wysokim poziomie. Oczywiście główny problem polegał na tym, jak ochronić teatr w sporze z partią, z cenzurą. To było ciągłe lawirowanie, czasami z lepszym skutkiem, czasami z gorszym. Wszystko to było męczące i skończyło się wraz z Solidarnością. Cenzura się poddała, partia też machnęła ręką – mieli inne rzeczy na głowie.

Ale muszę panu powiedzieć, że już wtedy czułem, że potrzebuję czegoś bardziej mierzalnego. Coraz mocniej męczyła mnie sytuacja, w której twórcy tworzą, a ja mam być filtrem między władzą, SZSP a cenzurą. Gazeta wydawała mi się czymś konkretnym: zaczynam, kończę, podoba się albo nie. To mnie niezwykle pociągało. Jesienią 1981 r. zwolniło się stanowisko Zdzisława Pietrasika, redaktora naczelnego tygodnika „itd". Zwolniono go za jakieś politycznie nieprawomyślne działania. To był bardzo dobry dziennikarz i porządny człowiek, późniejszy szef działu kulturalnego w „Polityce".

Ślub Jolanty i Aleksandra Kwaśniewskich. Świadkami byli Wanda Konty – siostra Jolanty i Zbigniew Arczyński. Gdańsk, 23 listopada 1979 r.

Znaliście się osobiście?

– Znałem i jego, i całe „itd". I oni mnie znali. Tygodnik „itd" formalnie był pismem SZSP. A ja byłem członkiem władz i zajmowałem się kulturą.

Zacząłem zabiegać o to stanowisko. Żartuję, że tak naprawdę w całym swoim życiu zabiegałem tylko o dwa stanowiska. Chciałem być szefem „itd", a później, w latach 90., szefem komisji konstytucyjnej. Inne stanowiska były raczej rezultatem zbiegu okoliczności, wypadków, czasem konieczności historycznej, ale naprawdę zabiegałem tylko o te dwa.

Nie interesowała pana kariera partyjna?

– Ona mnie odrzucała. W gruncie rzeczy mimo różnych propozycji, a było ich wiele na rozmaitych szczeblach, zawsze odmawiałem. Uważałem, że jeżeli mogę się przysłużyć państwu, to bardziej w działaniach rządowych, administracyjnych, a nie partyjnych.

Pierwszy raz byłem w Komitecie Centralnym jako szef rady uczelnianej. Raz do roku robiono taką naradę z udziałem I sekretarzy komitetów uczelnianych, rektorów i szefów rad uczelnianych. Prowadził ją Andrzej Werblan – w sali, w której odbywały się plena, na najwyższym piętrze. Przyjeżdżam z Gdańska. Instruktorem w KC, który odpowiadał za młodzież studencką, był Zdzisław Gąsiorowski, bardzo przyzwoity człowiek. Idziemy tymi korytarzami i mówię: „Jak tu pusto". A on: „Wiesz, tu się odpowiada przed historią".

No, pomyślałem sobie, jeśli przed historią odpowiada się w tym gmachu, w którym większość działań jest pozorowana, to coś jest nie tak.

KC był marzeniem kilku moich kolegów, ale na mnie robił odpychające wrażenie. Urzędowałem tam przez tydzień czy dwa, w dawnym gabinecie pierwszych sekretarzy, kiedy zostałem przewodniczącym SdRP.

Leszek Miller miał zupełnie inną ścieżkę kariery.

– To inna droga. Trzeba oddać mu szacunek, że on tę swoją karierę wyszarpał. Bardzo pracowicie piął się i uczył, ale to partia była motorem jego awansu.

A pana?

– Bardziej ruch studencki, a później sploty okoliczności. Zawsze muszą się zgrać trzy elementy: człowiek, czas, miejsce. Jak zgrają się tylko dwa z tych elementów, to nic nie wyjdzie. SZSP to była trampolina, dzięki której trafiłem do Warszawy. To się nie musiało zdarzyć. A później, dzięki rewolucji solidarnościowej, w wieku 26 lat mogłem zostać naczelnym „itd".

Nie rozumiem? Co Solidarność miała do tego?

– Wcześniej to się nie zdarzało. Czasy stabilności, czasy biurokracji nie służą przyspieszonym karierom. Pamiętam swoje spotkanie z wiceszefem Wydziału Prasy, Radia i Telewizji KC. Spojrzał na mnie, zajrzał w papiery, ile mam lat, i powiedział:

eprasa.pl 569ad48947

„A rób pan, co chcesz, niech tak będzie". Zgodził się, ale z taką rezygnacją, że już wszystko poszalało, więc można 26-latka zrobić naczelnym „itd", czemu nie?

Nominację otrzymałem 15 listopada 1981 r. Pamiętam tę datę, bo to dzień moich urodzin. Zygmunt Konopka, szef Młodzieżowej Agencji Wydawniczej, powiedział: „Słuchaj, co komuś wręczam nominację do »itd«, to na coraz krócej. Mam nadzieję, że dla ciebie to będzie na trochę dłużej".

I wykrakał, bo w stanie wojennym redakcji zakazano działalności. Ostatni numer, który wydaliśmy 13 grudnia, został w dużej części skonfiskowany. Później zaczęły się problemy, zawieszono i rozwiązano tygodnik, zaczęto weryfikację dziennikarzy. Udało mi się odbudować „itd" dopiero w maju 1982 r.

Jak pan przeżył 13 grudnia? Poprzedniego dnia miał pan imieniny, prawda?

– Nie tylko ja, ale także moja córka. Ola wtedy nie miała jeszcze nawet roku. Wróciłem specjalnie z Niemiec, z konferencji, żeby świętować razem z nią. Nasi znajomi mieli większe mieszkanie w tym samym bloku na Ursynowie, więc świętowaliśmy u nich. Wypiliśmy trochę, poszliśmy spać. Miałem przy łóżku taką kolumnę – jak się nacisnęło, to się włączał III Program Polskiego Radia. Rano naciskam guzik, a tu szu, szu – nic. Co się stało? Zepsuta? Włączam telewizor, a tu Jaruzelski przemawia. Co się dzieje? Ledwo zacząłem słuchać, a już puka do drzwi sąsiad z góry. Stoi w szlafroku i mówi: stan wojenny. Co to takiego? Siedzimy, słuchamy i nagle się dowiaduję, że organizacja, w której władzach jestem, SZSP, została zawieszona. Gazeta, której jestem naczelnym – zawieszona. Tu nie wolno wychodzić, tam nie wolno przychodzić.

Bał się pan?

– Nie. (…)

Nie myślał pan, żeby rzucić to wszystko, oddać legitymację partyjną?

– Część ludzi się na to zdecydowała i ja ich rozumiem. Sytuacja była dramatyczna, ale uznałem, że trzeba spróbować z niej wyjść. I to się nam w „itd" udało, chociaż w zmienionym zespole. 31 maja 1982 r. wróciliśmy na rynek.

Żeby to zrobić, musieliśmy pokonać bardzo trudny próg w osobie Stefana Olszowskiego, członka Biura Politycznego i sekretarza Komitetu Centralnego odpowiedzialnego za propagandę, ideologię i tym podobne. Postanowiliśmy zagrać na jego czułej strunie. Olszowski był w latach 50. przewodniczącym Rady Naczelnej Zrzeszenia Studentów Polskich. Poszliśmy we trzech: Tadeusz Sawic, Irek Nawrocki i ja. I tłumaczymy, żeby to odblokować, przywrócić pismo na rynek. A Olszowski, który źle wymawiał r, mówi: „Kułwa, mowy nie ma. To jest antysocjalistyczne pismo. Mowy nie ma". Przekonujemy, że tak nie jest, szukamy różnych argumentów: że organizuje studentów, że propaguje kulturę, że ma dobry poziom redakcyjny. „Kułwa, mowy nie ma. Antysocjalistyczne". Zwracaliśmy się do niego na ty, bo też był w ZSP. „Stefan, daj spokój". Rozmawiamy, masujemy go. I w końcu się przełamuje. „Kułwa, niech wam będzie. Ale jak będziecie kiedyś to opowiadać – dzisiaj to opowiadam – to powiedzcie, że Olszowski beton, ale kułwa sentymentalny". I tak sentymentalny beton Stefan Olszowski odblokował nam „itd".

Oczywiście żeby nie było za dobrze, przeniesiono nas z drukarni przy Okopowej do Katowic, co stanowiło niemały kłopot, szczególnie dla sekretarzy redakcji, którzy musieli tam jeździć z tekstami, z ozalidami.

Dlaczego was przeniesiono?

– Żebyśmy nie czuli się zbyt komfortowo. Poza tym podejrzewam, że ktoś już zdążył wejść na nasze miejsce przy Okopowej. I druga rzecz, która była straszna na początku, a później okazała się zbawienna, mianowicie: cykl druku tygodnika to były trzy tygodnie, 21 dni, a tak zwane kolumny aktualne, zresztą raptem dwie – 10 dni. Jako redaktor naczelny chodziłem na sztaby prasowe w Komitecie Centralnym, gdzie towarzysz Główczyk, notabene bardzo dobry dziennikarz, wieloletni redaktor „Życia Gospodarczego", rozdawał dyspozycje. Pierwsze rzędy, czyli przedstawiciele radia i telewizji, natychmiast opuszczały spotkanie – oni właściwie już byli w niedoczasie. Później nerwowo wychodzili redaktorzy naczelni gazet, którzy musieli do następnego dnia wszystkie mądre dyspozycje partii przełożyć na teksty. Po nich szefowie tygodników, którzy też mieli jakiś swój cykl. A ja spokojnie siedziałem do końca obrad, ponieważ u mnie nowości miały się ukazać za 10 dni. Byłem absolutnie przekonany, że przez te 10 dni dyspozycje zmienią się co najmniej trzykrotnie. (…)

Każda gazeta jest uzależniona od tego, kto daje na nią pieniądze.

Zawsze muszą się zgrać trzy elementy: człowiek, czas, miejsce. Jak zgrają się tylko dwa z tych elementów, to nic nie wyjdzie.

Dużo ludzi musiał pan zwolnić?

– Ja nie zwalniałem, zwalniała RSW. Naczelny nie miał nic do powiedzenia. Część ludzi wybroniłem, m.in. Ewę Kacprzycką. Część odeszła. Krzysztof Gierałtowski do dzisiaj ma pretensje, że został zwolniony w pierwszej kolejności. Ale skoro to się stało na początku stanu wojennego, to tym bardziej nie ja go zwalniałem, bo do swoich obowiązków mogłem wrócić dopiero po miesiącu. Biura były zamknięte, gazeta zawieszona. To była kwestia decyzji moralnej: wracam czy nie wracam.

A pan podejmuje decyzję: zostaję, bo…

– Bo trzeba tę gazetę ratować i spróbować wydawać ją w nowych warunkach. (…)

Czyli stan wojenny nie był końcem świata?

– Nie był. Wszyscy czuli, że coś się wydarzy. Jedni się obawiali – myślę, że to były uzasadnione obawy – interwencji rosyjskiej. Drudzy jakiegoś przesilenia wewnętrznego. Nikt nie używał natomiast określenia „stan wojenny". Aż do 13 grudnia ono było całkowicie nieznane.

eprasa.pl 569ad48947

Wizyta prezydenta USA Billa Clintona w Warszawie, 10 lipca 1997 r.

A ten, kto obejmuje funkcję redaktora naczelnego, zawsze ma za plecami kogoś, kto reprezentuje interesy wydawcy. Szybko pan to zrozumiał?

– Naturalnie. Tylko mówimy o różnych czasach. Dzisiaj to jest dość oczywiste, ale wtedy wyglądało inaczej. „itd" było gazetą skierowaną do młodej inteligencji, czyli studentów i absolwentów. Formalnie pismo stanowiło organ SZSP, a ja byłem we władzach, znałem wszystkich kolegów, byłem zaprzyjaźniony z przewodniczącym, tylko że on nie był prawdziwym szefem tej gazety. Wydawca, czyli RSW, też nim nie była. Do RSW chodziło się, żeby załatwić papier, sprawy w drukarni. Właścicielem gazety była natomiast PZPR.

Której był pan członkiem.

– Ale członków było parę milionów, więc to nie była taka elitarna grupa. Miałem jednak szczęście, że funkcję kierownika Wydziału Prasy, Radia i Telewizji KC PZPR pełnił Bogdan Jachacz, jeden z moich poprzedników na stanowisku naczelnego „itd". Byliśmy zaprzyjaźnieni.

Przeżyliśmy w „itd" kilka dramatycznych momentów, głównie ze względu na śmierć sekretarzy generalnych Komitetu Centralnego KPZR. Oni umierali dosyć seryjnie. Chcąc zwiększyć atrakcyjność pisma, na ostatniej stronie zamieszczaliśmy dwa felietony i kolorowe zdjęcie. Mocno roznegliżowane, ale nieprzesadnie, czasy PRL to była jednak epoka dużej powściągliwości w tej dziedzinie. Umiera Breżniew, my nie możemy o nim nawet wspomnieć, bo taki mamy cykl produkcyjny. I cenzura wstrzymuje numer.

To oznacza przemiał pisma i zwolnienie redaktora naczelnego. Taka była niepisana umowa, że ktoś musi odpowiedzieć za straty finansowe. Biorę więc ten numer pisma i idę do Komitetu Centralnego. Tam na szczęście zastępcą kierownika Wydziału Prasy był Jurek Słabicki, rozsądny człowiek. „Słuchaj, kto to mógł przewidzieć?" – pytam. A on na to: „No ale wiesz, Breżniew umarł, a tu goła panienka?". „W tym momencie możemy tylko zamalować panienkę na czarno" – przyznaję. „Ale to będzie jeszcze większa demonstracja" – zauważa. „Zgadza się".

I puścili nam ten numer z panienką. Cenzura się zgodziła. Nauczeni doświadczeniem od tej pory dawaliśmy dziewczynę tylko na jedną szpaltę, nie na dwie. Jak będzie kolejny zgon, to wtedy panienkę won, pociągniemy kontrę pod felietonem do końca. Nikt nie zauważy, że dziennikarz napisał krótszy tekst. I oczywiście umiera następca Breżniewa – Andropow. Ja jestem absolutnie spokojny, na luzie. Nic się nie może wydarzyć. Telefon z cenzury. Numer wstrzymany. Jak to: wstrzymany?

Co się okazuje? W środku numeru recenzujemy – z trzytygodniowym wyprzedzeniem, z dużymi zdjęciami, bo „itd" było też oparte na dobrym fotoreportażu – film radziecki poświęcony Rasputinowi i ostatnim latom caratu pod tytułem „Agonia". I z boku każdej strony, a to chyba było na sześciu kolumnach, czarna kontra i na każdej stronie biały napis: „Agonia, Agonia, Agonia".

Dobry film swoją drogą.

– Świetny film i mało tego – w jakimś sensie adekwatny do sytuacji. Ale kto to mógł przewidzieć? No i znowu idę do Jurka Słabickiego. Znowu zrozumienie dla trudności technologicznych. Cenzura, chcąc nie chcąc, zgodziła się na druk.

Śmierć następcy Andropowa, Czernienki, przeżył pan już w „Sztandarze Młodych"?

– Przeszedłem tam z „itd" w 1984 r. Z punktu widzenia czysto zawodowego to był awans, ale bardzo się przed tym broniłem. Podobało mi się w „itd".

Przeżyliśmy w „itd" kilka dramatycznych momentów, głównie ze względu na śmierć sekretarzy generalnych Komitetu Centralnego KPZR.

Wtedy, w swoich szkolnych czasach, czytywałem „Razem". „itd" też było tak popularne?

– Bardzo popularne. Sprzedawane nakłady „itd" były większe niż dzisiaj „Wyborczej". Mieliśmy świetne reportaże i doskonałych felietonistów, takich jak nieżyjący już Janusz Atlas czy Andrzej Szmak. Przebojem była rubryka z poradami seksuologicznymi doktora Lwa-Starowicza. Mieliśmy też bardzo dobry dział kultury. Stworzyłem tam wspaniały zespół.

Z kim pan pracował?

– Z „Nowego Medyka" ściągnąłem Piotrka Aleksandrowicza, późniejszego naczelnego „Rzeczpospolitej". Sprowadziłem Dankę Bierzańską. Z poprzedniego rozdania pracowała

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE, EAST NEWS

eprasa.pl 569ad48947

jeszcze Ewa Kacprzycka, świetna reportażystka. Od nauki była Marysia Supranowicz.

W Młodzieżowej Agencji Wydawniczej dawali etaty stażowe. To była wielka rzecz. Stażysta, ale już na etacie. Dostałem dla „itd" jeden taki etat, ale miałem dwoje bardzo zdolnych współpracowników. On – świetny felietonista, ona – reportażystka. Cholera, reportażystę trudniej znaleźć na rynku. Felietonista może siedzieć w domu i coś napisać. Nie muszę go mieć na etacie.

Owym felietonistą, którego nie przyjąłem, był Piotr Gadzinowski, późniejszy poseł na Sejm, który do dzisiaj mi to wyrzuca. Osobą, którą zatrudniłem, i to jest główny tytuł wyrzutów, które czyni mi Gadzinowski, była natomiast Elżbieta Główka.

Później Elżbieta Isakiewicz z „Gazety Polskiej".

– Czyli przyjąłem ciężką prawicę, odrzuciłem prawdziwego lewicowca. Ale muszę powiedzieć, że Ela była bardzo dobrą reportażystką, dopiero później coraz bardziej skręcała politycznie. Moim zastępcą w „itd" był Waldek Siwiński, świetny redaktor, późniejszy naczelny „Perspektyw" i prezes PAP, a dziś szef instytucji, która zajmuje się rankingami szkół wyższych na całym świecie. Wziąłem go do „Sztandaru", tam też był moim zastępcą.

„Sztandar" to była taka „Trybuna Ludu" dla młodych?

– Formalnie „Sztandar" był dziennikiem Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej, ale funkcję prawdziwego dysponenta pełnił Wydział Prasy KC PZPR. To było ogólnopolskie partyjne pismo kierowane do młodzieży. Powstało w 1956 r. i miało znakomitą listę dziennikarzy, autorów i redaktorów. Marian Turski jest stamtąd. Ryszard Kapuściński tam pracował. Pierwsza praca Daniela Passenta to „Sztandar". Za moich czasów szefową działu ekonomicznego była Joanna Solska, dziś w „Polityce". Musieliśmy wypełniać serwituty, takie jak relacje z plenum KC, wystąpienia generała czy oświadczenia Biura Politycznego, ale nasze szczęście polegało na tym, że mogliśmy to wszystko przedstawiać w skrócie. Przez to zresztą naszą gazetę czytano nawet w Komitecie Centralnym.

Gdzie przebiegała granica tego, co można było publikować, a czego nie?

– Żadnej listy z granicami kompromisu, która wisiałaby w redakcji, nie mieliśmy, bo ona każdego dnia wyglądała inaczej. Relacje z cenzurą oznaczały codzienne mocowanie się. Konflikty zdarzały się często i głównie dotyczyły tego, co można było napisać o działaniach opozycji. Z zasady nie wolno było nic, ale pojawiali się na przykład rozmówcy, którzy przemycali w wywiadach swoją sympatię do niej, i wtedy każde ich zdanie negocjowało się z cenzurą. Na początku stanu wojennego wiele nazwisk wylądowało na tak zwanym indeksie, co znaczyło, że nie mogliśmy o nich w ogóle wspominać. Przeprawy zdarzały się też na przykład przy reportażach. Gdy dziennikarz relacjonował, że w jakiejś miejscowości ludzie narzekają na zaopatrzenie, spisywał skargi, wyliczał, czego nie ma w sklepach, cenzorzy te wszystkie „nie ma", „brakuje" zmieniali na przykład na „dziś nie dowieźli".

Staraliśmy się, żeby „Sztandar" był gazetą uczciwą i pokazywał prawdziwy obraz kraju, ale zawsze działał cenzorski filtr, który coś przepuszczał, a czegoś nie.

Przede wszystkim zależało mi, żeby robić gazetę mniej partyjną, a bardziej dla młodzieży. Była w tym duża zasługa Waldka Siwińskiego. Któregoś razu przyszedł z taką koncepcją: a może by założyć pismo komputerowe? To była połowa lat 80., w Polsce zaczęło się szaleństwo na tym punkcie, ludzie potrzebowali instruktażu. Zacząłem więc chodzić koło tego pisma. Wtedy głównym problemem był papier. Z RSW znałem osobę, której jestem dozgonnie wdzięczny, panią Alinę Tepli; niezwykle nam pomogła, to dzięki niej zdobyliśmy papier na „Bajtka". Nie wiedziałem, że mam konkurencję w Komitecie Centralnym, gdzie niektórzy towarzysze wpadli na pomysł założenia pisma „Komputer". Ale to my byliśmy pierwsi na rynku.

„Bajtek" z początku wychodził jako dodatek do „Sztandaru Młodych", najpierw w wersji czarno-białej, później pojawiła się wersja kolorowa. Zebraliśmy tam sporo specjalistów, którzy zajęli się edukacją, specjalizowali się w konkretnych zagadnieniach czy modelach komputerów. Do dzisiaj spotykam ludzi, którzy mówią, że ich przygoda z komputerem zaczęła się od „Bajtka", a teraz są właścicielami firm, ekspertami, programistami i tak dalej.

Naszym największym osiągnięciem w „Sztandarze" było założenie pisma komputerowego, które dotarło do młodzieży i gromadziło uporządkowaną wiedzę na ten temat. Ale mieliśmy też takie inicjatywy jak Młodzieżowa Akademia Umiejętności. Cel był taki, żeby zebrać młodych zdolnych: inżynierów, techników, lekarzy. Oni się potem spotykali. Zrobiliśmy kiedyś spotkanie z Jaruzelskim i jemu się to bardzo, bardzo spodobało. Zdaje się, że wtedy przeszło mu przez myśl, że mógłbym zostać ministrem do spraw młodzieży. Ale o tym opowiem panu następnym razem.

Naszym największym osiągnięciem w „Sztandarze" było założenie pisma komputerowego, które dotarło do młodzieży.

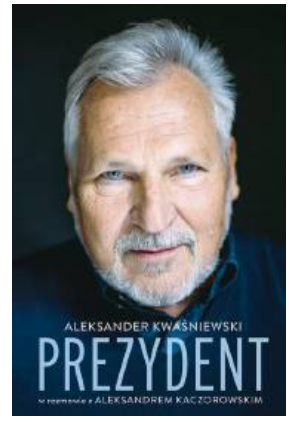

Fragment książki *Prezydent. Aleksander Kwaśniewski w rozmowie z Aleksandrem Kaczorowskim*, Znak Literanova, Kraków 2023

W następnym numerze druga część rozmowy.

eprasa.pl 569ad48947

Oko w oko

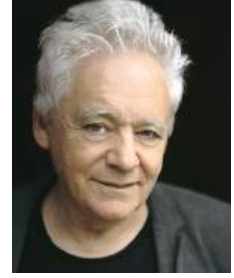

Tomasz Jastrun

Szyte drutem

Na targach książki siedzę przy stoliku przed Pałacem Kultury, z moim „Biletem do nieistnienia". Słońce pali. Na początku ustawiła się kolejka po podpisy, potem pusto, po dwóch godzinach znowu podpisuję. Zawsze głupio, jak się tak siedzi i nikt nie podchodzi, człowiek staje się obiektem zoologicznym w ogrodzie książek. Tłum przechodzi i ogląda siedzącego jak w klatce. Wśród podchodzących po autograf przeważali czytelnicy moich felietonów w PRZEGLĄDZIE. Pewnie dlatego, że tygodnik był jej życzliwy i ją reklamował. Przysiadł się drukarz z tajnych drukarni z lat 80., drukował moje książki, to wszystko zdaje się z innego świata. Nagle staje mi w oczach Pałac Kultury z roku 1981 i Kongres Kultury w tym pałacu, przerwany przez stan wojenny. Na Sali Kongresowej siedziałem wtedy obok Zofii Rysiówny, świetnej aktorki, od lat nieżyjącej i już zapomnianej.

•

Znowu flak w moim chryslerze, starość samochodu jest podobnie kłopotliwa jak starość ludzi. Ale miło mi u wulkanizatora Mariusza, przeszliśmy na ty, łączy nas moralne oburzenie na rządy PiS. Mówi, że idzie 4 czerwca z żoną. My też idziemy. I mamy wspólny problem, często siusiamy. Pocieszam go, byłem na licznych manifestacjach, są otwarte kawiarnie i restauracje, zawsze można skorzystać. Umawiamy się, że jak wygramy wybory, upijemy się razem wieczorem. Mówi, że nawet kupił na tę okazję whisky.

•

„Produkt ustawopodobny, służący do starannie zaprogramowanego, bezkarnego niszczenia ludzi wskazanych przez władzę. Rządzenie przez szantaż i strach" – w taki sposób prof. Mirosław Wyrzykowski ocenia ustawę o komisji do badania rosyjskich wpływów na polską politykę.

„Ten »wykwit intelektu woli suwerena« nie jest żadnym aktem prawnym. To jeden z kolejnych przykładów na to, jak można niszczyć istotę państwa konstytucyjnego, bezkarnie rzucając na kogoś infamię (…). Jesteśmy w rzeczywistości pozaprawnej".

A Duda podpisuje ustawę, naiwni myśleli, że nie podpisze. Już na początku jego urzędowania nie miałem dla niego szacunku, ale w programach telewizyjnych nie używałem mocnych słów, podobnie w felietonach. Teraz bez wahania piszę, że jest błaznem, to słowo obecnie oczywiste, niemal komplement wobec Dudy.

PiS i Duda pewnie nie spodziewali się tak mocnych reakcji na ustawę i jej podpisanie. Sędziwy profesor Adam Strzembosz, zwykle ważący słowa, powiedział, że prezydent przestał być dla niego człowiekiem honoru. „To jest prawo, które wykracza poza świat cywilizowany", mówił w „Faktach po Faktach" były pierwszy prezes Sądu Najwyższego. Komentował też postawę prezydenta Andrzeja Dudy. „Jest człowiekiem skompromitowanym. (…) Konstytucja jest tu tak potraktowana jak zwykła szmata… Takie postępowanie naprawdę odbiera temu, kto to postępowanie popiera – jakby dawniej powiedziano – zdolność honorową". Jan Zimmermann, profesor prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim, były promotor Dudy, widzi to podobnie: „Nie mam wątpliwości, że cała ta ustawa jest haniebna. Tak samo określiłbym postępowanie prezydenta Andrzeja Dudy w tej konkretnej sprawie. Owszem, pan prezydent już wcześniej swoim działaniem łamał prawo, ale teraz położył już swoją prezydenturę na łopatki".

Ustawa została nazwana lex Tusk, trafne określenie i już się przyjęło. To ma być polowanie na Tuska. Ustawa jest tak kuriozalna, podła, tak oczywista w swoim łgarstwie, szyta nie grubymi nićmi, ale drutem, że jest tylko jedno wytłumaczenie. Kaczyński rzeczywiście się przestraszył, gdyż ujrzał, że przegra te wybory. A wtedy, jak mawia, koniec Polski. Jest podły, mały, gwałci i konstytucję, i przyzwoitość, ale to przecież wszystko dla Polski, on się poświęca dla ojczyzny. Wielu polityków i komentatorów za to uważa, że nadszedł koniec polskiej demokracji. Jeśli nadal można publicznie protestować, chodzić na marsze, pisać w pismach jeszcze wolnych, to demokracja w ułomnej formie jednak trwa. Próbuję być optymistą. Może się okazać, że PiS strzeliło sobie w kolano. Tusk najpewniej nie stawi się na przesłuchania przez tę pokraczną komisję, już widzę scenę, jak zakuwają go w kajdany i wiodą przed sąd. Żadna z partii opozycyjnych nie da swoich przedstawicieli do komisji, nawet Konfederacja, więc będą w blasku reflektorów świecić same spocone gęby pisowskie. Fatalnie to będzie wyglądać. Tusk stanie się bohaterem i męczennikiem. Publiczne palenie czarownic nie zyska powszechnej aprobaty, to nie ten czas. A o pieniądzach od Unii możemy zapomnieć.

Publiczne palenie czarownic nie zyska powszechnej aprobaty, to nie ten czas.

31 maja 2023 r.

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 569ad48947

Studia – poznać siebie

Aktywność w samorządzie daje doświadczenie, które na normalnej ścieżce kariery zawodowej ludzie zdobywają koło trzydziestki

Rozmawia Kornel Wawrzyniak

ALEKSANDER HEBDA
– przewodniczący Samorządu Studentów Uniwersytetu Warszawskiego, student piątego roku prawa na Wydziale Prawa i Administracji UW.

Czym zajmuje się samorząd studencki?

– Można to najpierw ująć bardzo formalnie, że zakres działania samorządu studenckiego jest określony odpowiednimi przepisami. Jednak jego realna działalność zależy od tego, kto w nim zasiada, jak bardzo te osoby są aktywne i jak bardzo chcą coś na uczelni zmienić.

A jakie są korzyści z zasiadania w tym organie?

– Działalność w samorządzie to przede wszystkim kontakt międzyludzki. Nie ma drugiego takiego miejsca na uniwersytecie, gdzie można poznać tyle osób z różnych wydziałów. To bardzo kształcące, bo spotykają się osoby patrzące na świat w zupełnie różny sposób. W jednym miejscu znajdują się nagle przedstawicielki i przedstawiciele nauk ścisłych, prawa, humanistyki. Taka wielopłaszczyznowa dyskusja bardzo poszerza horyzonty. Uczy patrzeć na świat z różnych perspektyw, a znajomości tu zawarte często pozostają na długie lata. Warto też podkreślić, że student działający w samorządzie nie będzie miał z tego żadnych korzyści finansowych.

Jednak samorząd studencki obraca sporymi kwotami.

– Tegoroczne juwenalia miały budżet opiewający na prawie 1 mln zł. Podkreślę, że były to w większości pieniądze nie od uniwersytetu, ale także od licznych sponsorów imprezy. Na początku mieliśmy śmiały plan, aby zorganizować ją na błoniach Stadionu Narodowego, ponieważ już w zeszłym roku dało się zauważyć, że przerasta ona możliwości przestrzenne uczelni. Niestety, ze względu na to, że zaczęliśmy kadencję w styczniu, czas nie pozwolił nam dopiąć szczegółów i pozostaliśmy w murach uniwersytetu.

Imprezę można mimo wszystko uznać za duży sukces.

– Wydarzenie trwało dwa dni. Pierwszy dzień był typowo koncertowy. Zagrały m.in. Elektryczne Gitary i Happy Sad. Drugiego dnia były występy Warszawianki w ramach nocy muzeów na Uniwersytecie Warszawskim. Dodatkowo stało miasteczko akademickie, gdzie zaproszeni paneliści rozmawiali na tematy od ekologicznych, przez biznesowe, aż po kosmiczne. Przez imprezę przewinęło się kilkanaście tysięcy ludzi.

A jakie umiejętności daje działalność w samorządzie studenckim?

– Aktywność w samorządzie daje ogromne doświadczenie, które na normalnej ścieżce kariery zawodowej ludzie zdobywają koło 30. roku życia. Rozpisuje się i odpowiada za projekty, na które najpierw trzeba zdobyć finansowanie. Potem, gdy zepnie się budżet, trzeba zebrać ludzi, podzielić się zadaniami i nadzorować ich realizację. Jednocześnie nie ma jednak takiej presji jak w prawdziwej pracy, gdzie trzeba się liczyć ze zwolnieniem i konsekwencjami bytowymi, jeśli projekt upadnie. Jak widzisz, jeżeli tylko chcesz, możesz zdobyć olbrzymie doświadczenie.

Wygląda to na świetną szkołę życia. Są jakieś minusy?

– Przy działalności w samorządzie zauważalnie ubywa wolnego czasu. To nie tylko organizacja imprez i posiedzenia, ale przede wszystkim pomoc innym studentom. Chodzi o kwestie materialne, takie jak stypendia czy zapomogi, oraz pomoc dydaktyczną.

Dydaktyczną?

– Odpowiem ci pytaniem: przeczytałeś kiedyś regulamin studiów?

Oczywiście, że... nie.

– Widzisz, nie jesteś odosobnionym przypadkiem. Część studentów nie dostrzega różnicy między tzw. warunkiem a poprawką. Gorzej zorientowani nie wiedzą nawet, że

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 569ad48947

zbierają punkty ECTS i ile muszą ich mieć, aby zaliczyć rok.

Widać ogromną polaryzację w społeczeństwie, głównie ze względu na media społecznościowe. Czy da się to zauważyć na uniwersytecie?

– Większość uczelni jest jednak mocno lewicująca, chociaż są też przedstawiciele prawicy. Konflikty się zdarzają, ale władze uczelni dążą do tego, aby jednoczyć, a uczelnia ma być przede wszystkim miejscem nauki. Spory na uniwersytecie mają ten pozytywny wymiar, że są pewnego rodzaju laboratorium ucierania się poglądów. Oczywiście są przypadki mocnych konfliktów i są one medialne. Ale trzeba podkreślić, że to nadal sytuacje marginalne, z którymi uczelnia radzi sobie bardzo szybko i sprawnie.

Pamiętam ze swoich studenckich czasów, że kiedyś nie było takiego darcia kotów, jeśli chodzi o politykę.

– Wydaje mi się, że obecnie młodzi ludzie ukształtowali sobie obraz polityki na podstawie ostatnich podziałów partyjnych w Polsce i seriali takich jak „House of Cards", gdzie polityka przedstawiana jest jako wieczna gra. To oczywiście nie ma przełożenia na rzeczywistość, bo polityka ma wiele odcieni szarości, które warto zauważać.

Czy działalność w samorządzie studenckim uczy obywatelskości?

– Każda działalność, która nie służy tylko twoim interesom, a zwraca uwagę na potrzeby drugiego człowieka, jest w pewnym wymiarze działaniem dla społeczności. Oczywiście wszystko zależy od tego, kto zasiada w samorządzie i jakie pobudki nim kierują. Doświadczenie, które zdobyłem do tej pory, działając w samorządzie, pokazuje, że jeśli ludzie się skrzykną niezależnie od poglądów, to są w stanie dużo sprawniej przeforsować interesujące ich zmiany, a to można już nazwać działalnością na rzecz społeczeństwa obywatelskiego.

Jak studenci odnajdują się w roli senatorów?

– W senacie tytuły odchodzą na bok. Student i profesor są w tej sytuacji równoprawnymi senatorami. Wyjście z typowych dla uniwersytetu ról, z tej relacji ucznia i mistrza, wymaga od studenta przełamania się i odwagi, bo na obradach czasem trzeba nawet się spierać, aby coś wywalczyć. Ale taka jest zasada działania senatu i innych ciał kolegialnych uniwersytetu, w których reprezentację mają studenci. Tylko jako ich równoprawni członkowie jesteśmy w stanie coś zdziałać. Aczkolwiek trzeba jako student pamiętać, kiedy zejść na ziemię. Senat to jedno, a sala wykładowa to drugie. Tam, m.in. ze względu na wiedzę, profesor ma przewagę nad swoimi studentami.

Ogółem pełna współpraca?

– Ostatnio gorącym tematem na uczelni jest kwestia parkingu pod budynkiem dawnej biblioteki uniwersyteckiej, nazywanej „starym BUW-em". Wiele osób, w tym studentów, chce zlikwidowania miejsc parkingowych i pojawienia się w to miejsce większej ilości zieleni. Zawiązała się nawet akcja protestacyjna na Facebooku. Jej uczestnicy nie wiedzieli, że kanclerz wraz z samorządem już dawno działają, aby takie zmiany zaszły, wymaga to jednak czasu, m.in. ze względu na kilka placów budowy na Kampusie Centralnym UW. Po zakończeniu tych prac powiększy się liczba miejsc parkingowych, co pozwoli na pozbycie się aut spod „starego BUW-u". W sytuacjach, gdy coś studentowi na uniwersytecie nie pasuje, najlepiej skontaktować się z Zarządem Samorządu Studentów i działać razem dla osiągnięcia oczekiwanej zmiany. Czasem nawet, jak w tym przypadku, może się okazać, że problem został już rozwiązany.

Nie chce mi się wierzyć, że nigdy nie było jakiejś kwestii spornej między studentami a uczelnią.

– Rektor rozumie, że uniwersytet jest w dużej mierze dla studentów, dlatego zawsze mamy platformę do dyskusji. Co jest świetne, zawsze dochodzimy do podobnych konkluzji. Problemem bywają czas i finanse, ale jeżeli tylko jest możliwość, to zawsze okazuje się, że jesteśmy po tej samej stronie. W końcu jedną z największych wartości, jakie mamy jako nasza społeczność akademicka, jest Uniwersytet Warszawski.

Nie macie pod górkę u niektórych wykładowców, kiedy przeforsujecie zmiany, którym byli przeciwni?

– Jeszcze jakiś czas temu, co wiem z opowieści starszych kolegów, podejście części profesorów do studentów można było zamknąć w parafrazie znanego powiedzenia – studenci i ryby głosu nie mają. Dziś stosunek do studenta na uniwersytecie jest zupełnie inny. Patrzy się na jego potrzeby i wychodzi im naprzeciw. Student jest istotnym elementem całej uniwersyteckiej układanki.

Widzę tu ogromną zmianę, bo moi wykładowcy jeszcze 10 lat temu zachowywali się raczej jak w powiedzeniu z rybami.

– Nie jest tak, że nie ma przed społecznością uniwersytecką jeszcze kilku wyzwań w tej kwestii. Jednak widać, że idziemy w dobrym kierunku. Czasami problemem bywają wykładowcy, którzy są mocno osadzeni w dawnym podejściu do nauczania, np. nie uznają ankiet ewaluacyjnych.

Jeśli ludzie się skrzykną niezależnie od poglądów, są w stanie dużo sprawniej przeforsować interesujące ich zmiany.

Jak dziś wygląda życie studenckie?

– Wszystko zależy od charakteru danej osoby. Sam wiesz, że byli znajomi, którzy ciągle się uczyli, ale byli też tacy, których niezależnie od dnia czy godziny mogłeś znaleźć w barze. Są także ludzie, którzy od pierwszych dni szukają praktyk w korporacjach. Dla mnie studia powinny rozwijać wszystko po trochu. Raz, muszą zapewnić bazę merytoryczną. Dwa, bazę relacji i kontaktów.

Czyli trzeba być towarzyskim.

– Tak. W żadnym innym momencie życia nie ma tak wielkich możliwości zawierania nowych znajomości z ludźmi z kompletnie różnych środowisk. Uważam, że studia powinny przede wszystkim uczyć krytycznego myślenia i nabywania tzw. umiejętności miękkich, bo są właśnie od tego, aby dyskutować, wymieniać poglądy i wreszcie poznawać siebie.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 569ad48947

KAŻDY CZASAMI WZDYCHA

Opowiadania **Tomasza Jastruna**

Bilet do nieistnienia

Golił się. Kiedy w białej pianie zanurzał twarz, bardziej mu się podobała, niż kiedy była naga. Postarzałem się w ostatnim roku, skurczyłem, obwisłem, kiepsko ze mną, pomyślał. Zauważył kiedyś, że bardzo starym ludziom zaczyna uwyraźniać się szkielet, a głowa ujawnia kształt czaszki.

– To już pewnie mój przypadek – mruknął sam do siebie. – Ale jeszcze mogę się golić, golę się, więc jestem!

Nadal był w szlafroku, ostatnio chodził w nim przez cały dzień, z wielkim trudem zasiadł w fotelu, żeby czytać nekrologi. Kiedyś nie było tygodnia, by nie umarł jakiś znajomy, bliski lub daleki, choćby ktoś, komu kiedyś uścisnął rękę. Teraz już nikt mu nie umiera, bo wszyscy umarli.

Stukanie do drzwi, niespodziewane, bo kto puka z pominięciem domofonu? Nikt ostatnio nie puka.

– Kto tam, do licha? – mruknął, chwycił chodzik i podreptał do drzwi. – Kto puka? – zawołał.

– Posłaniec z biletem.

– Jakim biletem?

– Pan otworzy, pan się dowie.

Spojrzał przez judasza, tracił wzrok, więc niewiele zobaczył, tyle co nic.

– A pan nie złodziej? – zapytał trochę przymilnie.

– Jestem urzędnikiem państwowym – odparł głos, bardzo godnie, urzędowo.

Był prawie przekonany, ale z natury nieufny, więc zwlekał z decyzją.

– A może pan wetknąć przesyłkę pod wycieraczkę? Wyjmę za jakiś czas, nikt nie ukradnie.

– Musi pan pokwitować.

– Muszę, nie muszę, jak nie będę chciał pokwitować, to nie pokwituję.

– Ja muszę wręczyć panu przesyłkę, to ważna sprawa.

Nadal uważał, że całe to najście jest podejrzane. Jest metoda na wnuczka, to może i jest na bilet. Jakiś bilet, jaki bilet, polecone wrzucają mu do skrzynki. Ale słyszał, że listy z urzędu skarbowego trzeba odebrać osobiście.

– A to nie urząd skarbowy? – zapytał z obawą, bo bał się urzędu skarbowego.

– Urząd, ale nie skarbowy – odparł głos.

Znowu spojrzał przez judasza, ale nic nie zobaczył.

– No trudno, ryzyk-fizyk – mruczał do siebie. – Zabije, nie zabije, ryzyk-fizyk. – Otworzył ostrożnie drzwi.

Stał w nich osobnik jakby bez płci, a co najdziwniejsze – bez twarzy. Po raz pierwszy widział istotę ludzką bez twarzy.

– Pan podpisze – powiedział zdumiewający osobnik i podsunął mu urzędowy papier.

Podpisał i wziął z ręki osobliwego urzędnika zalakowaną kopertę. Nie wiedział, że są jeszcze takie przesyłki z czerwonym lakiem. To musi być jakaś poważna sprawa, byle nic złego, a da Bóg, że coś dobrego. Pożegnał posłańca i poczłapał do fotela. Zasiadł w nim i wrócił do przeglądania nekrologów. Udawał, że go nie obchodzi, co jest w kopercie, bawił się przesyłką jak kot myszą. Niby ważna, ale nie na tyle, by się do niej od razu dobrać. Dzięki temu, że zwlekał, sprawa zrobiła się ekscytująca. Podreptał, by zaparzyć sobie melisę, wrócił z parującym kubkiem, co nie było łatwe z chodzikiem, ale dał radę i nic się nie wylało. Usiadł, jęknął, bo zabolał go kręgosłup, i zabrał się za kopertę. Żadnych nadruków, żadnej informacji, tylko ten lakowy stempel. Z trudem odczytał początek napisu na laku: „Urząd do spraw…" – nie mógł jednak odczytać, do jakich spraw, coś jakby z końcówką „…cznych". W każdym razie ważne, że nie urząd skarbowy.

Rozerwał z trudem kopertę, trochę mu było żal eleganckiego stempla z laku. W środku rzeczywiście był bilet, a na nim jak byk napis: „Bilet do nieistnienia". Ozdobny papier, nigdy jeszcze nie widział tak osobliwego papieru, na górze listu nadruk: „Urząd do spraw Ostatecznych". Poczuł falę gorąca, jakby ktoś go oblał parującą jeszcze melisą. Co za dureń, po co odebrałem tę przesyłkę, to już po mnie, pomyślał.

Nazajutrz znalazła go w fotelu córka, miał pogodny wyraz twarzy, jakby został zaskoczony przez śmierć, ten wyraz oblicza zdarza się czasami u zmarłych.

Filozof

– Kim jesteś? – zapytał go znajomy taty. Ten pan pachniał suszonymi grzybami, był prawie łysy i miał małą, białą brodę, podobną do tej, jaką miała koza, którą chłopiec widział niedawno w filmie.

– Jestem Franek – odparł chłopiec. Miał pięć lat, był pewien, że ma na imię Franek. Na urodziny dostał tablet i właśnie przy nim majstrował.

– A poza tym, że jesteś Franek i masz pięć lat, to kim jesteś? – pan znowu zapytał.

– Chcę mieć psa, ale rodzicie nie chcą mi go kupić, zamiast psa kupili mi tablet – powiedział chłopiec.

– A poza tym kim jesteś? – pan nie ustępował.

Franek poczuł, że ma dosyć tych pytań, bo to wcale nie było przyjemne, takie wypytywanie, więc sam zapytał:

– A kim pan jest?

– Nie wiem – odparł pan bez wahania.

Chłopiec pomyślał, że chociaż jest dzieckiem, wie o sobie więcej, znacznie więcej niż ten dorosły, który nie jest zbyt mądry, co się dorosłym zdarza. A jego tata jest mądry i na pewno wie, kim jest.

– Kim był ten pan? – zapytał potem swojego tatę.

– Jest z zawodu filozofem – odparł tata. – Kiedyś ci wyjaśnię, co to za zawód, to bardzo osobliwy zawód.

eprasa.pl 569ad48947

Nie bardzo wiedział, co to znaczy „osobliwy”, ale żeby tata myślał, że jednak zna to słowo, powiedział:

– Zauważyłem tato, że on jest osobliwy, on nawet nie wie, kim jest!

Tata był tego samego zdania.

– Filozofom to się zdarza – powiedział z uśmiechem.

Chłopiec poczuł, że bardzo kocha swojego tatę i że jest on najmądrzejszy na świecie.

Koperek

– Kup koniecznie w Lidlu koperek, będzie do łososia – powiedziała.

Nie mógł znaleźć tego koperku, a jak na złość nikt z obsługi nie kręcił się po sklepie. Namęczył się, nachodził, już tracił nadzieję, gdy w końcu znalazł. Wrócił do domu bardzo dumny z siebie, z koperkiem.

Żona rozpakowała koperek i się zaczęło. Twierdziła, że jest zwiędnięty, wyblakły, koperek, a jak nie koperek, machała mu nim przed nosem. Zdawało mu się, że koperek jak koperek.

– Nie widzisz?!!! – piekliła się. – Ty naprawdę nie widzisz, w jakim to jest stanie? Ciebie to posłać do sklepu, nigdy nie kupisz niczego jak trzeba, gdzie ty miałeś oczy!

Tłumaczył się, że koperek był zapakowany, więc nie mógł widzieć, w jakim jest stanie, poza tym jest w nie najgorszym stanie.

– W nie najgorszym, gdzie ty masz oczy, gdzie ty masz rozum?!!! – wołała coraz głośniej. – Masz rachunek ze sklepu? Oddam im ten koperek, oddam dla zasady!

– Kosztował grosze. – Ośmielił się powiedzieć. – Szkoda zachodu.

– A nie szkoda, trzeba oddać dla zasady! Daj rachunek.

– Wyrzuciłem do kosza przy sklepie.

– Nigdy nie wyrzucaj rachunku, nigdy, jak mogłeś wyrzucić, rachunku się nie wyrzuca! Jak ja im teraz oddam ten koperek?

– Nie oddasz.

– Nie oddasz, nie oddasz – przedrzeźniała go. – Fujara, ciebie to wysłać do sklepu… Jak oni mogli sprzedać taki koperek! Jak ja teraz zrobię tego łososia bez koperku. Nic nie robię, tylko siedzę w tej kuchni, skurwysyny, oszuści!

– Ja mogę pojechać po ten koperek.

– Jeszcze tego brakowało, znowu zły kupisz! Całe życie siedzę w tej kuchni, nic tylko w kuchni! Co za życie, łajdaki, łobuzy, dranie, już nigdy nic nie kupię w Lidlu!

Rozległ się krzyk stłuczonego szkła.

– Stłukłam, stłukłam!!! – zawołała niespodziewanie grubym głosem. – Moją ulubioną, porcelanową wazę z rodzinnego domu, jaka strata! Wszystko z tych nerwów!

Chciał coś powiedzieć, na szczęście niczego nie powiedział. Gdyby cokolwiek powiedział, tylko by to pogorszyło sytuację. Stłuczona porcelana zamiatana na szufelkę cicho jęczała. Tym żałosnym dźwiękom wtórował głos żony, zmieniający się powoli w płacz.

– Moje życie, moje zasrane życie w tym domu. Jestem sama ze wszystkim, nikt mi nie pomaga! Męża mam niedojdę, jak coś wymyśli, to katastrofa, jak ta szkoła Stefka. Oszuści, nic nie uczą, tylko biorą kasę, też mi prywatna szkoła, interesik rodzinny.

– Stefek jest zadowolony, a to najważniejsze.

– A na jakie studia on się dostanie po takiej szkole? Jak ja mogłam ci uwierzyć, że to dobra szkoła! Już po dzieciaku, nic z niego nie będzie, gra tylko i gra. Po ojcu taki!

– Ja nie gram.

– Nie grasz, ale jesteś, jaki jesteś. A ta ździra, z którą się zadałeś, to co? Dziwka jedna.

– Ale to było wiele lat temu, ty też nie jesteś święta.

– Powinnam się wtedy z tobą rozwieść, a teraz mam trutnia w domu, mało co zarabia, żadnego z niego pożytku, nawet koperku nie umie kupić… Patrz! Wyrzucam go do śmierci, pieprzony koperek. Patrz! Widzisz?

– Widzę.

Wyrzuciła zamaszyście koperek do śmieci, jakby go uśmiercała z całą pogardą; taką może mieć tylko kobieta szykująca łososia, która potrzebuje świeżego koperku.

– Widziałeś? To zapamiętaj na całe życie, nigdy nie kupuj takiego koperku!

Powlókł się do sypialni, położył się na łóżku i próbował sobie przypomnieć dzień, kiedy poznał żonę. Była ładna, miła, rześka jak morska bryza. On był wtedy szczęśliwy i pełen dobrych myśli na przyszłość. Tak myślał i myślał, aż zasnął.

Obudził go wielki krzyk:

– Obiad!!!

Zerwał się na równe nogi przerażony, z myślą: koperek, co z koperkiem?

Pogrzeb

Od jakiegoś czasu nie chodzi na pogrzeby. Co zmarłemu po jego obecności? Ostatnio był na pogrzebach swojej matki i potem ojca, nie mógł nie być. Oboje zmarli w ciągu jednego roku, na dwóch jego krańcach. Nie chodzi, bo pogrzeby są przeraźliwie smutne. Ludzie zwykle są grzebani, gdy jest zimno, pada deszcz lub śnieg. I te kwiaty z podciętymi żyłami, tyle kwiatów, które zaraz zgniją. Ludzie drepcząc za trumną, gadają o wszystkim, tylko nie o zmarłym, w gruncie rzeczy śmierć nie mieści im się w głowach. Są cali po stronie życia i chcą to udowodnić, choćby rozmową. W tym tłumie jest zawsze kilku kandydatów do kolejnych pochówków. Z pogrzebów ocaliłby tylko stypę z dobrym jedzeniem. To ma sens. Zajeść śmierć, zdać się na przewód pokarmowy i żołądek.

Tego dnia pojechał na Powązki pchnięty jakąś tajemną siłą, była jesień, ten czas, kiedy cmentarze wyglądają najładniej, te stare, gdyż nowe są zawsze obleśnie szpetne. Pojechał więc na cmentarną przechadzkę, chyba z powodów nostalgicznych, bo pomyślał o kasztanach, taki impuls. Nie uznał tej zachcianki za podejrzaną, a powinien.

eprasa.pl 569ad48947

Szedł powązkowską aleją. Kasztany spadały z drzew. Podniósł kilka, miały gładką, niemal ludzką skórę, zbierał je w dzieciństwie, wróciły wspomnienia. Postanowił odwiedzić grób rodziców. Nagle zorientował się, że wszystkie mijane mogiły należą do znajomych, bliższych lub dalszych. Jak to możliwe, że wszyscy są razem? Tu ciocia Krysia, tam przyjaciel filozof, mieli ostatnio diametralnie odmienne poglądy polityczne, śmierć nie zabrała złości z tego powodu. Obok dawna narzeczona, przypomniał sobie, jak kochali się namiętnie na niewygodnym fotelu w jej mieszkaniu, ileż to było lat temu, niesamowite.

lubił tego zdjęcia – jak mogli wybrać właśnie to zdjęcie! Po chwili ujrzał swoją żonę zanurzoną w żałobie i już dorosłe dzieci, z żałobnymi minami, był też brat, były dwie kuzynki, wszyscy stali nad grobem. Zsunięta kamienna płyta ujawniała ciemną otchłań grobowej jamy, obok stał ksiądz pobielony, sękaty i siwy.

Żona płakała.

– To jakieś straszne nieporozumienie! – wykrzyknął. – Ja tu jestem! – Ale nikt nie zareagował. Czy to możliwe, że go nie słychać? Odruchowo zaczął szukać pilota, by pogłośnić i krzyknąć raz jeszcze. Nie znalazł. A nie trzeba było tu jechać, pomyślał.

– Wzdycham, bo irytuje mnie twoje dopytywanie się.

– Dopytuję, bo nie wzdycha się tak bez powodu. Coś cię gnębi, Misiaczku, jesteśmy małżeństwem od 50 lat. Mam chyba prawo wiedzieć, co ci jest?

– Jesteśmy małżeństwem od 50 lat i powinnaś wiedzieć, że czasami wzdycham bez powodu.

– Nieprawda, kiedyś tak nie wzdychałeś.

– Każdy czasami wzdycha.

– Ale nigdy tak ciężko, to coś nowego, coś cię gnębi.

– Mam prawie 80 lat i żona mnie dręczy, czy to nie powód, żeby wzdychać?

– Wzdycham, bo wzdycham, to już westchnąć we własnym domu nie można?
– Wzdycha się zawsze z jakiegoś powodu, wzdychanie bez powodu to melancholia.

Nagle usłyszał jakiś hałas, pobliską aleją szedł kondukt, na wózku jechała urna. Też każę się spopielić, pomyślał. Nie stać mnie psychicznie na gnicie. Nie widział całego konduktu, ale ze zdumieniem zorientował się, że prawie wszystkich zna, a właściwie to wszystkich. Pewnie chowają wspólnego znajomego, co za zbieg okoliczności, pomyślał. Poczekał chwilę i jak kolarz, który dołącza do peletonu, doczepił się na sam koniec, tak jakby niezobowiązująco.

Usłyszał wymianę zdań:

– Na co umarł?

– Udar, zupełnie nagle, jak grom z jasnego nieba.

Zawsze marzył o takiej nagłej śmierci, to jedyny sensowny pomysł na zniknięcie z tego świata.

Pogrzeb niespodziewanie znalazł się w pobliżu grobu jego rodziców. Znowu zbieg okoliczności, zmarły pewnie zostanie pochowany blisko ich rodzinnego grobu, w którym, jak powiedziała mu kiedyś matka, jest jeszcze miejsce dla niego. Puścił wtedy tę wiadomość mimo uszu, wydała mu się żenująca i nie na miejscu. A teraz zdumiony zobaczył, że ludzie otoczyli jego grób rodzinny. Przepchnął się do przodu zaniepokojony, by odczytać nazwisko zmarłego na tabliczce.

To było jego imię i nazwisko, i nawet jego fotografia w ramkach, nie

Idiota, nie bez powodu zawsze unikałem cmentarzy, a teraz masz babo placek.

Szalik

Westchnął i popił to westchnienie herbatą.

– Czemu wzdychasz? – Szydełkiem dziergała szalik, robiła to z wielką wprawą.

– Wzdycham, bo wzdycham.

– A słyszałeś: pan Marian, ten, co prowadzi warzywniak, wyobraź sobie, poszedł spać zdrowy, a obudził się zupełnie żółty, rak wątroby.

– Każdy musi umrzeć, jak nie na wątrobę, to na jakiś inny organ, dobrze, że my jesteśmy zdrowi…

– A jacy tam zdrowi! Ty cierpisz na serce, a ja na nogi, znowu mam opuchnięte.

Zamilkli, słychać było tylko jakby szmer szydełka, chociaż mogło to być złudzenie, i co jakiś czas siorbanie herbaty.

Znowu westchnął.

– Czemu wzdychasz? – Spojrzała na niego uważnie i poprawiła okulary.

– Wzdycham, bo wzdycham, to już westchnąć we własnym domu nie można?

– Wzdycha się zawsze z jakiegoś powodu, wzdychanie bez powodu to melancholia.

Znowu westchnął. Ale teraz wyprzedził jej pytanie:

– Mam tyle lat co ty i nie wzdycham. Żadna z moich przyjaciółek, nawet starszych od nas, tak nie wzdycha, mój brat nie wzdycha, Mariusz ani Jędrzej też nie wzdychają… Nie mów mi, że to normalne.

Machnął ręką, jakby się opędzał od muchy, sięgnął po „Super Express" i zaczął czytać. Ale w chwilę potem z wielkim szelestem odłożył gazetę, wyciągnął się na kanapie i westchnął.

– A jednak coś ci jest, nie podoba mi się to twoje wzdychanie. – Przerwała dzierganie.

Zamknął oczy.

– Powiedz, Misiaczku, co ci jest?

– A odpierdol ty się ode mnie! Wzdycham, bo mam ciebie dosyć, twojego szydełka, opuchniętych nóg, ciągłego narzekania, wzdycham, bo mam za wiele lat i nawet rozwieść się już nie mogę!

– Nie bądź wulgarny, proszę. A o tym rozwodzie mówisz od pół wieku i nic, to nie jest powód do wzdychania. Coś ukrywasz.

Odłożyła szalik. Zdjęła okulary, przyjrzała mu się, po czym wsunęła je z powrotem na nos i jakby nigdy nic zabrała się znowu za szydełkowanie. Miała już więcej niż połowę szalika. Do wieczora skończy.

Opowiadania z tomu Tomasza Jastruna *Bilet do nieistnienia*, Czytelnik, Warszawa 2023

eprasa.pl 569ad48947

KURTYNA W GÓRĘ

Matt Murray, „Głowa w piasek", tłumaczenie Elżbieta Woźniak, reżyseria Maria Seweryn, Teatr Polonia, premiera 3 maja 2023

Nie bądź strusiem

Na pierwszy rzut oka wszystko te kobiety dzieli. Niepoukładana, trochę szalona, ale otwarta na innych Holly, pisarka przechodząca kryzys (Weronika Książkiewicz). Pozapinana na ostatni guzik Pam, potulna pani domu z katolickiej rodziny, wydzwaniająca co kilka minut do męża, aby się zameldować (Magdalena Stużyńska). Nieuznająca żadnych ograniczeń przyjaciółka Holly Cheryll, radykalna wyznawczyni swobodnych obyczajów (Paulina Holtz). Pewnie nigdy by się spotkały, gdyby Pam nie wyszperała listu odsłaniającego intymny związek młodocianych pociech jej i Holly. Dlatego Pam pojawia się niezapowiedziana w mieszkaniu Holly.

Początkowo sztywna, gęstniejąca nawet atmosfera w miarę upływu czasu zaczyna się rozprężać. Wreszcie wyjdzie na jaw, że prawda jest bardziej skomplikowana, a na pozór niepokonywalna odległość światów Pam i Holly nie taka znowu wielka. Najważniejsze to nie chować głowy w piasek niczym struś – w oryginale sztuka nosi tytuł „Myth of the Ostrich", czyli „Mit strusia".

Świetnie napisana komedia, pełna zaskakujących sytuacji, daje aktorkom okazję do namalowania pełnokrwistych portretów kobiet szukających wspólnego języka. Młody kanadyjski autor z wielkim wyczuciem zbudował aurę tego niecodziennego spotkania, które w pewnym momencie przeradza się w skautowski piknik na podłodze, nad którym kierownictwo obejmuje Pam, teraz pogwizdująca z energią przełożona.

Murowane półtorej godziny dobrej zabawy, w dodatku o czymś, a zadbała o to ze smakiem reżyserka Maria Seweryn.

Tomasz Miłkowski

Dalej od prawdy

Chcesz wiedzieć, jak się bronić przed krzyżowym ogniem pytań małżonki? Wybierz się na spektakl „Prawda". Wirtuozowskie aktorstwo pozwoli zapomnieć, że sprawa jest moralnie podejrzana, śmiech natomiast daje potrzebne dla zdrowia endorfiny. W tym przedstawieniu nie uda ci się utrzymać powagi. Role Andrzeja Zielińskiego, Marty Żmudy-Trzebiatowskiej, Beaty Ścibakówny i Tomasza Sapryka to lekarstwo na wszelkie smutki i stresy. Dobra robota teatralna.

Bronisław Tumiłowicz

Florian Zeller, „Prawda", tłumaczenie Barbara Grzegorzewska, reżyseria Wojciech Malajkat, Garnizon Sztuki, premiera 22 maja 2023

MIĘDZY OKŁADKAMI

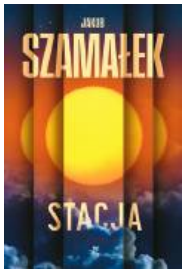

Jakub Szamałek

Stacja

W.A.B., Warszawa 2023

Międzynarodowa Stacja Kosmiczna jako miejsce przestępczych knowań jest idealna z punktu widzenia autora – ludzie tkwią w ciasnocie, poddani rosnącej presji, bez możliwości ucieczki, każdy staje się podejrzany, zwłaszcza Rosjanie, którzy siedzą w swojej części i nie wiadomo co kombinują. Dla bohaterów – absolutny koszmar, w który nie wkroczy żaden śledczy. Ba, co moduł stacji, to terytorium innego państwa: USA, Japonii, Europy, więc inny system prawny, lepiej nie myśleć, co podlega czyjej jurysdykcji. Takie ciekawostki wplata Szamałek w sensacyjną akcję, kontrapunktując napięcie humorystycznymi obserwacjami. Ludzkim ciałem w stanie nieważkości wydaje się zarządzać neoliberalna klika tnąca wydatki. A jak szkodzi atmosferze macho w załodze... Wyjaśnienie, jak doszło do tragedii na pokładzie, może się kojarzyć z rekonstrukcjami wydarzeń w dokumentalnej serii „Katastrofa w przestworzach". Co może pójść nie tak? Wszystko, od błahostki po globalne zawirowania polityczne. Za dowodzącą stacją Lucy Poplaski będziecie trzymać kciuki z całych sił.

Aleksandra Pańko

NA EKRANACH

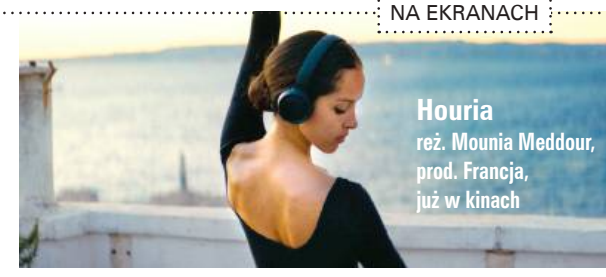

Houria
reż. Mounia Meddour, prod. Francja, już w kinach

Algieria w traumie wojny domowej. Dla okaleczonych konfliktem kobiet odzyskanie dawnego życia jest nieosiągalne. Nawet jeśli przepustką wydaje się taniec klasyczny, również on, odarty z piękna, jest raczej złudzeniem niż szansą na zmianę rzeczywistości. Houria (w tej roli urodzona w Algierze gwiazda francuskiego kina Lyna Khoudri) pracuje jako sprzątaczka, po próbach baletu obstawia nielegalne walki. Brutalnie poturbowana przez objętego amnestią terrorystę traci mowę i odbywa terapię w grupie niemych dziewczyn. To właśnie z nimi może wytańczyć swój ból i gniew w rewelacyjnej choreografii Hajiby Fahmy. Jeden z mocniejszych obrazów współczesnego tańca inspirowany językiem migowym i teledyskiem Sii „The Greatest". Fabuła, w której tytułowa bohaterka mówi przez zaledwie 20 minut.

Joanna Brych

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. KAROLINA KURAL-SADOWSKA, BEST FILM, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 569ad48947

Mateusz Mazzini

Trudna miłość

Sztuczna inteligencja nie zastąpi dziennikarzy, ale już dziennikarstwo – być może tak

To nie będzie kolejny tekst o apokalipsie, jaką ma nam zafundować Chat GPT w swoich kolejnych odsłonach. Ani gorąca pochwała owej technologii, bo na razie rewolucyjne korzyści wynikające z powszechnego zastosowania sztucznej inteligencji pozostają czysto teoretyczne i przez to niemierzalne. Nie mamy nawet szacunków, ile istnień ludzkich sztuczna inteligencja ocali, o ile przyśpieszy eksplorację Układu Słonecznego, do jakich odkryć nas przybliży.

Szacunki, jeśli już, pojawiają się po przeciwnej stronie debaty. Niedawno sceptycy dostali oręż do ręki, bo bank inwestycyjny Goldman Sachs ocenił liczbę miejsc pracy, które zostaną zlikwidowane w wyniku postępu technologicznego, na aż 300 mln w gospodarkach krajów rozwiniętych. Podobne wyliczenia są jednak na razie niewiele warte, bo nie jesteśmy w stanie określić tempa, w jakim sztuczna inteligencja zostanie wprowadzona na tak szeroką skalę. Bliższy prawdzie i łatwiejszy do wyobrażenia wydaje się scenariusz zaproponowany przez prof. Andrew Scotta z London Business School. Coraz bardziej zaawansowane kompetencje programów opartych na sztucznej inteligencji opisuje on jako podnoszący się poziom oceanów wokół archipelagu. Tym archipelagiem jest ludzka cywilizacja i wszystko, co wykonywane w niej wyłącznie przez ludzi. Im wyższe kompetencje programów, tym mniej zostaje ziemi nad lustrem wody, czyli mniej rzeczy wyłącznie ludzkich. Oznacza to, że ludzie, aby przetrwać na rynku pracy i nie utracić treści życia, będą musieli się wyspecjalizować w coraz bardziej zaawansowanych czynnościach i profesjach – w przeciwnym razie zaleje ich fala automatyzacji.

Wszystkie te opowieści są na razie jedynie prognozami. Pewne jest, że sztuczna inteligencja niejeden raz nas zaskoczy, również dlatego, że, jak zauważa coraz większa liczba naukowców, po prostu nie wiemy do końca, jak ona działa. Michał Kosiński, psycholog społeczny z Uniwersytetu Stanforda, postawił nawet tezę, że duże modele językowe, takie jak Chat GPT czy przygotowany przez Google'a Bard, wykształciły coś w rodzaju samoświadomości – krótko mówiąc, że te „maszyny" (celowo wzięte w cudzysłów) wiedzą, że my wiemy, co one wiedzą. Byłaby to raczej forma protoświadomości, bo wciąż oparta na prawdopodobieństwie i statystyce, za ich pomocą też wytłumaczalna, ale na pewno nadająca się na krzykliwe, alarmistyczne nagłówki w mediach. Co zresztą już się stało, bo tekst o właśnie takiej

eprasa.pl 569ad48947

wymowie i pod podobnym tytułem opublikował „New York Times". Jednak już na pierwszy rzut oka widać, że o sztucznej inteligencji w skali makro wiadomo niewiele. W skali mikro natomiast bardzo dużo, bo w wielu miejscach jest ona szeroko stosowana. I do takich należy dziennikarstwo.

Taniej, szybciej, bez nowości

W różnych rankingach to zawód dziennikarza wskazywany jest jako jeden z najbardziej zagrożonych przez sztuczną inteligencję. Na łamach BBC pojawił się tekst usiany wypowiedziami amerykańskich naukowców, którzy uważają, że w perspektywie dekady nawet 90% wszystkich informacji w mediach będzie pisanych przez komputer w sposób całkowicie automatyczny. Kolejni szefowie koncernów medialnych deklarują zaś, że wprowadzą GPT „na pełny etat", oczywiście kosztem pracowników. Znów jednak należy podchodzić do tego z rezerwą, bo na razie w newsach pisanych w całości przez komputer więcej było wpadek niż ciekawych treści. A przejechały się na tym renomowane redakcje, takie jak Business Insider czy CNBC. Niemiecki koncern Axel Springer czy DMGT, właściciel brytyjskiego dziennika „Daily Mail", wprawdzie zapowiedziały, że będą zwalniać setki pracowników, żeby optymalizować wydatki, ale czy ludzie piszący mają czego się bać?

Krótka odpowiedź na to pytanie brzmi: nie, jeśli są w swoim zawodzie naprawdę dobrzy. Tyle przynajmniej pozwala nam stwierdzić bieżący stan wiedzy, reszta to futurologia. Sztuczna inteligencja nie jest w stanie sama zbierać informacji, bardzo słabo radzi sobie też z kontekstem i umieszczaniem w nim pojedynczych historii. Działa na podstawie najbardziej prawdopodobnych skojarzeń, w związku z tym jest dość ograniczona, jeśli chodzi o tropy nieoczywiste. Dlatego nie ma dla niej jeszcze kreatywnego zastosowania chociażby w tekstach o sprawach międzynarodowych, w których trzeba powiązać ze sobą procesy gospodarcze, strategiczne, militarne i coraz częściej klimatyczne. Sztuczna inteligencja pozbiera, posegreguje i opracuje dane, ale w logiczną całość pozbawioną semantycznych pomyłek tego wszystkiego nie złoży.

W tym miejscu trzeba jednak się zatrzymać i poświęcić trochę miejsca na definicje. Bo czym właściwie jest sztuczna inteligencja w kontekście dziennikarstwa? Badacze zrzeszeni w inicjatywie JournalismAI, projekcie prowadzonym przez Google News Initiative i think tank Polis przy London School of Economics podkreślają, że to bardzo pojemny termin, zawierający właściwie wszystko, od algorytmów i automatyzacji pisania newsów po wszelkie procesy komputerowe stosowane przez organizacje medialne, mające na celu dostarczenie bardziej właściwych, zoptymalizowanych treści do odbiorców.

W definicji tej razi język korporacyjny, ale to nie przypadek – sztuczna inteligencja akurat w dziennikarstwie nie jest i nie będzie narzędziem odkrywczym, tylko właśnie optymalizującym. Taniej, szybciej, bez nowości. Potwierdza to Madhumita Murgia, niedawno powołana na stanowisko redaktora ds. sztucznej inteligencji w dzienniku „Financial Times". W czasie panelu dyskusyjnego przygotowanego przez oksfordzki Reuters Institute zauważyła, że w obecnym stanie nawet generatywna sztuczna inteligencja, czyli duże modele językowe GPT i Bard, „nie ma w sobie oryginalności. Nie pokaże czegoś, czego nie widać. Funkcjonuje na bazie istniejących informacji, nie ma również zdolności analitycznych ani własnego głosu". Z tego powodu, twierdzi Murgia, sztuczna inteligencja w gazetach o wysokiej renomie i wymagających odbiorcach, jak właśnie „Financial Times", nie na wiele się zdaje. Nie jest bowiem w stanie ani przeprowadzić nowej analizy, ani zaproponować bardziej złożonego punktu widzenia na dany temat, a tego oczekują czytelnicy dziennika.

Nie znaczy to jednak, że w dziennikarstwie AI się nie przydaje – bo przydaje się od lat. Zresztą o rozwoju GPT i kroczącej rewolucji pisaliśmy na łamach PRZEGLĄDU już w 2019 r., opisując pierwszy felieton napisany w całości przez komputer, opublikowany wówczas na łamach brytyjskiego „Guardiana". Już wtedy zastosowanie automatyzacji przy pisaniu newsów nie było wcale awangardą. W 2018 r. wewnętrzny „robot" stworzony na potrzeby redakcji „Washington Post" napisał aż 850 artykułów w ciągu 365 dni. Wbrew pozorom to niewiele, ponieważ gazeta produkuje nawet 500 jednostek treści dziennie (jeśli wliczać posty w mediach społecznościowych, materiały wideo i foto). Co więcej, sporo z tych artykułów dotyczyło wyników zimowych igrzysk w Pjongczangu, były to krótkie depesze „zaciągające" dane i rezultaty zawodników ze strony Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego. To akurat zautomatyzować dość łatwo, podobne eksperymenty już sześć-siedem lat temu prowadziły BBC i Associated Press, ale chodziło głównie o teksty agregujące dane i przedstawiające je w zwięzły sposób, co w dziennikarstwie jest oczywiście podstawą, ale na pewno nie jego esencją.

> To zawód dziennikarza wskazywany jest jako jeden z najbardziej zagrożonych przez sztuczną inteligencję.

AI też się myli

Więcej sztuczna inteligencja może zdziałać na polu dziennikarstwa ekonomicznego, gdzie już teraz możliwe jest do pewnego stopnia nawet przewidywanie newsów. Tym zajmuje się Francesco Macroni, wcześniej szefujący działom badań i rozwoju w „Wall Street Journal" oraz automatyzacji w Associated Press, a teraz prowadzący własną firmę, AppliedXL. Para się on dzisiaj czymś na kształt przewidywania przyszłości – na podstawie danych finansowych spółek lub

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 569ad48947

informacji o złożonych badaniach medycznych (nawet klinicznych) stosowane przez firmę modele są w stanie znaleźć nieprawidłowości albo wskazać trendy, jeszcze zanim poinformują o nich same prowadzące te badania podmioty lub raportujące spółki.

Tutaj pojawia się jednak inny problem, który łatwo rozciągnąć na całość debaty o przyszłości AI i jej roli w społeczeństwie, czyli dostęp do danych. Coraz więcej osób, z prezesem OpenAI Samem Altmanem na czele, prognozuje spowolnienie w rozwoju tej technologii, bo żeby duże modele językowe stawały się rzeczywiście coraz lepsze, potrzeba wręcz niewyobrażalnych ilości danych do ich wytrenowania. A danych tych nie ma, przynajmniej w świecie zachodnim. Unia Europejska i w pewnym stopniu Stany Zjednoczone regulują ten obszar życia publicznego, chroniąc prywatność obywateli. Z punktu widzenia mieszkańców tych obszarów świata to oczywiście dobra wiadomość, wszyscy chcemy, żeby nasze życie prywatne pozostawało prywatne chociaż w części. Co innego Chiny, kraj będący jednym z liderów postępu technologicznego w zakresie AI i pierwszą na świecie cyfrową dyktaturą, wykorzystującą nowe technologie do inwigilacji społeczeństwa na masową skalę.

Prof. Sergei Guriev, rosyjski politolog mieszkający na co dzień we Francji, w niedawno wydanej w Polsce, napisanej wspólnie z Danielem Treismanem książce „Spin dyktatorzy" wieszczy, że już niedługo Chiny prześcigną Zachód pod względem zaawansowania sztucznej inteligencji, właśnie z powodu kooperacji tamtejszych firm technologicznych i komunistycznego rządu. Władze mają dane, ale nie mają technologii. Firmy dysponują technologią, do której ulepszenia potrzebują danych. Wymiana jest oczywiście wymuszona panującym tam niedemokratycznym ustrojem, ale dla rezultatu tego procesu jest to wtórne, bo rewolucja idzie do przodu.

Z zastosowaniem sztucznej inteligencji wiąże się więc również ryzyko. Począwszy od braku danych, poprzez ich właściwe opisanie i legalne uzyskiwanie, na błędach, które popełniają ludzie, a powielają „maszyny", skończywszy. Prof. Charlie Beckett z LSE Polis przestrzegał we wspomnianej debacie Reuters Institute, żeby sztucznej inteligencji nie przeceniać. Skoro ludzie się mylą, a pomyłki te naprawiane są w procesie redakcyjnym, tak samo myli się i mylić będzie model językowy. Chociażby dlatego ludzi z procesu pisania wiadomości nie da się całkowicie wyeliminować.

Schyłkowe dziennikarstwo

Sztuczną inteligencję w dziennikarstwie postrzegać zatem należy raczej jako suplement pracy, a nie jej substytut. Istnieje wiele aplikacji, które pomagają archiwizować, kategoryzować wiadomości, tworzą transkrypcje wywiadów, obserwują trendy w mediach społecznościowych i na tej podstawie wypluwają z siebie monotematyczne raporty. Daleko im jednak do masowego wdrażania, bo po angielsku działają świetnie, ale w innych językach znacznie gorzej. Taki był wynik eksperymentu, który autor tego tekstu przeprowadził z udziałem aplikacji QuillBot, mającej parafrazować, redagować i skracać teksty. Wklejone do okna dialogowego i przepisane przez komputer fragmenty tekstu okazały się niemożliwe do publikacji, bo „maszyna" gubiła sens słów za każdym razem, gdy wynikał on z kontekstu. Innymi słowy, po prostu nim manipulowała. Raczej nie intencjonalnie, aczkolwiek motywacje są drugorzędne, gdy publikuje się nieprawdę. Ponadto większość aplikacji jest wciąż droga, a wersje darmowe – kadłubowe. Varia, narzędzie do agregowania publikacji według słów kluczowych, pozwala na jedynie dwa katalogi tematyczne w wersji darmowej, co dla większości dziennikarzy jest liczbą zbyt małą. A technologia jest zbyt nieprzewidywalna, żeby autorzy zdecydowali się za nią płacić na skalę masową.

Niemiecki koncern Axel Springer już zapowiedział, że będzie zwalniać setki pracowników, żeby optymalizować wydatki.

Podobnych narzędzi jest wiele, ale te powszechnie dostępne są jeszcze słabo rozwinięte. Duże redakcje mają własne, znacznie silniejsze narzędzia, niedostępne dla mniejszych graczy na rynku czy freelancerów. Co pokazuje, że sztuczna inteligencja, owszem, zmieni dziennikarstwo, bo pogłębi nierówności. Dla małych może się okazać zabójcza, wielkim redakcjom pomoże wzmocnić ich przewagę i konkurencyjność. Czy zastąpi dziennikarzy? Raczej nie. Dopóki bowiem realne rzeczy będą się przydarzać realnym ludziom, a inni realni ludzie będą nimi zainteresowani, dziennikarze pozostaną bezpieczni.

Jeśli jednak świat robotów pogłębi naszą samoizolację, osłabi jeszcze bardziej więzi społeczne i sprawi, że stracimy pasję do siebie nawzajem, wtedy koniec z dziennikarzami, dlatego że dziennikarstwo jako koncept będzie już po prostu niepotrzebne.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 569ad48947

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Przekaz ostateczny

Tym razem ukroił im się wyjątkowo gruby plaster salami. Zaśmierdziało reżimem na tyle wyraźnie, że nawet najsprawniejsi propagandyści nie zrobią z tego demokratycznego aromatu. „Lex Tusk" to nawet na standardy pisowskie jest rympał wyjątkowy, to już raczej próba generalna zamachu stanu. Kaczyński postanowił sprawdzić, czy po latach rządów PiS lud zdążył znienawidzić III RP bardziej, niż kochał wolność. O ile w ogóle ją pokochał – dla zbyt wielu oznaczała bowiem raczej osierocenie i wykluczenie niż otwarcie drzwi do krainy powszechnej szczęśliwości. Upadek PRL, czyli państwa zamordystyczno-opiekuńczego, dla milionów okazał się końcem świata, a nie końcem niewoli. Hegemonia PiS wyrosła nie tylko na resentymencie, ale i na biedzie. Człowiek głodny nie może być godny, jak ci kiszki marsza grają, nie będziesz potępiał rozdawnictwa i populizmu, tylko bierzesz kiełbasę i składasz podpis, gdzie każą – byle przetrwać. Pamięć głodu jest długotrwała i przechodzi na kolejne pokolenia, spin doktorzy PiS na tej zasadzie oparli swoją doktrynę i wygrali pierwszą kadencję. Ale kiedy z podarunku uczyni się przywilej, a tak stało się z 500+, trzeba czegoś więcej, np. straszenia, że polityczny przeciwnik przywilej zlikwiduje. Zwłaszcza że kiedy rządził, tak spektakularnej pomocy socjalnej nie było, liberalne salony pożywiały się zwierzętami egzotycznymi, a z samych napiwków, które biesiadujący zostawiali w restauracjach, dałoby się wyżywić pół Polski – na tym przekazie PiS wygrało drugą kadencję.

Zdawałoby się, że wystarczy podnieść zapomogę i wzmóc strach przed powrotem do biedy, aby wygrać i trzecią, ale jakimś cudem żadne sondaże, nawet najbardziej łaskawe dla kaczystów, nie zwiastują większości parlamentarnej po wyborach. Najwyraźniej sejmowy model przaśnego swojaka, który może i głupi, i zajadły, i kradnie, ale póki elity wyją, jest zabawa – stracił na atrakcyjności. Ileż można opowiadać ten sam dowcip.

Generalnie lud jest niewdzięczny, od komfortu zbisurmaniony – trzeba stawać na głowie, żeby się nie znudził serialem po pierwszym sezonie, a po drugim to już tak marudzi i zadziera nosa, że szkoda gadać, tymczasem kiedyś wystarczyli „Matysiakowie" i „W Jezioranach" w radiu przez tysiące odcinków i każdy się pchał, żeby być bliżej jedynego odbiornika w domu. To „kiedyś" to czasy młodości wodza PiS, który wyraźnie chce sobie na stare lata zaordynować inscenizację historyczną i znaleźć „schron czasowy" w demoludowym anturażu – jak w głośnej powieści Georgiego Gospodinowa, który przed kilkoma dniami przyjął za nią Bookera.

Kaczyński uznał, że nie ma sensu dłużej udawać, ani też ryzykować wolnych wyborów, celem jest utrzymanie władzy za wszelką cenę, cena zmiany ustroju zaś wydaje się błahostką wobec innych realnych zagrożeń płynących zza wschodniej granicy. Jeśli wyborów wedle obowiązujących reguł nie da się wygrać, pozostają dwie możliwości: albo trzeba zmienić reguły, albo zlikwidować rywali. Głosy oburzenia na ewentualność „grzebania w ordynacji" tak zdenerwowały Kaczyńskiego, że sięgnął po bardziej bezpośrednią metodę, tu i ówdzie określaną jako bolszewicka. Wszakże kaczyzm to wciąż putinizm z ludzką twarzą – nikt nie częstuje Tuska herbatką z polonem ani nie skazuje go na karcer w łagrze, chodzi „tylko" o to, by nie mógł w Polsce sprawować funkcji publicznych ani kandydować w wyborach.

> Szef partii rządzącej właśnie ogłosił, że albo Polska będzie pisowska, albo wcale jej nie będzie.

Kaczor poczuł w końcu, że biegnie na krótkich nóżkach, więc postanowił, że sam zdecyduje, kto może wziąć udział w wyścigu. Zwycięstwo musi pozostać niezagrożone, bo jak już sam prezes ogłasza wprost, „wygrana opozycji będzie końcem Polski". Nie wiem, czy wszyscy z należytą uwagą wsłuchali się w te słowa. One nie oznaczają bynajmniej, że wyjątkowo tłuste pęto kiełbasy, które w myśl „taktyki salami" właśnie nam odkrojono, jest wszystkim, na co stać ten rząd w ograniczaniu swobód obywatelskich. Szef partii rządzącej właśnie ogłosił, że albo Polska będzie pisowska, albo wcale jej nie będzie. To nie jest przekaz dnia, to jest przekaz ostateczny.

1 czerwca 2023 r.

Przegląd
Dołącz do naszej społeczności
Znajdź PRZEGLĄD na Facebooku, Twitterze, Instagramie, YouTubie i LinkedIn

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 569ad48947

Rzeki pod prądem

Polskie prawo tworzy iluzję ochrony wód przed ściekami z elektrowni

Rozmawia Andrzej Krzemiński

Elektrownie i elektrociepłownie spalające węgiel lub gaz potrzebują ogromnych ilości wody. Te, które mają otwarte systemy chłodzące, pobierają jej kilkadziesiąt razy więcej niż w przypadku obiegów zamkniętych. To wielki, a jednocześnie mało znany problem ekologiczny.

– Krajowi producenci energii elektrycznej i ciepła pobierają z wód śródlądowych średnio ok. 6 mld m sześc. wody rocznie, z czego zdecydowana większość trafia do otwartych systemów chłodzących. Wraz z wodą dostają się do nich wczesne stadia rozwojowe ryb. Badania prowadzone od 2018 r. na zlecenie Towarzystwa na rzecz Ziemi wykazały, że tylko w 2021 r. w nadwiślańskich elektrowniach Połaniec i Kozienice zginęło ok. 164 mln larw ryb i narybku, natomiast w elektrowni Ostrołęka B nad Narwią ok. 19 mln. Wiele należało do gatunków chronionych. Działalność tych elektrowni, do których trafia ponad połowa wody pobieranej przez cały krajowy sektor energetyczny, wpływa negatywnie na co najmniej siedem obszarów objętych ochroną w ramach unijnego programu Natura 2000. Szczególnie zagrożoną ostoją jest Przełom Wisły w Małopolsce.

Poważne konsekwencje dla przyrody ma nie tylko masowe zabijanie ryb, ale i to, że woda zwracana przez elektrownie do rzek jest znacznie cieplejsza od pobranej.

ROBERT WAWRĘTY
– ekspert w zakresie inżynierii środowiska, specjalizujący się w kwestiach związanych ze zrównoważoną gospodarką wodną. Wiceprezes Towarzystwa na rzecz Ziemi.

– Średnio o ok. 10 st. C. Zrzut podgrzanych ścieków sprawia, że jeszcze 40 km w dół Wisły temperatura wody jest podwyższona nawet o 1,9 st., w zależności od natężenia przepływu, tymczasem dla wybranych gatunków niebezpieczny jest jej wzrost już o 1 st.

Tylko w 2021 r. w elektrowniach Połaniec i Kozienice zginęło ok. 164 mln larw ryb i narybku, natomiast w elektrowni Ostrołęka B ok. 19 mln.

Wzrost temperatury zwiększa podatność ryb na substancje toksyczne i sprzyja rozprzestrzenianiu się gatunków obcych, poza tym groźne jest zjawisko szoku termicznego, z którym mieliśmy do czynienia 4 stycznia 2016 r. W Połańcu temperatura wody pobranej z Wisły wynosiła ok. 0 st. C, a zrzuconych wód pochłodniczych – prawie 35 st.; podobne wartości występowały w okolicy elektrowni Kozienice. Temperatura ścieków była tak wysoka, bo do chłodzenia skraplaczy pary powtórnie użyto już wcześniej podgrzanej wody chłodniczej. Jej zrzut doprowadził do śmierci co najmniej 12 ton ryb.

Czy woda zwracana przez elektrownię do rzeki różni się od pobranej tylko temperaturą?

– Do uzdatniania wód chłodniczych oraz usuwania z instalacji osadów biologicznych, czyli rozwijających się tam glonów i bakterii, elektrownie wykorzystują różnego rodzaju związki chemiczne, w tym zabójcze biocydy. Substancje te są stosowane głównie w zamkniętych systemach chłodzenia, jednak zdarza się używanie ich w obiegach otwartych. Trafiają one ostatecznie do rzeki i mogą stanowić istotne zagrożenie dla organizmów wodnych. Przykładowo budowana elektrownia gazowa w Grudziądzu planuje zużywać

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 569ad48947

w ciągu godziny pracy 25 kg podchlorynu sodu. Łatwo więc policzyć, z jakim ładunkiem biocydów możemy mieć do czynienia w skali roku.

Niektóre koncerny energetyczne podkreślają, że ograniczają i kompensują wpływ otwartych układów chłodzenia na ekosystemy wodne.

– Przykładem jest Energa, należąca do PKN Orlen. W kontekście negatywnych skutków funkcjonowania elektrowni Ostrołęka B operator ten swego czasu komunikował, że wspomaga zarybianie Narwi. Problem w tym, że trudno jego działania uznać za właściwe. W prowadzonych zarybieniach wykorzystywano gatunki hodowlane, co w wielu cywilizowanych państwach uważa się za szkodliwe w odniesieniu do rzek, a jednocześnie nie uwzględniano takich cennych ryb jak kozy czy kiełbie.

Aby faktycznie zredukować wpływ elektrowni na przyrodę, na początek wystarczyłoby zmniejszyć produkcję energii w okresie od połowy kwietnia do końca lipca, kiedy następuje dryf larw i młodego narybku. Spowodowałoby to spadek poboru wody, a więc także ilości zasysanych i zabijanych organizmów. Co istotne, takie działanie nie wymagałoby żadnych nakładów inwestycyjnych.

Przepisy nie regulują wszystkich tych zagadnień?

– Polskie prawo nie sprzyja ochronie ekosystemów wodnych przed negatywnym oddziaływaniem elektrowni i elektrociepłowni, zwłaszcza w zakresie ich wpływu na tzw. reżim termiczny rzek. Tworzy iluzję ochrony wód, ponieważ z jednej strony wprowadza górny limit temperatury odprowadzanych wód pochłodniczych na poziomie 35 st. C, a z drugiej pozwala na jego nieprzestrzeganie, jeśli wymaga tego sytuacja energetyczna. Równocześnie przepisy kompletnie pomijają kwestię dostosowania wielkości zrzutów podgrzanych ścieków do aktualnych przepływów wody w rzekach, a także aspekt dopuszczalnej różnicy temperatury pomiędzy wodą płynącą a wodą pochłodniczą. W tym ostatnim przypadku należałoby wprowadzić limit 10 st. C, to pozwoliłoby uniknąć takiej sytuacji, jaka miała miejsce w 2016 r.

Odpowiednio wysokie opłaty za odprowadzanie wód pochłodniczych mogłyby wymusić na firmach energetycznych stosowanie obiegów zamkniętych.

– Obowiązujące przepisy wręcz zachęcają do traktowania rzek jak odbiorników ścieków. Zwalniają one elektrownie z ponoszenia jakichkolwiek opłat, jeśli temperatura wód pochłodniczych nie przekracza 26 st. C albo gdy różnica między temperaturą wód pobranych i wprowadzanych do rzek jest mniejsza niż 11 st. Co więcej, oświadczenia operatorów na temat odprowadzanych wód nie są w żaden sposób weryfikowane, a to prowadzi do wypaczenia całego systemu opłat. W efekcie zdecydowana większość elektrowni i elektrociepłowni nie płaci nic lub ponosi symboliczne opłaty, czasem na poziomie kilkunastu groszy na rok.

Instytucje publiczne nie interesują się wpływem wód pochłodniczych na środowisko?

– W Polsce nie prowadzi się nie tylko monitoringu skutków odprowadzania tej kategorii ścieków, ale nawet dobowego monitoringu zmian temperatury wód powierzchniowych, istotnego w kontekście postępujących zmian klimatu. Co więcej, stopniowo znikają kolejne punkty pomiarowe temperatury wody. W przypadku Odry dopiero niedawno rozpoczęto badania temperatury w ramach pilotażowego całodobowego monitoringu. Równocześnie większość elektrowni nie monitoruje temperatury wód pobieranych na potrzeby chłodzenia i odprowadzanych z powrotem do wód śródlądowych. Na 12 działających w kraju elektrowni i elektrociepłowni z otwartym systemem chłodzenia takie pomiary w trybie ciągłym wykonują trzy zakłady, co jest konsekwencją braku przepisów jednoznacznie nakładających taki obowiązek. Stosowne zapisy powinny być uwzględniane przy okazji aktualizacji lub wydawania nowych pozwoleń administracyjnych na eksploatację instalacji energetycznych, takich jak pozwolenie wodnoprawne czy pozwolenie zintegrowane.

Zastanawiam się, czy w regulacjach unijnych lub rozstrzygnięciach europejskich sądów można upatrywać ratunku dla polskich rzek w kwestiach, o których rozmawiamy.

– Niestety, Ramowa Dyrektywa Wodna nie reguluje ich wprost i w konsekwencji państwa członkowskie podejmują działania indywidualnie. Skutki takiego podejścia, oderwanego od nauki, mogliśmy obserwować w ubiegłym roku nad Odrą. Reasumując, nie liczyłbym na wsparcie ze strony przepisów unijnych – konieczny jest zdrowy rozsądek decydentów i ich doradców.

Wiemy już, że sytuacja jest niewesoła. Jakie zmiany w prawie i praktyce funkcjonowania instytucji są kluczowe dla jej poprawy?

– Należy przywrócić obowiązek prowadzenia pomiarów temperatury wód powierzchniowych na wszystkich posterunkach wodowskazowych IMGW. Absolutnym minimum jest objęcie nim rzek, nad którymi zlokalizowane są elektrownie i elektrociepłownie. Równolegle konieczne jest nałożenie na wszystkich operatorów elektrowni obowiązku badania temperatury wód w miejscu ich poboru oraz poniżej miejsca zrzutu ścieków termicznych. Należy ponadto egzekwować zasadę „zanieczyszczający

Do uzdatniania wód chłodniczych i usuwania z instalacji osadów biologicznych elektrownie wykorzystują związki chemiczne, w tym zabójcze biocydy.

Obowiązujące przepisy wręcz zachęcają firmy energetyczne do traktowania rzek jak odbiorników ścieków.

eprasa.pl 569ad48947

płaci", w związku z tym trzeba zlikwidować zwolnienia z opłat za pobór wód do celów chłodniczych i za zrzut wód pochłodniczych. Nie ulega wreszcie wątpliwości, że konieczne jest jak najszybsze wygaszenie bloków energetycznych wyposażonych w otwarte systemy chłodzenia, a także wprowadzenie zakazu ich stosowania w planowanych elektrowniach i elektrociepłowniach.

Istniejące konwencjonalne źródła energii, ze względu na ich wpływ na klimat, będą sukcesywnie wycofywane z eksploatacji. To chyba dobra wiadomość dla polskich rzek?

– Zacznijmy od tego, że przyjęte założenia transformacji energetycznej naszego kraju, jak również Unii Europejskiej, są błędne. Co prawda, kładzie się coraz większy nacisk na wykorzystanie źródeł odnawialnych, jednak koncerny energetyczne w dalszym ciągu mają odgrywać kluczową rolę w produkcji i dystrybucji energii. To one będą czerpać większość korzyści finansowych z transformacji i nadal będą dyktować ceny energii oraz rodzaje jej źródeł.

W tym momencie w Polsce proponuje się jak najdłuższe utrzymanie pracy bloków węglowych i stopniowe zastępowanie ich elektrowniami gazowymi oraz atomem. Źródła odnawialne stanowią wyłącznie niechciany dodatek. Tymczasem potrzebujemy zupełnie nowego modelu energetycznego – elektroprosumenckiego. Byłby on niezależny od paliw kopalnych i jądrowych, a więc odporny na szoki cenowe i wojny oraz przyjazny dla klimatu i ekosystemów wodnych.

W największym skrócie: mowa o zdecentralizowanym systemie, w którym odbiorcy energii są jednocześnie jej producentami, posiadającymi magazyny energii i połączonymi inteligentną siecią, czyli tzw. elektroprosumentami (z połączenia słów producent i konsument – przyp. red).

– Mówimy o czymś więcej, czyli pozakorporacyjnym, zbudowanym oddolnie, opartym na odnawialnych źródłach energii i efektywności energetycznej systemie, wykorzystującym już działające sieci i wspomaganym systemem informatycznym oraz inteligentnymi licznikami. Taki model wymaga nie tylko zastąpienia elektrowni konwencjonalnych źródłami odnawialnymi, ale również zagwarantowania elektroprosumentom dostępu do sieci energetycznej oraz systemów zarządzania energią, które pozwolą im na uczestnictwo w rynku energii. Decydenci jednak, zamiast dążyć do jego urzeczywistnienia, umacniają korporacyjny model produkcji i dystrybucji energii, forsując przy tym tradycyjne rozwiązania, oparte na wodochłonnych technologiach wykorzystujących paliwa kopalne i jądrowe.

Potrzebujemy zupełnie nowego modelu energetycznego – niezależnego od paliw kopalnych i jądrowych, a więc odpornego na szoki cenowe i wojny.

Elektrownie gazowe lub jądrowe nie byłyby dla ekosystemów wodnych mniejszym złem?

– Z tego punktu widzenia istotny jest nie rodzaj używanego paliwa, ale ilość pobieranej wody, która największa jest w przypadku stosowania otwartych systemów chłodzenia skraplaczy i w Polsce niejednokrotnie osiąga ponad 300 m sześc./MWh. W przypadku planowanej elektrowni jądrowej w gminie Choczewo roczne zapotrzebowanie na wodę ma być zbliżone do obecnego poboru wód na potrzeby całego polskiego sektora energetycznego, przy czym tu woda ma pochodzić z Bałtyku i być do niego zwracana. Przykłady już działających elektrowni jądrowych wskazują, że skala zniszczeń w ekosystemie morskim może być znacząca, zagadnienie to wymaga więc dogłębnych badań.

Otwarty obieg chłodzący wykorzystywać będą również gazowa elektrownia Dolna Odra i planowane gazowe jednostki w elektrociepłowni Siekierki oraz elektrowni Kozienice. Do tego dochodzą obiekty niedawno oddane do użytku, takie jak gazowe elektrociepłownie Stalowa Wola i Żerań. Oczywiście są też przykłady nowych zakładów z zamkniętymi systemami chłodzenia – budowane elektrownie Grudziądz i Ostrołęka C czy planowana elektrownia Adamów. Ich wpływ na ekosystemy rzeczne będzie mniejszy, jednak biorąc pod uwagę długofalowe skutki dla klimatu, decyzja o ich realizacji jest dla Polski fatalną informacją.

Andrzej Krzemiński

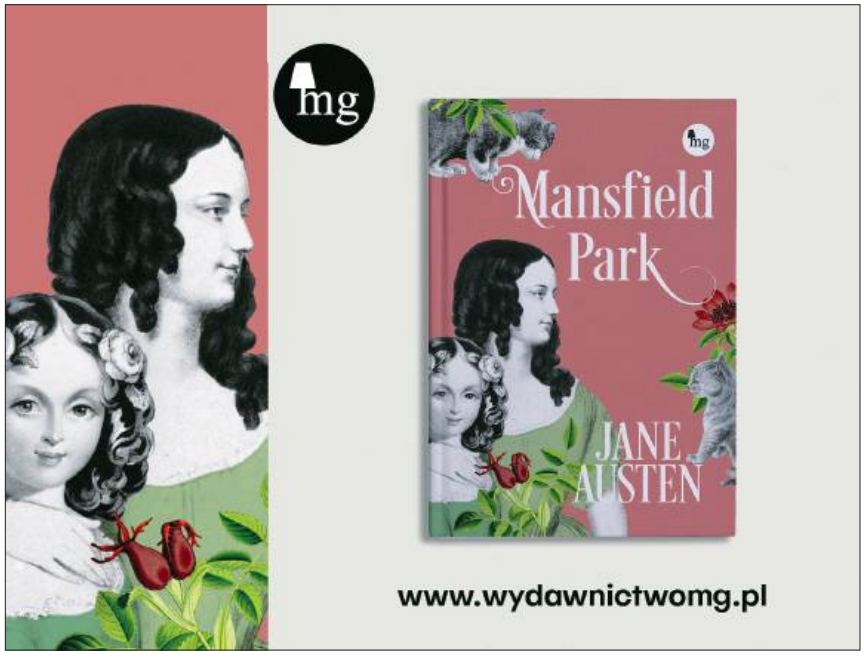

eprasa.pl 569ad48947

Równo rozmieszczone krzaczki dają poczucie, że nad tym niepewnym światem da się jakoś zapanować. Winnica Hople.

Opolska Toskania

Wino z Opolszczyzny smakuje okolicą, odwagą i oddaniem swoich twórców

Beata Dżon-Ozimek

Chciałam znajomemu podarować czerwone, wytrawne wino, ale miało być polskie. Doradzono mi nieznaną markę, okazało się, że to dobry rocznik z jednej z opolskich winnic. I to był impuls, by przyjrzeć się Opolskiemu Szlakowi Winnic, który zrzesza 13 regionalnych winnic, a jest ich tutaj jeszcze więcej i powstają nowe.

A przecież Opole i region nie mają szczęścia do dobrych skojarzeń. Wiązane są albo z bardzo słabym w ostatnich latach i upolitycznionym festiwalem polskiej piosenki, albo z desantem zawstydzających polityków, takich jak Patryk Jaki, Janusz Kowalski czy Marcin Ociepa. Inni, wjeżdżając tutaj i widząc obok polskich niemieckie nazwy miejscowości, nagle przestają ten opolski świat rozumieć. Ale in vino veritas.

Ziemia i tradycje upraw sięgające nawet XIII w. wraz z ociepleniem klimatu ruszyły regionowi na pomoc. Oto rozrasta się tu zróżnicowany i ciekawy rynek winiarski. A także enoturystyka, enofestiwale, enopikniki, czyli formy spotkań i spędzania czasu związane, co wskazuje cząstka eno-, z winem i winiarstwem. Na Opolszczyźnie to nie tylko sposób na życie i – z czasem – na biznes. Dla części właścicieli winnic to również głęboka zmiana filozofii życiowej albo tejże filozofii emanacja.

Winiarnia moja malutka

Jadę wolno przez gęsto zabudowane Burgrabice, niedaleko Głuchołaz i Nysy, bliziutko Czech, szukam Winnicy Złota Góra. Założył ją doktor nauk o ziemi Wojciech Rogala, geograf, ekolog, przedsiębiorca. – Pochodzę z Opola, tu mieszkam, pracuję, prowadzę firmę i różne inne aktywności. Z Burgrabicami jestem związany od 2009 r., pomału się oswajam, wrastam i zaczynam się identyfikować. Winnica to aktywność hobbystyczna, coś, co robię bardziej dla przyjemności niż czegokolwiek innego. Tu jest 20 arów, średnia wielkość winnicy w Polsce to dziś około hektara. Teraz są winnice kilkunasto-, kilkudziesięciohektarowe, traktowane jako biznes albo potencjalny biznes. Powiem szczerze, że nie do końca podoba mi się, w którą stronę skręca winiarstwo w Polsce.

eprasa.pl 569ad48947

Dla mnie to jest element pewnej kultury i stylu życia, więc moja winiarnia malutka to odpoczynek, pewna filozofia, z takim przekonaniem to miejsce tworzę – mówi dr Rogala.

Z lotu ptaka widać, jak ta winnica jest ładnie położona. – Myślę o niej „winnica krajobrazowa". Pogórze Sudeckie, przełom rzeki Mory, obszar Natura 2000 nieuprawiany intensywnie rolniczo, chemicznie, a winne krzewy mają to do siebie, że są poukładane w szpalery i grzędy i mają pewną magię. Każdy potrzebuje jakiegoś porządku w życiu, jak się usiądzie na górze tej winnicy na ławeczce, którą kiedyś zamontowałem, i widzi się Biskupią Kopę i różne górki, i te rzędy winorośli w dół, to ma się poczucie harmonii, a w dzisiejszych czasach osoby, które mnie odwiedzają, i ja sam poszukujemy jej – przyznaje właściciel. Zastanawia się, dlaczego to miejsce mu się podoba. – Te krzaki równo rozmieszczone dają poczucie, że nad tym trochę niepewnym i dynamicznym światem da się jakoś zapanować albo przynajmniej nie jest on taki zupełnie pozbawiony porządku. Moja filozofia winnicy i winiarstwa to nie produkcja jak największej ilości wina, jak najlepszego wina, tylko spędzanie czasu w odpowiednich warunkach, miejscu i delektowanie się tym, co daje przyroda. Okolica obfituje w różne ssaki, płazy i gady, więc tego wszystkiego można doświadczyć, jeżeli człowiek pozwoli sobie na to, żeby to zobaczyć – wyjaśnia pan Wojciech.

Warsztaty zbioru winogron i wyciskania soku dla szkoły podstawowej w Winnicy Estro.

Opolski Szlak Winnic zrzesza 13 winnic, a jest ich w regionie jeszcze więcej i powstają nowe.

Zgadzamy się, że coraz więcej ludzi ceni sobie jakość życia, której własna winnica także bywa wyrazem. – To, o czym mówię, to jest po prostu pełnia życia – kończy Rogala.

Pijemy coraz więcej wina

– Winnica Opole, Winnica Parypa, Winnica Jania, Pałacowa Winnica Godyla, Dom Charbielin – największa w regionie i druga co do wielkości w Polsce (28 ha), Winnica Estro, Winnica Hople, Winnica Rodzinna Cwielong-Olszewski, Winnica Dolna, Winnica Czerwona Górka, Winnica Złota Góra, Winnica Synapsa, Weingarten Viadrus. Znajdziemy tu aromatyczne i nietuzinkowe wina ze szlachetnych winorośli – wylicza Katarzyna Święs-Kubara z Fundacji na rzecz Partnerstwa Events Partner z Opola, zajmującej się enoturystyką i promocją winiarstwa w regionie. Niedługo dołączą Winnica Masów Ryszarda Pitucha oraz Winnica na Wapieniach i Lawendowa Winnica.

– Ogólny areał razem z Domem Charbielin to ok. 60 ha, ale dane na bieżąco się zmieniają, winiarze kupują coraz to nowe powierzchnie uprawne – Katarzyna Święs-Kubara wyjaśnia, że rynek wina gronowego w Polsce rośnie regularnie od lat, obecna dynamika przyrostu rok do roku, 8-9%, powoduje, że statystyczne spożycie wina Polaka to ok. 5-6 litrów rocznie. – Nasi południowi sąsiedzi, Czesi i Słowacy, spożywają dwukrotnie więcej wina gronowego. W Niemczech spożycie tego trunku przekracza 20 litrów, a we Włoszech czy Francji konsumpcja dochodzi nawet do 40 litrów rocznie.

Jeśli chcemy zajrzeć do winnicy w samym mieście, mamy miejską rodzinną Winnicę Opole, jednak w odległości 40-70 km od stolicy regionu są do wyboru winnice w różnych jego częściach, od Gór Opawskich po Byczynę.

Hopla? Nie, Hople!

Spacer od rynku Paczkowa trwa ze trzy minuty, po przejściu przez wygięty jak łuk kamienny mostek dociera się do pałacyku i folwarku starej posiadłości ziemskiej z 5 ha winnicy. U stóp wzgórza porośniętego krzewami winorośli, obok stawu, w przeszło 200-letnim budynku byłej obory odbywa się produkcja, degustacja i sprzedaż wina. Obok, w zabytkowej stodole z XVIII w., właściciele winnicy otworzyli Metamuzeum o roboczej nazwie „Zrozumieć samochód", a ja dodałabym: „Podziwiać samochód", takie bowiem auta tam stoją, że nie trzeba wina, by mieć lekki zawrót głowy.

– Pani do winnej czy niewinnej? – słyszę po wejściu na wielki plac u stóp wzgórza z winnicą Poraj w Paczkowie. – No, do winnej części posiadłości.

Co za toskańskie, błękitne, niemal bezchmurne niebo. Widać Rychleby,

eprasa.pl 569ad48947

czyli Góry Złote, słynną Borówkową Górę na granicy polsko-czeskiej, dawniej czechosłowackiej. Tam w sierpniu 1987 r. odbyło się konspiracyjne spotkanie działaczy opozycji polskiej i czeskiej. Byli m.in. Zbigniew Bujak, Zbigniew Janas, Jacek Kuroń, Jan Lityński, Józef Pinior, Mieczysław Piotrowski „Ducin" i Danuta Winiarska oraz Jiří Dienstbier (późniejszy minister spraw zagranicznych Czechosłowacji), Ladislav Lis, Jan Šabata czy Hanka Šabatová. W podobnych spotkaniach brał udział późniejszy prezydent Czech Václav Havel. – Czesi wchodzili z jednej strony, a Polacy z drugiej. Widać stąd najwyższy tutejszy szczyt, Pradziada, i wieżę, to 40 km – opowiada Ryszard Syc.

– Nie przyszłoby mi do głowy, że kiedyś tu będzie winnica, można będzie pływać w stawku, a obok, w budynku, gdzie bawiłem się w strzelanego czy w chowanego, będą stały modele Ferrari. I jeszcze, że będę tu wino robić i wysyłać je np. do Wielkiej Brytanii, Francji… – uśmiecha się Syc, twórca win Hople i zarządca części winnej, w odróżnieniu od niewinnej z kolekcją samochodów i stanowiskami edukacyjnymi.

Hople to nazwa wzgórza w Paczkowie, na którym jest winnica. – Odkąd pamiętam, mieszkańcy nazywali Hople tę górkę do jeżdżenia na sankach, nartach. To nie od tego, że ktoś ma hopla – śmieje się już teraz Syc. – Winnica nazywa się Poraj, od herbu rodziny Biernackich.

Wódkę zamienić na wino

O pełnoletniej już winnicy w Paczkowie mówi się, że ma chyba najwięcej odmian winorośli w Polsce, co przekłada się na duży wachlarz smaków i aromatów, ale win wyłącznie wytrawnych, wytwarzanych naturalną metodą, po pełnej fermentacji. Ponad głowami, w dawnej, solidnej oborze mamy salę koncertową na 350 osób, jednocześnie suszarnię winogron, nawet na 8 ton, jeśli trzeba. Dyskretnie nimi pachnie. Ostatnio występowała tam jazzwoman Grażyna Auguścik. Koncerty są darmowe. Wina nazywają się od modeli aut: Cayenne, Shamal, Stratos, Quattro, Giulia, Giulietta, Carrera. To druga pasja właściciela.

Ciekawi mnie, czy winiarze konkurują ze sobą, bo że wiedzą, co się u kogo dzieje, ile jeszcze ziemi kto dokupił, jaki był rocznik, to jasne. – Raczej staramy się współpracować, bo konkurencją są dla nas inne trunki, w Polsce szczególnie chcemy zamienić wódkę na wino. Prawdziwy mężczyzna u nas pije wódkę, a nie wino, pije, aż nie ustoi na nogach – mówią mi anonimowo. Uważa się, że wraz z litrami wypitego wina smak idzie w kierunku wytrawności. W Polsce to długa droga, winiarze uznają, że 10% Polaków pije wina wytrawne, 90% różne inne, odwrotnie niż np. we Francji. Jak wytrawne komuś nie smakuje, to trzeba je pić dla zdrowia, taka rada winiarzy.

Uprawa winorośli to nie tylko sposób na życie i pomysł na biznes, ale dla części właścicieli winnic także zmiana filozofii życiowej.

Owocny wycisk

Cierpliwość jest kluczem dla jednych winiarzy, dla drugich – mądre doradztwo albo przywództwo. – Początkujący winiarz może czerpać z doświadczeń poprzedników. Czy może być zatem lepsza nazwa dla winnicy niż Estro – słowo, które w esperanto oznacza wodza? – pytają założyciele rodzinnej winnicy z Ujazdu, Magdalena i Krystian Tomaka. Odpowiedź jest dla nich jasna – Estro to jest ta nazwa. Wino to nagrody, ostatnio w Czechach złoto i trzy brązy za wina, podobnie Winnica Opole, ale podpatrują Morawiaków w tym, co można dobrego robić dla społeczności; uważają, że „czym skórka winogrona za młodu nasiąknie, tym rodzynek na starość trąci". Przeprowadzili prawdopodobnie pierwsze w Polsce warsztaty zbioru winogron i wyciskania soku dla szkoły podstawowej. Kiedy indziej sprzedawali mieszanki swoich winogron deserowych jako cegiełki, wspierając wspólną inicjatywę stworzenia strefy relaksu dla uczniów Szkoły Podstawowej nr 19 w Kędzierzynie Koźlu. – Przy okazji, parafrazując cytat z „Misia", tymi winogronami otworzyliśmy oczy niedowiarkom, że winogrona deserowe są nie tylko jasne i ciemne, jakie można zakupić w supermarketach – uśmiecha się Krystian Tomaka. Bo winnica to nie tylko wina, to rozwój, badania, poszukiwania nowych dróg. „Winnica Estro podjęła wspólnie z naukowcami z Grupy Badawczej Analityka z Łukasiewicz – ICSO »Blachownia« badania możliwości pozyskania substancji aktywnych z odpadów pofermentacyjnych różnych odmian winogron". I są obiecujące wyniki – ekstrakty na bazie odpadowych wytłoków z winogron zawierają cenne związki kosmetyczne, a wytworzone na ich bazie prototypowe produkty stanowią bezpieczne kosmetyki naturalne. Tomaka pisze w mediach społecznościowych: „Wielkie podziękowania i ukłony za »owocny wycisk«".

•

Wybór opisanych tutaj winnic jest przypadkowy; miały być bardzo odmienne, to był mój zamysł. Wiele z nich otrzymuje nieustannie nagrody za swoje wina, a ja próbuję mojego pierwszego wina z Opolszczyzny. Białe, wytrawne, o pięknej barwie, wymagającym (dla mnie) smaku, stawiającym mi wyzwania. Butelka szwajcarska, korek portugalski, beczka akacjowa.

Mam w promieniu 10-50 km trzy winnice, nieco dalej kilkanaście kolejnych, mam też Morawy z winem morawskim. Dziś już nie uśmiecham się krzywo, kiedy słyszę: „opolska Toskania". Spoglądam na niebo, jest przepięknej barwy, zieleń jest pełna, wzgórza łagodne, winnice czasem ukryte, czasem bezkresne, bywa, że nad wodą. Jedne patrzą na Pradziada, drugie na Biskupią Kopę, przy jednych skrzydła wiatraków wytwarzają prąd, drugie widzą dawne pałace biskupie czy kościoły. Pokochajmy to wino. Smakuje okolicą, odwagą i oddaniem swoich twórców, tych wodzów winnicznych. Pełnych spokoju, równowagi i humoru.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

FOT. WINNICA HOPLE, WINNICA ESTRO

eprasa.pl 569ad48947

Łukasz Skop

Hortensja na fali

Te kwiaty nigdy nie pozwolą przejść obok siebie obojętnie

Nigdy nie mogę się nadziwić, ile magicznych sztuczek potrafią rośliny. Oczary czarują zapachem w środku zimy, dziwaczki świecą w ultrafiolecie, a aksamitki zmieniają kolor płatków. Płowiejące od słońca kwiaty to ciekawy obiekt do obserwacji, ale są też i takie rośliny, które jeszcze bardziej spektakularnie potrafią zmienić barwę kwiatów – to hortensje.

One nigdy nie pozwolą przejść obok siebie obojętnie. Ich olbrzymie, masywne kule są najbardziej romantycznymi ze wszystkich lipcowych akcentów. Hortensja ogrodowa (*Hydrangea macrophylla*) potrafi przypudrować ogród słodkim różem lub delikatnym indygo albo ożywić go śmiałym karminem lub mocnym fioletem. To, na jaką barwę się zdecyduje, zależy od ziemi. Grunt to odpowiedni grunt.

Hortensja ogrodowa potrafi zmienić zabarwienie swoich kwiatów w zależności od odczynu podłoża, w którym rośnie. Kiedy ziemia jest zasadowa, wybarwia się na różowo, a na glebach kwaśnych zakwita na niebiesko. Za różową barwę kwiatów hortensji odpowiadają barwniki antocyjanowe. Mają one zdolność łączenia się z glinem, a współpraca z tym pierwiastkiem skutkuje niebieskim zabarwieniem płatków. Związki glinu są jednak najlepiej rozpuszczalne w kwaśnym środowisku, zatem tam, gdzie ziemia jest kwaśna – o pH poniżej 5,5 – i zasobna w glin, hortensje zakwitną na niebiesko. Te rosnące w podłożu zasadowym pozostaną różowe. Kolor kwiatów hortensji można zmienić – chociaż nie zawsze.

Jeśli posadzisz różowe hortensje w kwaśnej ziemi i od wczesnej wiosny będziesz je podlewać odżywką z dodatkiem siarczanu glinu lub ałunu, to na własne oczy zobaczysz tę kolorową transformację. Największe i najbardziej zdumiewające spektrum barw zaprezentują hortensje rosnące w podłożu o odczynie zbliżonym do obojętnego lub w mieszance ziemi o różnym pH: wtedy nawet na jednym krzewie kwiaty mogą być częściowo różowe i częściowo niebieskie, a zazwyczaj prezentują romantyczny barwny melanż. I tylko białe hortensje ogrodowe patrzą na te kaprysy zdegustowanym wzrokiem: same pewnie też by tak chciały, ale bez kolorowych barwników zmieniających odcień mogą tylko westchnąć. Na zawsze pozostaną białe.

Hortensja bukietowa (*Hydrangea paniculata*) też częściowo potrafi zmienić barwę kwiatów. Świeże, jeszcze ukryte w pąkach kwiaty mają zielonkawe zabarwienie. Rozwijając się, bieleją i albo utrzymują ten kolor do samego końca, albo dostają wyraźnych różowych rumieńców pod koniec kwitnienia – zależnie od odmiany. Na tę zmianę nie da się jednak wpłynąć. Różowawe hortensje bukietowe nigdy nie staną się niebieskie. Zmiana kolorów może u hortensji wystąpić w ciągu jednego roku. Ale hortensje różnią się od siebie nie tylko barwą kwiatów. Mają też różne kwiatostany. Część z nich, i dotyczy to zarówno hortensji ogrodowych, jak i bukietowych, ale też hortensji dębolistnej (*Hydrangea quercifolia*) czy hortensji pnącej (*Hydrangea petiolaris*), ma kwiatostany zbudowane z kwiatów płodnych i płonnych. Kwiaty płodne są niepozorne i wypełniają środkową część kwiatostanów. Kwiaty płonne (sterylne) rozmieszczone są na krawędziach i pełnią tylko funkcję powabni: zwracają uwagę owadów zapylających i zapraszają je w odwiedziny. Wyhodowano wiele odmian hortensji o tego rodzaju kwiatostanach, ale są też hortensje, których kwiatostany są ściśle wypełnione kwiatami płonnymi. Takie rośliny nie mogą wytworzyć nasion, a dla owadów są zupełnie bezużyteczne. Mają jednak niezaprzeczalną wartość ozdobną, szczególnie w przypadku hortensji bukietowych: już jeden kwiatostan wygląda jak cały bukiet kwiatów.

U hortensji ogrodowych podział kwiatostanów zabrnął jeszcze dalej: otrzymały one swoje charakterystyczne nazwy w języku angielskim, które zabawnie je opisują. I tak hortensje ogrodowe o płodnych kwiatach w środku i płonnych na zewnątrz kwiatostanów nazywają się *lacecaps* – przypominają coś w rodzaju dawnego kobiecego nakrycia

eprasa.pl 569ad48947

głowy, czepca, w którym koronkowy środek otoczony jest falbankami. Nasz polski odpowiednik nie jest już tak fantazyjny – nazywamy je hortensjami o płaskich lub talerzykowatych kwiatostanach. Hortensje mające tylko kwiaty sterylne tworzą kuliste kwiatostany – kwiatów jest tak dużo, że nie zmieściłyby się ułożone płasko obok siebie. Kwiatostan ulega więc zniekształceniu i przybiera kształt kuli, a po angielsku czupryny – *mopheads*.

Wszystkie hortensje, niezależnie od barwy czy kształtu kwiatostanów, warto docenić za jeszcze jedną umiejętność. Po przekwitnięciu ich kwiaty długo pozostają dekoracyjne i nie opadają, lecz utrzymują się na gałązkach. Nawet zima nie jest w stanie wyprawić im oczepin.

Zejdź na ziemię

Hortensje ogrodowe i bukietowe są na fali. Te pierwsze coraz częściej występują także w roli roślin doniczkowych, a te drugie zdominowały projekty współczesnych przydomowych ogrodów. Te dwa gatunki skorzystają na corocznym przycinaniu, jednak mają pod tym względem kompletnie inne wymagania – jeśli je pomylisz, możesz pozbawić rośliny kwiatów.

Hortensje ogrodowe kwitną latem na pędach z poprzedniego roku. Nie wolno ich przycinać wiosną! Jeśli to zrobisz, kwiatów będzie mniej albo nawet nie rozwiną się wcale – roślina poświęci siły na regenerację, wytwarzając dużo zielonej masy. Te hortensje możesz uporządkować na początku maja, usuwając tylko całkiem suche i połamane pędy oraz zaschnięte końcówki pędów powyżej ostatniej pary żywych pąków. Nie spiesz się z przycinaniem. Ostatnie majowe przymrozki potrafią uszkodzić młode, wrażliwe przyrosty, więc najlepiej chwyć sekator, kiedy prognozy pogody nie przewidują już spadku temperatury poniżej 0°C.

Hortensje bukietowe kwitną latem na pędach tegorocznych. Możesz je silnie przyciąć wiosną, skracając każdy zeszłoroczny pęd do dwóch lub trzech par pąków widocznych u jego nasady. To z nich rozwiną się długie, proste pędy zakończone olbrzymimi stożkowatymi kwiatostanami. Po wiosennym cięciu z okazałego krzewu powinien zostać mały „jeżyk" i to jest w porządku. Jeśli nie będziesz przycinać hortensji bukietowych każdego roku, rozwiną się w okazałe krzewy o mniejszych, ale bardziej licznych kwiatostanach, które – szczególnie u odmian silnie rosnących – będą wytwarzane wysoko ponad naszymi głowami. Taki bezobsługowy sposób prowadzenia hortensji bukietowych również ma swoich zwolenników, chociaż myślę, że wykonanie kilku cięć raz do roku to nieduża cena w stosunku do wspaniałego efektu, jaki można osiągnąć. Przy okazji skracania pędów wytnij też te najcieńsze i słabe, o średnicy mniejszej od ołówka. Najlepszy termin cięcia hortensji bukietowych wyznacza pogoda. Najlepiej wykonać je przed ruszeniem soków, ale niezbyt wcześnie, żeby nie narażać przyciętych roślin na silny mróz – pamiętaj, że każda rana osłabia odporność na niską temperaturę.

Razem raźniej

Hortensje wytwarzają tak wielkie i masywne kwiatostany, że jedyne, co warto z nimi zrobić, to spróbować je czymś zrównoważyć. Możesz to osiągnąć na różne sposoby. Wybierz gatunki, które nie słyną ze spektakularnych kwiatów, lecz mają ozdobne liście, tak jak funkie albo paprocie. Liście funkii będą w takim połączeniu bardziej okazałe, więc przy nich nawet ciężkie kwiatostany hortensji wydadzą się delikatne. Koronkowe liście paproci zadziałają odwrotnie – stworzą hortensjom miękkie tło. Podobny efekt przyniesie zestawienie hortensji z gatunkami o lekkich kwiatostanach z drobnymi i rozproszonymi kwiatami – np. parzydłem leśnym (*Aruncus dioicus*) na bardziej zacienionych stanowiskach lub gaurą Linheimera (*Oenothera lindheimeri*) w miejscach bardziej nasłonecznionych. (…)

Mów łaciną

Nazwę rodzajową *Hydrangea* w 1739 r. nadał hortensjom holenderski botanik Jan Frederik Gronovius (1686–1762), łącząc greckie słowa *hydro* – „woda" oraz *angeion* – „naczynie, dzban". Dojrzałe torebki nasienne hortensji przypominają kształtem małe dzbanki – ale naprawdę maleńkie, zaledwie kilkumilimetrowe. Można je zaobserwować tylko u tych hortensji, u których na kwiatostanach występują kwiaty płodne. Inne wytłumaczenie pochodzenia nazwy jest bardzo proste: hortensje są roślinami, które kochają dostęp do wody i nie można zaniedbać ich regularnego nawadniania. Łacińska nazwa gatunkowa hortensji ogrodowej – *macrophylla* – oznacza „wielkolistna", natomiast *paniculata* w nazwie hortensji bukietowej pochodzi od łacińskiego *panícula* – „wiecha". Hortensje bukietowe nazywa się także wiechowatymi.

Nazwę „hortensja", od imienia Hortensja, nadał kwiatom w 1771 r. francuski przyrodnik Philibert Commerson (1727–1773), prawdopodobnie na cześć drogiej mu kobiety. Jako źródło inspiracji wymienia się Hortense Barré – jego kochankę towarzyszącą mu w podróży dookoła świata (jej prawdziwe imię to Jeanne Baret) – lub Hortense de Nassau, siostrę księcia Karola Henryka Mikołaja Otto de Nassau-Siegena, z którym uczestniczył on w botanicznej ekspedycji.

Hortensja ogrodowa potrafi zmienić zabarwienie kwiatów w zależności od odczynu podłoża, w którym rośnie.

Fragmenty książki Łukasza Skopa *Kwiaty bez ogródek. Jak dbać o rośliny przez cały rok*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2023

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 569ad48947

Wojciech Madziar, Naprawa maszyn do szycia i dziewiarskich, ul. Targowa 67 lok. 10A.

Dariusz Stopczyński, Usługi szklarskie i oprawa obrazów i luster, ul. Stalowa 12

MIEĆ FACH

w ręku

Jerzy Rosiak, Zegarmistrzostwo, ul. Ząbkowska 11

Pan Grzegorz, Auto Key naprawa stacyjek, dorabianie kluczy, ul. Wileńska 21

eprasa.pl 569ad48947

Pani Nina, Pracownia krawiecka, ul. Szwedzka 15

Nasz redakcyjny kolega Krzysztof Żuczkowski z pasją dokumentuje działalność warsztatów rzemieślniczych na warszawskiej Pradze. Publikujemy drugą część jego fotoreportażu. Mimo rosnących kosztów i niepewności jutra do weteranów mających swoje warsztaty „od zawsze" dołącza młodsze pokolenie.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

Kamil Wesołowski, LUTHIER – serwis gitar, pracownia lutnicza, ul. Antoniego Mackiewicza 7 lok. 1

eprasa.pl 569ad48947

Korkociągi, łyżeczki, syfony

Dlaczego narządy płciowe zwierząt tak szybko ewoluują?

Léo Grasset

Organy płciowe są niezwykle różnorodne i sprawiają wrażenie, jakby się wymykały prawom, które rządzą ewolucją innych organów. Zróbmy sobie krótki przegląd genitaliowych ciekawostek z królestwa zwierząt.

Na jednej z wysepek atolu Rangiroa w Polinezji Francuskiej malakoog (pecjalista od mięczaków) Benoît Fontaine klęczy na ziemi. W skupieniu rozgrzebuje rękami grunt i przez małą składaną lupę przygląda się organizmom żyjącym w bardzo cienkiej warstwie humusu w podszycie lasu.

Powierzchnia *motu* (wysepki wchodzącej w skład atolu) zasiedlonej głównie przez ptaki morskie, takie jak rybitwa biała (*Gygis alba*) czy rybitwa brunatna (*Anous stolidus*), jest pokryta uschniętymi liśćmi zmieszanymi z guanem, co raczej nie zapowiada wielkiej różnorodności małych ślimaków wyspiarskich. Razem z Benoît bierzemy udział w ekspedycji na archipelag Tuamotu, której celem jest umieszczenie na ptakach wędrownych nadajników GPS. Po codziennej ciężkiej pracy uczestnicy wyprawy odpoczywają, cieszą się rajskim krajobrazem lub zaspokajają swoje przyrodnicze potrzeby… np. szukając mięczaków!

Seks na ślimaka

Wraz z kapitanem statku, którym przypłynęliśmy na wyspę, słuchamy historii o mięczakach, opowiadanych przez Benoît. Grupa tych organizmów liczy ponad 80 tys. gatunków, a wiele z nich może się pochwalić nieprawdopodobnymi kolejami życia, które Benoît chętnie nam relacjonuje, leżąc na ziemi na brzuchu i szukając w niej muszli. Wyjaśnia, że ślimaki gatunku *Limax corsicus* w celu kopulacji zawisają do góry nogami. Muszą znaleźć gałąź, przyczepić się do niej i pozwolić, by ich gigantyczny organ rozrodczy rozwinął się pod wpływem grawitacji. Niektóre mają 90-centymetrowy penis, czyli ponad 10 razy dłuższy od samego ślimaka! Partner skuszony do kopulacji robi to samo tuż obok, a końce ich organów spotkają się dużo poniżej swoich właścicieli, łącząc się w celu wymiany gamet.

Benoît opowiada nam tę historię z wieloma pikantnymi szczegółami, przez cały czas trzymając nos tuż przy ziemi. Identyfikuje muszle, które pojawiają się pod jego lupą, w poszukiwaniu wariantów nieznanych nauce. Dodajmy, że ma duże szanse na ich znalezienie, gdyż populacje mięczaków żyją tam na wyspach rozdzielonych setkami kilometrów oceanu, dzięki czemu gromadzą mutacje, które stopniowo oddzielają je od siebie genetycznie.

Organy płciowe są najszybciej ewoluującą częścią ciała.

Przesmyk i krewetki

Wspomniane zjawisko, znane jako specjacja, występuje na całym świecie i jest przyczyną typowego dla wysp endemizmu, czyli ukrytej bioróżnorodności, którą Benoît z zapałem tropi. Imponującym przykładem zdarzenia powodującego specjację jest zamknięcie Przesmyku Panamskiego ok. 3 mln lat temu.

Wprawdzie przesmyk, czyli wąski pas lądu między dwoma obszarami wód, nie utworzył się z dnia na dzień, ale zdarzenie to miało ważkie skutki ekologiczne. Po pierwsze, doprowadziło ono do wielkiej międzyamerykańskiej wymiany dzikiej przyrody, ponieważ dzięki niemu wiele gatunków mogło swobodnie przemieszczać się lądem między dwiema

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 569ad48947

połówkami Ameryki. Po drugie, przesmyk oddzielił organizmy morskie zamieszkujące Morze Karaibskie od tych z Pacyfiku. Dziś ślady tego geologicznego przewrotu można odczytać w genomie krewetek z rodzaju *Alpheus*, występujących po dwóch stronach przesmyku. W ciągu ostatnich 3 mln lat te dwie populacje, nie mając ze sobą kontaktu i nie mogąc się wspólnie rozmnażać, nagromadziły różnice genetyczne i stały się niezależnymi gatunkami.

Ale nowe gatunki mogą powstawać także w inny sposób. Otóż istnieją pewne obiekty, których rola w specjacji jest równie ważna, jak udział geologicznych sił w kształtowaniu naszej planety. To elementy niedoceniane, ale fundamentalne – genitalia.

Geologiczne genitalia

Wróćmy do naszych ślimaków *Limax corsicus*. Kiedy dwa osobniki wiszą do góry nogami, łączą końce swoich fallusów i wymieniają się gametami. OK, w porządku. Czasami jednak pojawia się kłopot: jeśli fallusy różnią się długością, uniemożliwia to partnerom dopasowanie do siebie ich otworów. Poważny problem niezgodności rozmiarów… który może doprowadzić do powstania dwóch odrębnych gatunków. Tak też się stało – gdy ślimaki o nieco krótszym oprzyrządowaniu nie mogły już kojarzyć się ze swoimi lepiej wyposażonymi pobratymcami, ich linie z czasem odłączyły się od siebie genetycznie, a ten proces specjacji miał takie same następstwa jak powstanie Przesmyku Panamskiego.

Wyniki badania, które stoi za przytoczoną historią, opublikowano w 2010 r. Autorom udało się nawet zidentyfikować różne gatunki z rodzaju *Limax* poprzez porównanie anatomii narządów płciowych ich przedstawicieli – badacze dosłownie użyli narządów płciowych jako narzędzi klasyfikujących, które pozwalają określić, z jakim organizmem mamy do czynienia. To metoda powszechnie stosowana przez przyrodników, ponieważ te wyrostki dostarczają często więcej informacji niż zewnętrzna morfologia zwierzęcia. Co ważne, organy te znajdują się na pierwszej linii ewolucji, są jej najznakomitszymi świadkami. Nie przesadzę, jeśli powiem, że waginy i penisy są efektem darwinowskiej selekcji naturalnej trwającej 3,8 mld lat, najbardziej spektakularnym produktem procesów rządzących też pozostałymi cechami biologicznymi. Chociaż trudno sformułować ogólne prawa biologii, przynajmniej jedno z nich zostało już ustalone i wykute w marmurze: „Organy płciowe są najszybciej ewoluującą częścią ciała".

Na początek przypomnijmy sobie, że selekcja naturalna, aby działać i w końcu spowodować ewolucję jakiejś cechy, potrzebuje zmienności. Selekcja z pokolenia na pokolenie następuje wtedy, kiedy istnieje wiele nieco różniących się od siebie wersji cechy biologicznej, a każda z nich zapewnia swojemu nosicielowi nieco inną korzyść.

Niektóre cechy wykazują jednak znacznie mniejszą zmienność niż inne, po prostu dlatego, że pod pewnymi względami są od nich bardziej ograniczone. Na przykład kształt serca nie może się zbytnio oddalić od tego, który umożliwia sercu przesyłanie krwi do całego ciała. Z drugiej strony można przeżyć – a nawet się rozmnażać – mając organy płciowe, które nieco się różnią od tych u przeciętnego człowieka. Allele odpowiadające za oryginalność tych narządów będą się dość łatwo rozprzestrzeniać na kolejne pokolenia, a zmienność zostanie zachowana, co zapewni żyzny grunt dla ewolucji. To intuicyjne wyjaśnienie jest przekonujące, ale nie wystarcza, aby wytłumaczyć niesamowitą różnorodność, jaką natura zaprezentowała w wypadku intymnych części ciała.

> Selekcja naturalna, aby działać i w końcu spowodować ewolucję jakiejś cechy, potrzebuje zmienności.

Najbardziej zdumiewające narządy płciowe w świecie zwierząt

Penisy kaczorów mają kształt korkociągu i skręcają się w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. U niektórych gatunków ten miękki worek o długości 20 cm wypełnia się limfą (a nie krwią, jak u wszystkich innych owodniowców) tak błyskawicznie, że wzwód tego rodzaju nazywa się erekcją wybuchową.

Wagina kaczek również ma kształt korkociągu… ale skręca się w przeciwnym kierunku. Zaciskając mięśnie tego narządu, samice zapobiegają wtargnięciu narządu kopulacyjnego samców, co pozwala im decydować, który osobnik zapłodni ich komórki jajowe… Ta walka między samcami i samicami to bardzo ważny czynnik w ewolucji narządów płciowych.

Węże mają dwa symetryczne półpenisy, każdy połączony z jednym jądrem, i używają jednego lub drugiego w zależności od nastroju. (…)

Trzy waginy u samic kangurów pełnią oddzielne funkcje: dwie boczne przenoszą spermę do dwóch macic, a środkowa wagina służy do wypuszczania noworodka na zewnątrz. Zwróćcie uwagę, jaki efekt przyniósł tym razem proces łączenia organów, który nastąpił w toku ewolucji od naszego wspólnego przodka z tymi torbaczami. U naszego gatunku występuje tylko jedna wagina i jedna macica, ale nadal dwa jajowody i dwa jajniki.

Narząd płciowy samców ważek ma kształt łyżeczki. Jego zadaniem jest jak najskuteczniejsze oczyszczenie dróg rodnych samicy przed wysłaniem do nich własnej mikstury, co zapobiega mieszaniu się plemników danego osobnika z plemnikami innych zalotników. Unikanie konkurencji z innymi plemnikami jest bardzo ważną siłą w ewolucji narządów płciowych!

Kierując się tym spostrzeżeniem, niektórzy badacze wysunęli hipotezę, że ludzka żołądź ma taki, a nie inny kształt, aby móc wybierać ciecz z pochwy kobiety. Próbowali sprawdzić tę hipotezę za pomocą wielu eksperymentów o różnym stopniu

eprasa.pl 569ad48947

niedorzeczności, używając rozmaitych odlewów do mierzenia wydajności narządu w wydalaniu gęstego, ciastowatego płynu z elastycznej rurki. Nawet jeśli ich hipoteza nie przekonuje wielu ludzi, można podziwiać ducha poezji, który czasem zagnieżdża się w raportach naukowych.

U rekinów podobną do łyżeczki ważek rolę przypuszczalnie odgrywa syfon. Uważa się, że samiec za pomocą syfonu – organu zagłębionego w jego ciele, który działa jak potężna gruszka do lewatywy – spryskuje drogi rodne samicy wodą morską pod ciśnieniem w celu usunięcia spermy konkurentów. (…)

Samice nartników (*Gerris gracilicornis*) mają klapkę, która zamyka wejście do macicy. Mogą więc zdecydować, czy dopuszczą do zapłodnienia, czy nie. Proste, skuteczne.

Pluskwy są wyposażone w *edeagus*, któremu subtelność jest obca. Aby uniknąć „ukrytego wyboru" po stronie samic, samiec umieszcza swój organ kopulacyjny bezpośrednio w odwłoku samicy. Plemniki uwolnione prosto do ciała będą pływać w hemolimfie samicy, aż dotrą do jajnika. Te tak zwane zapłodnienia traumatyczne powodują infekcje u samic, które czasem z tego powodu umierają. (…)

Kałamarnice wyrzucają „granaty spermy", które z kolei wydzielają płyn nasienny. Samiec umieszcza na ciele samicy swoje spermatofory – ampułki, które u kałamarnicy olbrzymiej osiągają długość nawet 20 cm i są wyposażone w dziwny system „sprężyn". Kiedy granat odpala, nasienie jest gwałtownie wtryskiwane do wnętrza wybranki.

Ten niesamowity system kilkakrotnie trafił na pierwsze strony gazet w Korei i Japonii, gdzie kałamarnice są często spożywane w stanie surowym. Zdarzało się, że smakosze kończyli ze spermatoforem wbitym w dziąsło lub policzek po ugryzieniu martwego zwierzęcia, u którego ejakulacja najwyraźniej nadal działała…

Samice muchy *Neotrogla* mają organ przypominający penis (naukowcy, którzy dokonali tego odkrycia, otrzymali w 2017 r. Nagrodę Ig Nobla. Tą parodią Nobla nagradza się prace, które najpierw wywołują śmiech, a dopiero potem dają do myślenia. Zespół, który wykazał istnienie pseudopenisa u samic much, wygłosił przemówienie… z jaskini). Ten gynosom wchodzi do układu płciowego samca, aby pobrać jego plemniki. Pseudopenis ma zdolność do nadymania się i jest nawet wyposażony w kolce, aby pewnie trzymać samca podczas kopulacji, która trwa od 40 do 70 godzin! (…)

W ciągu 3 mln lat dwie populacje, nie mając ze sobą kontaktu i nie mogąc się wspólnie rozmnażać, nagromadziły różnice genetyczne i stały się niezależnymi gatunkami.

Samice żuka gnojarza (*Scathophaga stercoraria*) używają różnych kieszonek na spermę w zależności od jakości samca. Sperma tych mniej seksownych będzie odizolowana od reszty… do wykorzystania tylko w ostateczności!

Penis grzbietopławka (*Micronecta scholtzi*) wydaje dźwięki, kiedy owad skrobie nim o stwardniałe karby na odwłoku. W taki sposób te pluskwiaki wodne emitują bardzo silny sygnał dźwiękowy, który przywołuje samice. (…)

U owadów i gryzoni samiec czasami blokuje wejście do dróg rodnych samicy korkiem kopulacyjnym. Ta twarda, woskowa wydzielina przez kilka dni uniemożliwia innym samcom zapłodnienie samicy, dzięki czemu sperma pierwszego samca nie musi konkurować ze spermą kolejnych. Truteń z kolei zostawia swój *edeagus* w ciele samicy po wytrysku, który jest tak gwałtowny, że dosłownie wyrywa organ z jego ciała. Biedak tego nie przeżywa, ale pozostawiony *edeagus* być może zapobiega wypływowi spermy, a zatem to wielkie poświęcenie nie idzie na marne. (…)

Odpowiedź na pytanie: „Dlaczego narządy płciowe ewoluują tak szybko?" kryje się między wierszami we wszystkich opisanych przykładach. W istocie to nie jedna, lecz WIELE odpowiedzi, ponieważ na ewolucję tych organów wpływa tak dużo czynników, że każdy wyrostek wydaje się osobnym miniaturowym światem, w którym zachodzą wszystkie procesy ewolucyjne. Konkurencja między samcami? Konkurencja między samcami a samicami? Selekcja, która ma na celu pokazanie, jak dobrą jest się partią genetyczną? Unikanie drapieżników? (…) Właśnie dlatego pasjonują mnie organy płciowe… jako obiekt dociekań intelektualnych. Zajmowanie się nimi daje mi satysfakcję jako biologowi, ponieważ narządy te stale przypominają, że bioróżnorodność jest magicznie brudna, brutalna, amoralna i pozbawiona twórczych ograniczeń. A jako popularyzator nauki widzę w nich idealny model do wyjaśniania mechanizmów ewolucji zachodzącej w małej skali, bardzo szybko, co może zainteresować miłośników takich historii chcących zrozumieć, w jakim miejscu wielkiej mozaiki milionów gatunków w biosferze sytuuje się ich organ.

A tak przy okazji, czy mamy najmniej ciekawe narządy płciowe w świecie istot żywych? Wcale nie, ponieważ…

W genitaliach ssaków szeroko rozpowszechnione są formacje kostne. U samców jest to *bakulum*, które osiąga długość kilkudziesięciu centymetrów, u samic zaś *baubellum*. Kości te służą do utrzymania sztywności odpowiednich narządów podczas kopulacji. W naszej linii ewolucyjnej stopniowo zanikły. U szympansów są zredukowane do maleńkich, kilkumilimetrowych kostnych wypustek u podstawy narządu, a u nas… nie ma nic. (…)

Fragmenty książki Léo Grasseta *Ewolucja, czyli jeden wielki bajzel!*, tłum. Paweł Łapiński, Znak Koncept, Kraków 2023

eprasa.pl 569ad48947

Prezydent ma gest

Jeśli miarą pozycji polityka jest możliwość wpychania swoich ludzi na różne stanowiska, to Andrzej Duda w tej klasyfikacji idzie wyraźnie do góry. Tydzień temu pisaliśmy o Jakubie Kumochu, który jedzie jako ambasador RP do Pekinu, warto więc dorzucić do tej informacji kolejne. Oto ambasadorem w Rumunii będzie Paweł Soloch, a Paweł Czerwiński – ambasadorem w Chorwacji. Obaj wyjeżdżają na placówki z pozycji doradców prezydenta RP. Poza tym różni ich niemal wszystko.

Zacznijmy od Solocha. Jego kariera związana jest z PiS, pełnił różne funkcje w MON, MSW, Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, był nawet doradcą prezydenta Warszawy (w czasach, gdy urząd ten sprawował Lech Kaczyński). Gdy prezydentem RP został Andrzej Duda, mianował on Solocha na szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego. I z tego to stanowiska ów zasłużony działacz odszedł nagle jesienią 2022 r. Tłumaczono to sprawami osobistymi. Czyli w ogóle nie tłumaczono. A ważni politycy PiS mówili, że takie odejście to poważna sprawa i coś poważnego za tym się kryje.

Soloch odszedł z ministerialnego stanowiska, ale nie z Kancelarii Prezydenta, bo zachował tam funkcję społecznego doradcy Andrzeja Dudy. I teraz, w nagrodę, na zakończenie współpracy, prezydent wysyła go do Bukaresztu. Tak oto Soloch, człowiek, który był wszędzie i nigdzie go nie zapamiętano, rozpoczyna kolejny etap kariery.

Inną postacią jest Paweł Czerwiński. On z kolei od roku 1990 oficjalnie funkcjonuje w MSZ. Jako tzw. młodego wysłano go do Moskwy, a później przerzucono na Bałkany. W latach 2015-2020 Czerwiński był ambasadorem w Słowenii, więc jego pracę dla prezydenta Dudy można raczej uznać za epizod.

Jak wobec tego tam się dostał? Otóż mówią, że jak Soloch jest i nikt go nie widzi, tak Czerwiński – wręcz przeciwnie, jest człowiekiem złotoustym, nieznającym umiaru w składaniu obietnic. I faktycznie coś w tym musi być. Wystarczy sięgnąć do zapisów z posiedzenia sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych z roku 2015, jeszcze z czasów PO, gdy prezentował się jako kandydat na ambasadora w Słowenii. Bez zahamowań rozwijał różne pomysły, np. wizję Warszawy jako „ważnego punktu przesiadkowego dla słoweńskich turystów, podróżujących do USA, Kanady, na Bliski Wschód, do Azji Południowo-Wschodniej, do państw skandynawskich, bałtyckich, do Kaliningradu i Petersburga", w sumie po całym świecie. Nic go nie hamowało.

Opowiadał też, że będzie propagował w Słowenii Polskę jako kierunek wyjazdów turystycznych. „Moglibyśmy – mówił – promować Wilczy Szaniec, Srebrną Górę, ostatnie w Europie zabytki dzikiej przyrody, Puszczę Białowieską czy wypoczynek połączony z różnorodnymi szkoleniami".

„Ważnym zadaniem będzie promocja kandydatury Wrocławia do tytułu Europejskiej Stolicy Kultury w 2016 r. oraz Łodzi do organizacji Expo 2022", dodawał. Wrocławiowi się udało (ile w tym zasługi Czerwińskiego?), Łodzi już nie. Warszawa też nie stała się hubem dla słoweńskich turystów, o Wilczym Szańcu nie ma chyba co wspominać.

Aha, Czerwiński mówił jeszcze, pytany o Słowenię, że Kościół katolicki był tam prześladowany, prasa jest skrajnie lewicowa i dominuje tam europejska kultura roku 1968, czyli antyamerykanizm i laickość. W sumie to już wtedy dobrze pasował do PiS…

Attaché

Misja Shenzhou-16 wyrusza na chińską stację kosmiczną. Dowódca Jing Haipeng (z prawej), Zhu Yangzhu (w środku) i Gui Haichao na kosmodromie Jiuquan na pustyni Gobi, 30 maja 2023 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 569ad48947

JOLKA

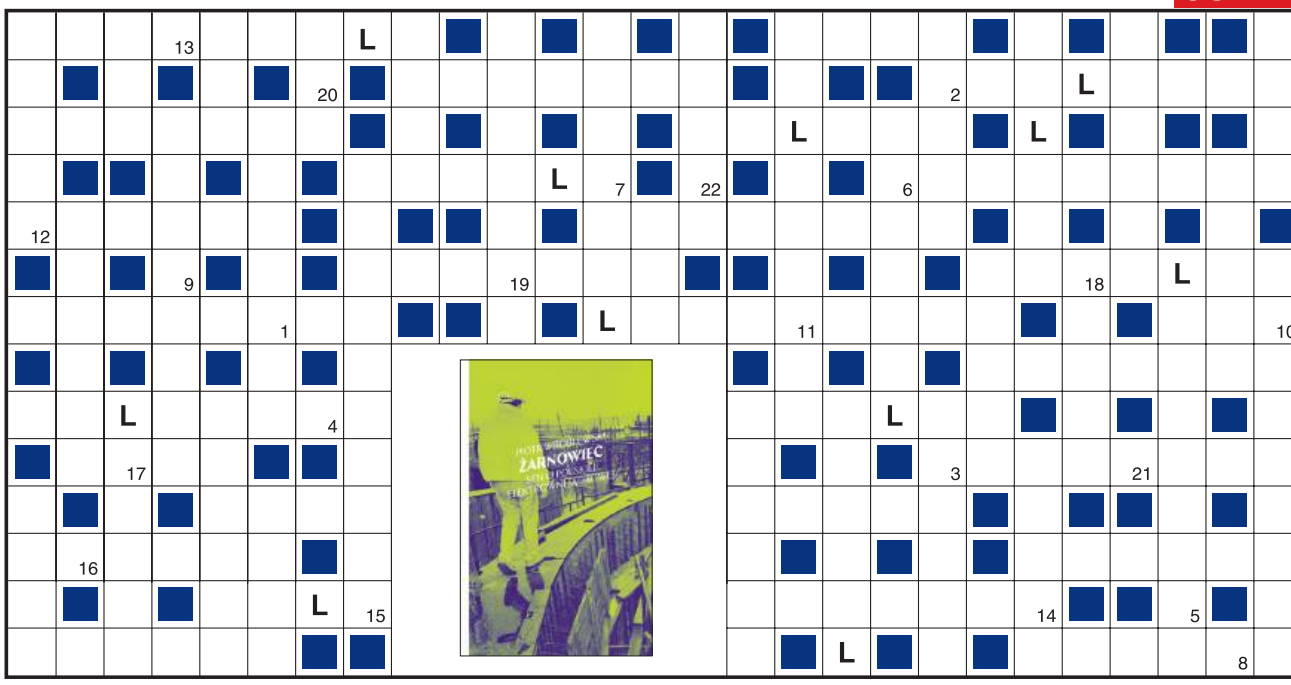

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery L ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- kraina historyczna w Grecji
- dychawica oskrzelowa
- samowładca, despota
- odgłos klucza w zamku
- i ogon, i ozdobny pęk nici, włosia
- wirowy układ wiatru w obrębie niżu
- australijski nielot
- kontynuator nieaktualnych idei
- homerycki lub o Gilgameszu
- nieraz wieje nią od paragonów
- cyberwłamywacz
- taniec salonowy z parami ustawionymi w kwadrat
- płótno na oprawy książek
- salonowy mebel do siedzenia
- żąda okupu od rodziców
- zespół współpracowników, artystów
- z przeciętej żyły
- mały, krępy koń
- metr płodów rolnych
- napój cytrynowy
- pobieranie zbyt wysokich odsetek
- podniebna armia
- wciągana na niego flaga
- milionowa część wolta
- Państwowy… Spirytusowy
- o wielbicielu lodowatych kąpieli
- gaz w lampie jarzeniowej
- rolniczo o dziedzinie działalności
- na zwierzynę lub przestępcę
- nędzny kawał mięsa
- daj dla niej łyk zimnej wody, Zosieńko
- wiersz ku czci lub do
- badanie miejsca zbrodni
- prawy dopływ Wołgi
- jedno u cyklopa
- ochronny rów na linii ostrzału
- …dębowy – nadrzewny czerwony grzyb
- podokiennik
- daj jej spokój, to też istota
- mały flet poprzeczny
- cienki, przenikliwy dźwięk
- płótna farbą lub czegoś milczeniem
- do obsiania lub popisu
- instytucja udzielająca wskazówek, pomocy
- broń Dawida
- pragmatycy i partia Zygmunta Marii Wielopolskiego
- projekt lub szablonowy wzór
- rzeźbi w drewnie
- pylące żółto drzewo iglaste
- schronienie z gałęzi
- o bardzo chudym
- łam gazety
- anteny, gramofonu albo latający
- brytyjski pies myśliwski
- gody cietrzewi
- urodzony przed czasem
- …Brockenu obserwowane w górach
- szklanka z sadu
- młody, nieduży las
- imię Zapasiewicza

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1120”. Do rozlosowania książki „Żarnowiec. Sen o polskiej elektrowni jądrowej” ufundowane przez Krytykę Polityczną. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 11 czerwca 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1117” z nr. 20: *Fortele to oręż niewolnika.*
Nagrody otrzymują: Anna Dymalska z Wrocławia, Wanda Morawska z Gorzowa Wielkopolskiego, Krzysztof Ostrowski z Mieleszyna.

eprasa.pl 569ad48947

ALBO-ALBO

Określenia wyrazów podane zostały pod wspólnym oznaczeniem.
Zdecyduj, do którego diagramu wpisać odgadnięte słowo.

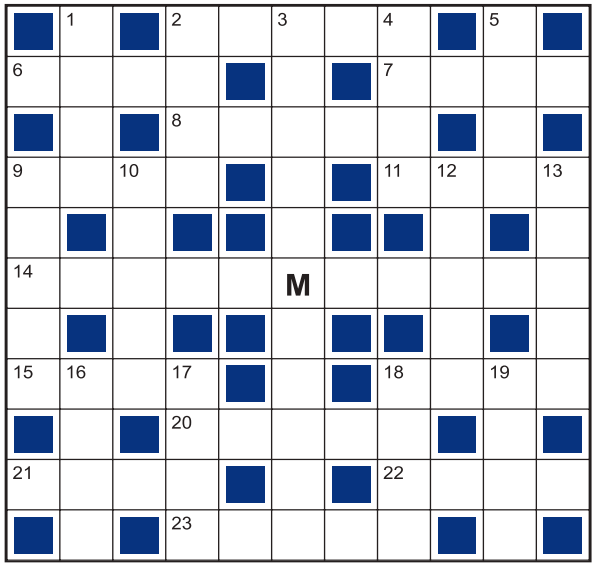

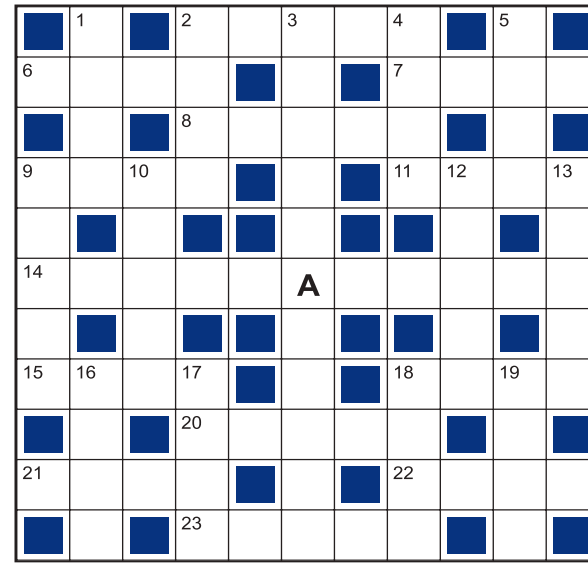

Poziomo:
2) bywał w Poroninie * kłopot dla tłumacza
6) ...morski, czyli marynarz * gdzie one zimują?
7) siódmy od Słońca * tkanka pod korą
8) łoskot, zgiełk * resztki zamczyska
9) wielka ilość czegoś * Vasco da…
11) założenie wymagające dowodu * sieć jak pionowa zapora
14) mama małego bonobo * komputerowi spece
15) wstęgowany chalcedon * pieśń operowa
18) zielona na pustyni * beksa…
20) imię Górniak * ogólny kształt, kontur
21) po zaparzonej kawie * ogólnie o wodach płynących
22) stan USA z Cleveland * elektryczność potocznie
23) roślina jak lina * wyrżnął pod Troją stado baranów

Pionowo:
1) zębate narzędzie * widzenie senne, zjawa
2) grywał na niej Neron * rybie jajeczka
3) projektodawczyni * zbieranie starych monet
4) prąd w rzece * „…nad Lutynią”
5) śląska gra w karty * muzyka Tomasza Stańki
9) wójt w niej rządzi * ważne zadanie, posłannictwo
10) syndykat zbrodni * szeregi wojska
12) zespół, drużyna * imienniczka aktora Lubosa
13) nad nią Werona * imię pisarki Tuszyńskiej
16) aluminium * do kosza lub karny
17) marzenie uchodźcy * ministerialna albo Stańczyka
18) Wientian jego stolicą * wietrzna choroba
19) młode króla zwierząt * przenikliwy chłód

SUDOKU

W każdym rzędzie, w każdej kolumnie i każdym kwadracie 3 x 3 powinno się znaleźć 9 różnych cyfr od 1 do 9.

ŁATWE

1			5	9		2		4
	7				2			
4		6				5	3	
3	6	9						
			4			3		
		7						8
	9			8	5	1		2
	1		7	2			8	5
8	5		9					

ŚREDNIE

	9							7
			8			3		
2				9	5	1		
	4	6		3				5
3		2		4		7		
7	8	9		2		6		
			6					8
8					4			6
		4						

TRUDNE

				3			2	
9		6	2					
			7		5			4
	5	9				6		
7	2							1
		4						5
1	6		8					2
		3	5				9	
				7				

20% WIDOCZNOŚCI

Spróbuj odczytać hasło widoczne tylko częściowo – to myśl, której autorem jest Immanuel Kant.

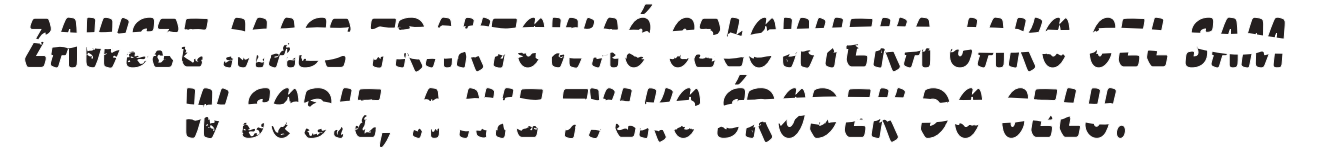

Rozwiązania na s. 65

eprasa.pl 569ad48947

PENETRACJE

RES HUMANA

PROF. JERZY J. WIATR,
SOCJOLOG

Oświata ugina się pod naciskiem ideologicznym Kościoła katolickiego, co staje się coraz bardziej rażące w kraju, w którym młodzież masowo odsuwa się od religii i od jej instytucjonalnych przedstawicieli. Przywrócenie szkole neutralności światopoglądowej to trudne zadanie. Wymaga renegocjacji konkordatu i odważnych decyzji w sprawie nauczania religii (czy nadal w szkole?)… W 1996 r. zespół moich współpracowników kierowany przez ówczesnego wiceministra (a późniejszego ministra) Mirosława Sawickiego i dyrektora Jerzego Gąsiorowskiego opracował nowatorskie podstawy programowe dla szkół ogólnokształcących. Podpisałem ten dokument w ostatnim dniu 1996 r. Miał wejść w życie z początkiem nowego roku szkolnego. Potem jednak przyszły przegrane przez lewicę wybory i nowy minister sprawę zatrzymał.

TYGODNIK ANGORA

ROBERT HOJDA,
ORGANIZATOR TOUR DE KONSTYTUCJA PL

Jako aktywny obywatel narodziłem się w roku 2015, a pięć lat później założyłem Fundację Kongres Obywatelskich Ruchów Demokratycznych (KORD). Zrodził się we mnie bunt i zacząłem działać społecznie, bo na każdym kroku widziałem złe rzeczy. Ludzie, którzy rządzą teraz Polską, okradają własny dom, i to nie tylko z pieniędzy, ale – co gorsza – z godności. Tak się nie robi. Musiałem zareagować. Wyruszyliśmy w trasę. Drugą Polskę zaczniemy budować, a właściwie odbudowywać, dopiero wtedy, gdy ruchy demokratyczne te wybory wygrają.

Twój STYL

AGNIESZKA GROCHOWSKA,
AKTORKA

Gdybym musiała się bronić, wiem, kiedy lepiej uderzyć łokciem niż pięścią. Używając pięści, mogę pogruchotać sobie kości, a łokciem zadam mocny cios, bezpieczny dla siebie, bolesny dla przeciwnika. Nauczono mnie też, że walcząc, warto się schylić, by znaleźć się poniżej środka ciężkości napastnika i gwałtownie wejść barkiem w jego nogi, jednocześnie podważając mu stopy. Tak można przewrócić nawet masywnego mężczyznę, zyskując czas na ucieczkę. Chodzi o efekt zaskoczenia.

PANI

HELENA ENGLERT,
AKTORKA

Zdarza ci się płakać?

– Codziennie! To mój naturalny sposób na samoregulację. Czasami jadę tramwajem, słucham muzyki i płaczę. Mnie wszystko potrafi wzruszyć. Wczoraj np. poryczałam się na filmie „Kryptonim Polska". Nieważne, że to komedia. Czasem wystarczy, że ktoś mnie spyta, jak się czuję, i od razu zaczynam płakać. Gdy jest dobrze i gdy jest niedobrze. Po prostu niektórzy mają do płaczu bardzo blisko. Ale ja to lubię, uważam, że to zdrowe.

FOT. PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ, POLSKA ORKA POLITYCZNA, SEKCJA GIMNASTYCZNA

eprasa.pl 569ad48947

Aby język giętki…

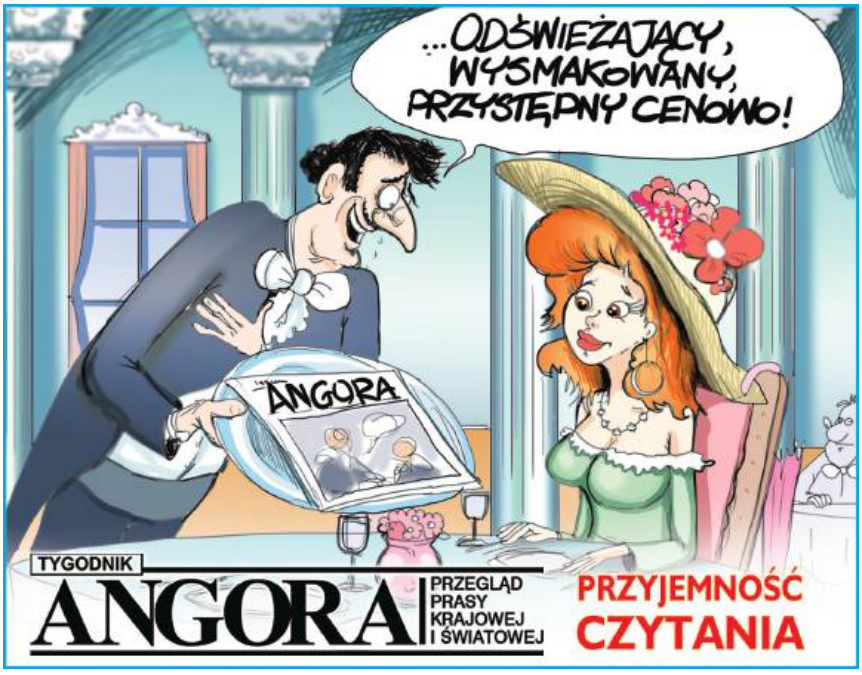

MICHAŁ ŻEBROWSKI O KOSZMARZE

Obudziłem się w koszmarze. Bo ktoś mi podmienił mój kraj. Nie wiem, gdzie się podział ten, który znałem.

PROF. SERGIUSZ MICHALSKI O MATEUSZU MORAWIECKIM

Ciekawe, co myślą o Morawieckim i Wildsteinie cienie ich pomordowanych lub zdradzonych żydowskich przodków lub krewnych.

MAREK BEYLIN O TELEWIZYJNYCH WYSTĘPACH OPOZYCJI

Przeważają twarze ponure, smutne bądź bez wyrazu: dominują słowa rutyniarskie, zazwyczaj podobne, choć w licznych wydaniach.

DARIUSZ MATUSZAK O SŁAWOMIRZE SIERAKOWSKIM

Można przez 20 lat mylić się, a nadal być zapraszanym i słuchanym.

KINGA DĘBSKA O REŻYSEROWANIU

Na planie jestem generałem i z tym wracam do domu. Nie każdy sobie poradzi. Gratuluję więc mojemu mężowi.

ROZWIĄZANIA

■	M	■	L	E	N	I	N	■	J	■
R	A	K	I	■	U	■	U	R	A	N
■	R	■	R	U	M	O	R	■	Z	■
G	A	M	A	■	I	■	T	E	Z	A
M	■	A	■	■	Z	■	■	R	■	D
I	N	F	O	R	M	A	T	Y	C	Y
N	■	I	■	■	A	■	■	K	■	G
A	G	A	T	■	T	■	L	A	L	A
■	L	■	E	D	Y	T	A	■	W	■
C	I	E	K	■	K	■	O	H	I	O
■	N	■	A	J	A	K	S	■	Ę	■

■	P	■	I	D	I	O	M	■	S	■
W	I	L	K	■	N	■	Ł	Y	K	O
■	Ł	■	R	U	I	N	Y	■	A	■
M	A	S	A	■	C	■	N	E	T	A
I	■	Z	■	■	J	■	■	K	■	G
S	Z	Y	M	P	A	N	S	I	C	A
J	■	K	■	■	T	■	■	P	■	T
A	R	I	A	■	O	■	O	A	Z	A
■	Z	■	Z	A	R	Y	S	■	I	■
F	U	S	Y	■	K	■	P	R	Ą	D
■	T	■	L	I	A	N	A	■	B	■

ŁATWE

1	3	8	5	9	6	2	7	4
9	7	5	3	4	2	8	1	6
4	2	6	1	7	8	5	3	9
3	6	9	8	5	7	4	2	1
2	8	1	4	6	9	3	5	7
5	4	7	2	3	1	6	9	8
7	9	3	6	8	5	1	4	2
6	1	4	7	2	3	9	8	5
8	5	2	9	1	4	7	6	3

ŚREDNIE

6	9	3	4	1	2	8	5	7
4	1	5	8	6	7	3	2	9
2	7	8	3	9	5	1	6	4
1	4	6	7	3	8	2	9	5
3	5	2	9	4	6	7	8	1
7	8	9	5	2	1	6	4	3
5	2	1	6	7	9	4	3	8
8	3	7	2	5	4	9	1	6
9	6	4	1	8	3	5	7	2

TRUDNE

5	4	1	6	3	8	7	2	9
9	7	6	2	1	4	5	8	3
8	3	2	7	9	5	1	6	4
3	5	9	1	2	7	6	4	8
7	2	8	4	5	6	9	3	1
6	1	4	9	8	3	2	7	5
1	6	7	8	4	9	3	5	2
2	8	3	5	6	1	4	9	7
4	9	5	3	7	2	8	1	6

20% WIDOCZNOŚCI: ZAWSZE MASZ TRAKTOWAĆ CZŁOWIEKA JAKO CEL SAM W SOBIE, A NIE TYLKO ŚRODEK DO CELU.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Tomasz Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 569ad48947

Kazimierz Mikulski, Nie będzie czereśni w tym roku, 1977

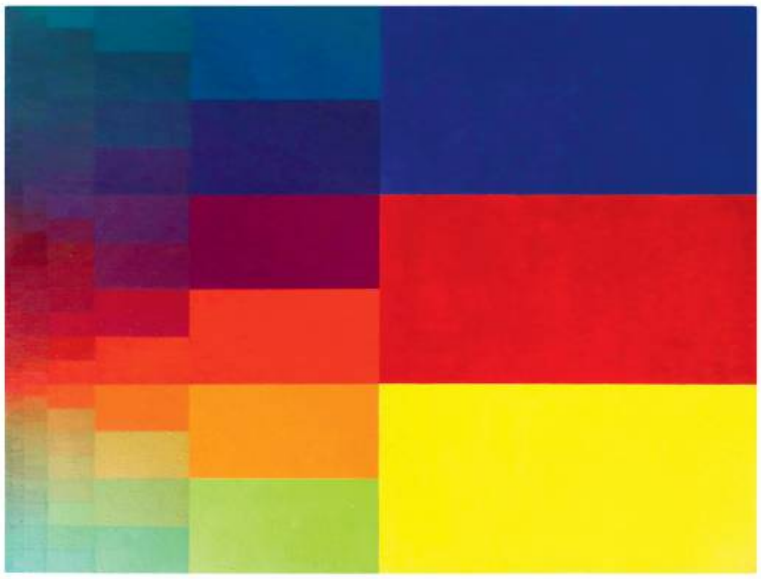

Jan Pamuła, Układ rozwijający się, 1972

Artyści z Krakowa

W 1957 r. powstała II Grupa Krakowska – stowarzyszenie niezależnych artystów. Byli indywidualistami, ale łączyło ich zainteresowanie nowoczesnością, a warunkiem zaproszenia do grupy była „nerwica" twórcza. Takim podejściem II Grupa Krakowska o kilka lat wyprzedziła międzynarodowy ruch Fluxus. Stała się polską awangardą postmodernizmu. Wbrew nazwie należeć do niej mogli artyści z innych miast, każdy jej członek miał prawo do wystawiania w Galerii Krzysztofory. W drugiej połowie lat 90. grupa „przestała się rozmnażać". Najprawdopodobniej uznano, że wyczerpał się sens takich inicjatyw.

II Grupa Krakowska

MOCAK
Kraków, ul. Lipowa 4
do 24 września

Jerzy Nowosielski, Dziewczyny na statku, 1981

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Maria Pinińska-Bereś, Aneksja krajobrazu, dokumentacja akcji, Świeszyno koło Miastka, 1980

eprasa.pl 569ad48947

PENÉLOPE **CRUZ**

LUIS **TOSAR**

ADELFA **CALVO**

CHRISTIAN **CHECA**

79 MOSTRA INTERNAZIONALE D'ARTE CINEMATOGRAFICA LA BIENNALE DI VENEZIA Official Selection 1932 90° 2022

SSIFF Donostia Zinemaldia Festival de San Sebastián PERLAK

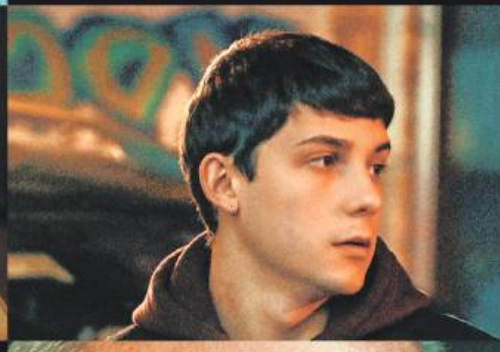

24 GODZINY

reżyseria JUAN DIEGO BOTTO

BANKSIDE, PENÉLOPE CRUZ y ALVARO LONGORIA PRESENTAN UNA PRODUCCIÓN DE PENELOPE CRUZ y ON THE FRINGE AIE EN COPRODUCCIÓN CON PANACHE PRODUCTIONS y LA COMPAGNIE CINÉMATOGRAPHIQUE, VOO, BE TV y PROXIMUS CON EL APOYO DEL GOBIERNO DE ESPAÑA (ICAA) y EURIMAGES PARA LA COPRODUCCIÓN DE BELGIUM FEDERAL GOVERNMENT CON EL APOYO DE MOVIE TAX INVEST PARA LA COPRODUCCIÓN DE RTVE, PRIME VIDEO, TELEMADRID y CREA SGR CON LA COLABORACIÓN DE AYUNTAMIENTO DE MADRID

CON PENELOPE CRUZ, LUIS TOSAR, ADELFA CALVO, CHRISTIAN CHECA, JUAN DIEGO BOTTO, ADA VILLAGRAN, FONT GARCIA Y CON LA PARTICIPACIÓN DE Mª ISABEL DIAZ LAGO, SERGIO VILLANUEVA y NIUR LEVI

GUIONISTA ANA SAINZ-TRÁPAGA y PATRICIA ÁLVAREZ DE MIRANDA DIRECTOR DE FOTOGRAFÍA DAVID PAREJA DIRECTOR DE ARTE ELENA ALCOLEA MAQUILLAJE MANUELA MERINO y PABLO IGLESIAS DISEÑADORA DE VESTUARIO WANDA MORALES PRODUCTOR EJECUTIVO CUFFA NOTARI SONIDO TAMARA ARÉVALO SONIDO ROLAND VOCLAIRE, DAVID GILLAIN y HUGO FERNANDEZ LINE PRODUCER JOSEP AMORÓS EDITOR MAPA PASTOR DISEÑADOR DE SONIDO EDUARDO CRUZ DIRECTOR DE PRODUCCIÓN ARNAU VALLS COLOMER (AEC) ESCRITO POR JUAN DIEGO BOTTO y OLGA RODRIGUEZ

ASISTENTE DE PRODUCCIÓN STEPHEN KELLIHER y VANA GEORGIEVA DIRECTOR DE FOTOGRAFÍA ANDRÉ LOGIE y GAËTAN DAVID PRODUCIDO POR PENÉLOPE CRUZ y ALVARO LONGORIA DIRIGIDO POR JUAN DIEGO BOTTO

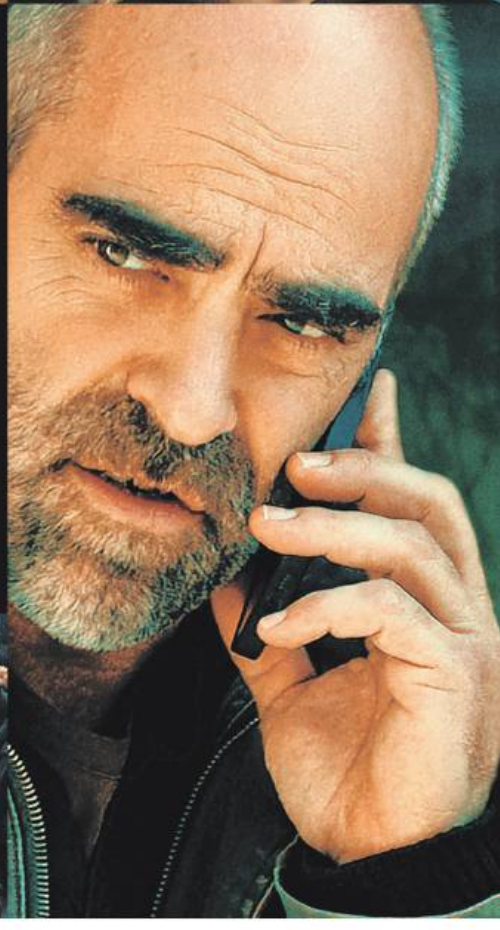

W KINACH OD 2 CZERWCA

Dystrybucja: WKINO www.dystrybucjafilms.pl

WP FILMWEB dla Lejdis.pl GAZETA.PL Przegląd K MAG

epraso.pl 569ad48947

XL
TEATR

Przegląd

12, 13
CZERWCA
WARSZAWA
PLAC HALLERA

PEŁNIA W SKORPIONIE

NOWA KOMEDIA TEATRU XL

eprasa.pl 5[illegible]